

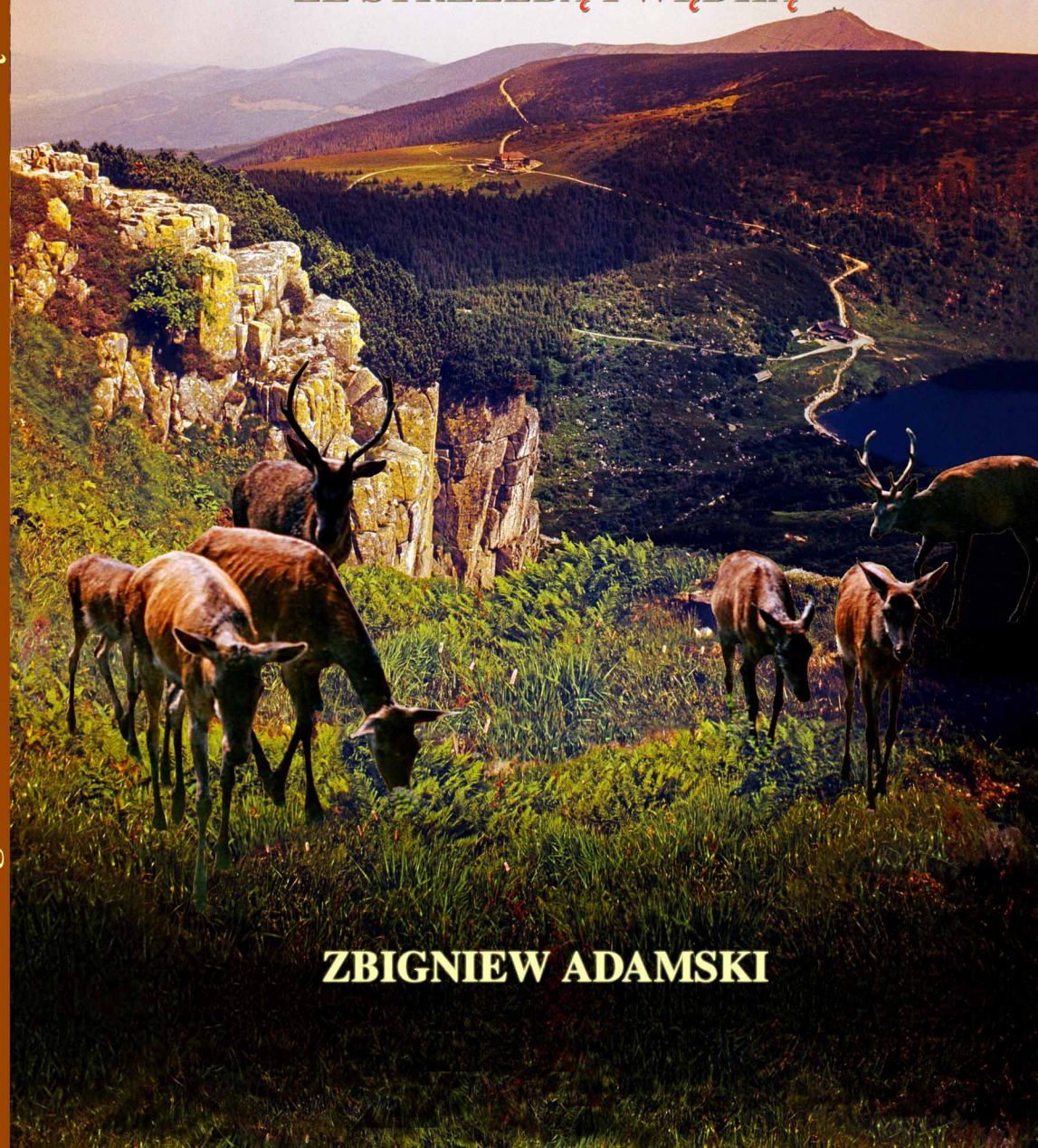


NAD BOBREM ODRA I NOTECIA

Zbigniew Adamski

# NAD BOBREM ODRĄ I NOTECIA

ZE STRZELBĄ I WĘDKĄ



ZBIGNIEW ADAMSKI

**NAD BOBREM  
ODRĄ I NOTECią**

**ZE STRZELBĄ I WĘDKĄ**

**ZBIGNIEW ADAMSKI**



**NAD BOBREM,  
ODRĄ I NOTECIĄ**

---

---

**OPOWIADANIA I WSPOMNIENIA MYŚLIWSKIE**

---

---

## NA OKŁADCE

Dziesiątki różnorodnych skałek na obszarze gór, nadaje Karkonoszom niepowtarzalne piękno, którego w tym bogactwie trudno byłoby spotkać w innych Polskich górach. Tworzą one różnorodne kształty, o motywach wysmukłych wieżyc, potężnych baszt, spiętrzonych bloków i zboczowych ambon.

W wyobraźni ludzkiej, te związane z fauną: nazwano od różnych podobieństw: Niedźwiedzie, Ptasie, Krucze, Leśne Skały itp.

Wśród Pielgrzymów, jesienią kilkadziesiąt lat temu spotkałem na rykowisku chmarę jeleni. Wówczas miałem zgodę z Karkonoskiego Parku Narodowego na przebywanie w rezerwatach ścisłych. Wiele z tych fotografii prezentuję na stronach tej książki.

Autor



Krajobrazy z nad Bobru cieszą i urzekają mieszkańców i przyjezdnych, są dla nich źródłem radości i piękna, tak jak dla licznie tu żyjących saren, jeleni i dzików.

Rys. Zbigniew Adamski



**Zbigniew Adamski**

# **NAD BOBREM ODRĄ I NOTECią**

**ZE STRZELBĄ I WĘDKĄ**



**Jelenia Góra - 2009 rok**



Polski Związek Łowiecki  
Zarząd Okręgowy w Jeleniej Górze

Konsultant  
Kazimierz Koncewicz

Redaktor techniczny  
Andrzej Grzelak

FOTOGRAFIE I RYSUNKI  
Zbigniew Adamski

Wydanie drugie elektroniczne  
Opracowała Zofia Wąsik – kwiecień 2016 r.

Wydanie pierwsze 2009 r.

Druk i oprawa TOTEM s.c. Inowrocław [www.totem.com.pl](http://www.totem.com.pl)

# SPIS TREŚCI

Nowe czasy w Kotlinie Jeleniogórskiej .....	11
1. Rzeka ta radowała zmysły .....	13
2. Kłusownik z Luftwaffe .....	18
3. Myśliwskie tradycje .....	22
4. Triumf i smak porażki .....	28
5. Niucha .....	35
6. Ptaki babiego lata .....	40
7. Odkrywanie przeszłości .....	44
8. Dlaczego kaczkę nazywa się krzyżówką? .....	48
9. Gęsi spod Ślęzy .....	52
10. Kaczory i króliki .....	58
11. Aleksey .....	63
12. Biała zjawa .....	69
13. Bliźniaki .....	74
14. Myśliwski domek w Dąbkach .....	79
15. W królestwie Diany .....	85
16. Dar jesiennej kniei .....	90
17. Władca pogorzelska .....	95
18. Dziesiątak z Zajeździe .....	103
19. Na kaczki do Kaczkowa .....	111
20. Deszczowy epizod .....	116
21. Marzenia czasem się spełniają .....	120
22. Pięć nie przespanych nocy .....	126
23. Wiosna na Skrzyńcy .....	147
24. Z sercem pod gardłem .....	152
25. Terrorysta z Puszczy Bolesławieckiej .....	156
26. Wiosenne sandacze .....	161
27. Nad graniczną rzeką .....	164
28. Rekiny Odry .....	171
Mały słownik języka łowieckiego i wędkarskiego .....	177



## Nowe czasy w Kotlinie Jeleniogórskiej

Koniec sierpnia 1952 roku był upalny, tak jak całe lato tego roku. W godzinach wieczornych, z nakazem pracy w Jeleniej Górze, z trudem wdrapałem się do, wagonu pociągu relacji Gdynia – Wrocław. Do samego końca nie było mowy o tym, aby choć na chwilę usiąść, dopiero w Poznaniu przesunąłem się spod ubikacji o niezbyt przyjemnym zapachu do korytarza.

We Wrocławiu pociąg stanął, o czym oznajmiały głośniki, informowały też podróżnych, że dalszą drogę do Jeleniej Góry będzie można kontynuować z Dworca Świebodzkiego.

Po wyjściu z wagonu doznałem przyjemnego oczarowania wielkim, wspaniałym dworcem wrocławskim i zarazem smutku widokiem morza gruzów ścielących się wokół niego. Na peronie stały porcelanowe szafy z kranami z wodą, a przy nich było tłoczno od podróżnych, którzy się myli, nabierali wodę do picia. Te czynności były wykonywane przez przyciskanie butem wystających trzpieni w kamiennej posadzce peronu. Chłopcy, dla zabawy, przyciskali niezbyt widocznie kran pod nogami, a równocześnie kolorowe kafle, woda wówczas leciała żwawo. Wielu spragnionych wody dawało się nabierać tym dowcipnisiom, stąd smutny widok gruzowisk obok mieszał się ze śmiechem i okrzykami ludzi nie radzących sobie z nabraniem wody.

Dość szybko i sprawnie grupa Jeleniogórczan zorganizowała się i tramwajem dotarliśmy do Dworca Świebodzkiego, skąd pociąg miał nas zawieść do Jeleniej Góry. Teraz dopiero, jak na dłoni widzieliśmy zniszczenia Wrocławia, które zapamiętałem na zawsze, bo trudno było tam wyłowić całą budowlę z jednego wielkiego gruzowiska.

Jadąc pociągiem mijaliśmy małe stacyjki, czyste i schludne, lasy wyrastające na horyzoncie wraz z wzniesieniem Ślęży. Pociąg z wysiłkiem pokonywał tę krętą drogę, która wiodła coraz wyżej, a wagony opróżniało coraz więcej podróżnych. Potem pasma górskie stale wzrastały, przejeżdżały tunele, strome urwiska i skalne zbocza.

Docelowa stacja Jelenia Góra była czysta i schludna, robiła duże wrażenie. Krótko przed północą wsiadłem do tramwaju i tak zaczął się mój pobyt w tym mieście.

Przy małej poczcie była wówczas czynna nocna restauracja, tam zjadłem kolację i przy kawie oraz tańcach przetrwałem do rana.

Jeleniogórskie Zakłady Celulozy i Włókien Sztucznych (w budowie) przyjęły mnie godnie. Pracowała tu już Fabryka Włókien Sztucznych Nr. 7, produkująca stilon, żyłki rybackie i żyłki szcztokarskie. Trwała budowa kombinatu włókien sztucznych celulozowych, wytwórni energetycznej i wytwórni celulozowej. W tym największym w kraju kombinacie pracowało kilka tysięcy ludzi, ponoć co czwarty mieszkaniec miasta był jego pracownikiem

Niemal równocześnie z uruchomieniem produkcji włókien wiskozywych ukazał się w kombinacie, 12 lipca 1953 roku, pierwszy numer zakładowej gazety „Wspólny Cel”, jedynej dekadówki na Dolnym Śląsku.

Praca tutaj była dość trudna i uciążliwa, stąd redakcja gazety podejmowała różne inicjatywy, proponując rozrywki i wypoczynek na łonie wspaniałej przyrody Sudetów. Organizowano zloty motorowe do Zamków Piastowskich, zawody wędkarskie, spływy kajakowe, wystawy fotograficzne itp. Pracownicy dość chętnie uczestniczyli w tych imprezach.

Zakładowa dekadówka prezentowała na swych łamach fotografie z turystycznych wypraw w Karkonosze, jak i materiały prasowe, które przyczyniały się do konsolidacji załogi. Staraliśmy się także, żeby szata graficzna była ciekawa i przyciągała czytelników, dzięki czemu często byliśmy wyróżniani w konkursach ogólnokrajowych.

Moja współpraca z prasą pozazakładową, pismami przyrodniczymi, z redakcją Łowca Polskiego, Przyrodą Polską i innymi, pozwoliły na pokazywanie przyrody w większym zakresie tak wewnątrz Kombinatu, jak i innych miastach Polski. Powstały przy gazecie Foto-Klub stał się ważnym ogniwem w rozwoju fotografii w mieście. Wystawy przyrodnicze, organizowane przez Foto-Klub „Celwiskoza”, były prezentowane w Karkonoskim Parku Narodowym, w Muzeum Regionalnym, w Jeleniogórskim Towarzystwie Fotograficznym i wielu miastach Polski. W Międzynarodowych Konkursach Łowca Polskiego zdobywały czołowe miejsca.

W książce „**Nad Bobrem, Odrą i Notecią**” zawarłem wiele przygód, które przeżyłem razem z pracownikami tego wielkiego zakładu, czy to w lesie czy nad wodą. Im to poświęcam te skromne wspomnienia, które przeżyaliśmy razem.

Darz Bór  
Zbigniew Adamski

## 1. Rzeka ta radowała zmysły

**W**reszcie deszcz zelżał. Z trudem wyszliśmy na dwór. Targani przez wichur jak nadnoteckie topole i wierzby, szliśmy wśród nich nad rzekę. Nogi tonęły w błocie, a serce rwało się do wody, na zarośnięte żółtymi grązelami i moczarką zakola.

Dziadek w tamtych latach popisывał się nie lada kunsztem wędkarskim. W żyłastych, spracowanych palcach sprawnie wiązał haczyk do końskiego włosia. Resztę wędki stanowiła szewska dratwa, wysmukły spławik z topolowej kory i lekki, długi leszczynowy kij. Cały ten zestaw był przez niego zrobiony.

Nie wiem, dlaczego, ale na tę wędkę ryby brały bez opamiętania. Nigdy już później na nowoczesny sprzęt nie udało mi się tam powtórzyć dawnych sukcesów.

Obaj szliśmy w górę rzeki, coraz dalej i dalej, niemal aż do wału starego grodziska, otoczonego zewsząd bagnami. Czasem wśród tej czarnej mazi wyrastały zielone groble ze strzelistymi topolami wznoszącymi się ku niebu.

Z melancholią przyglądałem się okrytą mgłą równinie, gdzie ciągle deszcz i wichry targały łanami drzew i trzciny.

Gniazdowało tu wiele ptactwa wodnego, szczególnie kaczek i łysek, były perkozy, mewy, a czasem jak ważka nad bagnami zjawiał się wielki rybołów.

Na groblach, wśród wysokich topoli, wiły niczym remizy swe gniazda żółtozielone wilgi i wieczorem swym fletowym głosem („igilio-dygilio”) sygnalizowały obecność. Przylatywały żurawie, a orzeł bielik kontrolował zasobne w pokarm bagna i rzekę.

W późniejszym okresie, bo w latach siedemdziesiątych, utworzono tu obszary objęte ochroną rezerwatową, ze względu na miejsca lęgowe ptactwa wodnego i konieczność zabezpieczenia miejsc

historycznych związanych z początkami Państwa Polskiego.

Liczne strumyki, spływające do rzeki, niosły najrozmaitszy żer - od ptasich odchodów, poprzez pijawki, maleńkie kijanki i karasie. Wszystko to powodowało, że w lejkowatych ujściach wody żerowały najrozmaitsze gatunki ryb - okonie, szczupaki, liny, ale przede wszystkim „leszcze jak łopaty”.

W tych właśnie miejscach rzucaliśmy swe wędki. Musieliśmy się spieszyć, aby zdążyć przed następnym deszczem, bo wówczas ryby, jakby przeczuwając zmienną pogodę, brały przynętę najchętniej.

Czasami zastawała nas burza z piorunami, wówczas kładliśmy się w najniższym zagłębieniu w ziemi i tak zalewani strugami wody trwaliśmy do zniknięcia błyskawic.

Splawik tonął powoli, aż zniknął zupełnie. Uchwyciłem wędzisko i lekko podciąłem, podciągając wędkę. Nagle pod powierzchnią wody zatrzepotał leszcz. Błysnął lustrzanym bokiem, pokazał czarny ogon na pożegnanie i się odpiął. Pośpiesznie z domku wyciągnąłem nowego, tłustego chruścika i założyłem na haczyk. Uczułem uczucie zazdrości, kiedy dziadek spokojnie holował do brzegu któregoś już leszczyka: bez emocji, po cichu i zwracania na siebie uwagi.

Znów mój splawik dryfował wśród wystających z wody roślin. Naraz położył się na wodzie, drgnął kilkakrotnie i zaczął ukośnie tonąć. Branie! Podciąłem lekko. Obserwowanie dziadka nauczyło mnie szacunku do ryby i rozegrania tej walki w pełnym spokoju.

Trudno było jednak o ten stoicki spokój mego nauczyciela z takim bagażem doświadczeń, kiedy wiedziałem już, że chwyciła mi się wielka ryba.

Nie było czasu na rozpamiętywanie. Ryba uparcie parła pod ośmiornicę podwodnych kłączy. Wiedziałem, że tylko przypadkiem udało mi się ją odwieść od tego pomysłu. Nagle pod powierzchnię wypłynął duży, wielki jak łopata, srebrny leszcz, by ponownie zniknąć w smolistym mule.

Teraz ze świszczącym sykiem delikatne, końskie włosie



W tych właśnie miejscach rzucaliśmy swe wędkę. Musieliśmy się spieszyć, aby zdążyć przed następnym deszczem, bo wówczas ryby, jakby przeczuwając zmienną pogodę, brały przynętę najchętniej.





Ta dawna Noteć, tu płynąca w dolinie z północy na południe, przypominała swym wyglądem raczej krajobrazy Polesia. Wydawało się, że bagna ciągle tonęły we mgłę i oparach.



Czy da się dziś opisać dumę i rozkosz młodzieńca pierwszy raz w życiu chwytającego wielką rybę i wchodzącego w tajniki świata przyrody.

cięło spokojną taflę wody. Jakaś jego niebywała moc wytrzymała ten potworny hol wędki. Z sercem pod gardłem i obawami o jej zerwanie, czy wyprostowanie szpilki, z trudem utrzymywałem kij i nerwy.

Naraz poczułem lekkie ukłucie. Wędka się wyluzowała. Już miałem zakląć, kiedy zobaczyłem jak pod powierzchnią srebrzy się wielka patelnia ryby. Ująłem wędzisko lewą ręką i delikatnie doprowadziłem tego olbrzyma pod brzeg. Prawą ująłem rybę pod skrzela i ledwo podniosłem do góry.

Leszcz wyglądał wspaniale, był ogromny, ale wagi nie mogłem ocenić.

Podszedł dziadek. Gratulował, chwalił, ciepłe potoki słów podnosiły mój prestiż. W jego oczach była to rekordowa ryba.

Dopiero teraz odczuwałem pełnię sukcesu. Byłem uradowany i szczęśliwy! Aż strach było pomyśleć, że gdyby weszła w podwodne korzenie mógłbym ją stracić!

To dzikie, bezludne pustkowie, pełne dziur, torfowisk i błota wydawało mi się najcudowniejszym skrawkiem na ziemi, jakimś dawno zapomnianym kawałkiem pierwotnym bagiennej puszczy, po której kiedyś stąpały tury i łosie, pokonywali ją wojowie książąt piastowskich.

Czy da się dziś opisać dumę i rozkosz młodzieńca pierwszy raz w życiu chwytającego wielką rybę i wchodzącego w tajniki świata przyrody, żywiołu wody, która do dzisiejszego dnia ma na mnie przemożny wpływ, budzi wieczną ciekawość i zachwyt?

Noteć i jej dorzecza pragnąłem poznać, jednak mogłem tego dokonać dopiero po wojnie, kilkadziesiąt lat później.

Wówczas jednak wiele straciła ta rzeka ze swej dzikości i pierwotnego krajobrazu. Stała się chętnie odwiedzana przez wędkarzy oraz uregulowanym szlakiem wodnym. Taki jest wynik postępu cywilizacji.

Miejscami jednak pozostała dzika, szalona i tajemnicza, radowała zmysły, pobudzała wyobraźnię oraz zachęcała do wędkarskich wypraw.

## 2. Klusownik z Luftwaffe

**P**o wakacjach do szkoły nie poszliśmy. Rozpoczęła się wojna i ferie u dziadka się przedłużały. Ojciec był na froncie, a mama zajmowała się młodszym bratem. Na wsi dobrze się czułem, choć wokół mnie działy się rzeczy nowe, dotąd nie spotykane. Utrudniały one życie ludziom, ale dla mnie, młodego chłopca, wydawały się ciekawe i atrakcyjne. Na noc ludzie opuszczali swe domostwa i spali w ziemiankach. Najwięcej było ich w głębokim rowie, biegnącym obok pól. W nocy pobudowano na nim kładki, okryto i zamaskowano darnią, pod nimi strumyk oddzielono podłogą, na której spano.

We wsi zostali tylko młodzi mężczyźni do pilnowania mienia i chwywania szpiegów, o których ciągle się mówiło.

Mój dziadek miał gdzieś te zarządzenia i spał w domu, nie przejmując się lecącymi każdego dnia samolotami. Po kilku noclegach u sąsiada w chłodnej ziemiance postanowiłem spać razem z dziadkiem na słomie w stodole.

Pierwszy szok minął, sytuacja się normalizowała, jednak trudno było wychodzić z domów, a szczególnie poruszać się drogami, bo piloci niemieccy strzelali do ludzi jak do kaczek. Zjawiali się zza chmur i szybko odlatywali. Często też słychać było tylko serie strzałów i zanikający warkot motoru samolotu. Potem tu i ówdzie znajdowano leżących ludzi, martwych lub rannych.

Coraz częściej mówiono o samolocie, który z dużej wysokości strzelał do pojedynczych osób.

Spanie w stodole nie było tak wygodne jak w mieszkaniu. Wiatr hulał pomiędzy deskami, ciągle było słychać ujadanie psów i dalekie detonacje. W takich chwilach wracałem myślami nad bagna i rzekę.

Szczególnie głęboko wryły mi się w pamięć nadrzeczne,

płytkie łachy, pełne mulistych czarnych dołów z nagrzaną od słońca wodą. Tam pod koniec sierpnia, w samo południe, zwrócił moją uwagę leżący w wodzie czarny korzeń lub kłoda. Więcej może bym się nim nie interesował, gdyby się nie poruszył. Wówczas rozpoznałem wielką rybę, mającą ponad metr długości. Małymi ślepakami bacznie mnie obserwowała. Z wrażenia oniemiałem. Może to jednak jakaś zjawą, jakieś podwodne kłące? Kiedy końcem leszczynowego kija próbowałem jego dotknąć, na wodzie powstał potężny wir i ryba odpłynęła, pozostawiając po sobie zmieszaną z błotem czarną toń.

Właśnie to zakole nie dawało mi spokoju. O wszystkim opowiedziałem dziadkowi, który przygotował już odpowiednio silną wędkę. Mieliśmy też gotową receptę na schwytanie tego wąsatego potwora. Na hak wygięty z agrafki chcieliśmy zaczepić zieloną żabkę.

Niespodziewany wybuch wojny pokrzyżował nam te plany, jednak w wolnych chwilach nie przestałem myśleć o sumie mieszkającym w dole, przy ujściu rzeki z Małego Gopła.

Pogoda była wyśmienita i czas się dłużył. Wędki stały oparte o płot i czekały na decyzję dziadka.

Któregoś dnia powrócił z odprawy starszyny w jakimś lepszym humorze, niż był w tych ostatnich dniach.

– Bierz wędki – powiedział. – Kiedy tylko te bombowce przelecą, zaraz po obiedzie pójdziemy na godzinę, ale tu bliżej, na dołek obok buraków. Tam niedawno widziałem jak szczupaki przeganiały drobnicę. Zobaczymy! Niby nie wolno opuszczać wioski, ale to torfowisko leży przy Olejnika polu i do zabudowań też jest blisko. Zresztą o tej porze wczoraj był spokój. Niepokoi mnie jednak, że kilka dni wstecz nad samą wodą ktoś znalazł zastrzelonego wędkarza w kolejarskim mundurze.

Codzienny, charakterystyczny warkot ciężkich maszyn spływał spod nieba. Teraz leciały wysoko. Ukryci za płotem obserwowaliśmy je bacznie, a kiedy tylko znikły, chwyciłem obie wędki i przez pole poszliśmy w stronę rzeki.

Był zupełny spokój, jednak przenikliwa i złowieszcza cisza panowała w powietrzu.



Dotarliśmy nad torfowisko zarośnięte gęsto moczarką, porożcinaną przez pływającą łódkę. W tych rowach woda była tak przezroczysta, że widać było czarne dno i połyskujące, małe rybki gonione przez drapieżniki. Wokół wykoszono trawy, nie mieliśmy żadnej osłony, nie było też tu trzciny, nie rosły wierzby. Tylko nieopodal zieleniło się pole buraków cukrowych, przeznaczonych dla pobliskiej cukrowni. Na jakiś sukces trudno było chyba liczyć. Martwiłem się, w dodatku byliśmy zewsząd widoczni. Dlaczego dziadek wybrał ten brzeg przy buraczysku, a nie ciekawszy od strony rzeki? Zrobił to chyba przeczuwając jakieś nieszczęście.

Wnet dwie małe żabki zadyndały na hakach i znalazły się w wodzie. Ryby były głodne, bo wkrótce mieliśmy dwa małe szczupaczki na sznurku. Dziś wiem, że nie były wymiarowe.

Naraz usłyszeliśmy warkot samolotów, głuchy, dudniący. Leciąły od strony Gopła.

Dziadek znał tych podniebnych piratów. Poznał ich jeszcze przed pierwszą wojną światową, służąc w armii niemieckiej w Szczecinie

Wyrwał mi gwałtownie wędkę, sam rzucił swoją i po-

biegliśmy co sił do łąnu buraków.

W ostatnim momencie dopadliśmy zbawczego pola. Z czwórki wysoko lecących samolotów oderwał się jeden i z przeżajającym świstem nurkował prosto na nas. W ostatniej chwili zostałem przewrócony i poczułem ciężar dziadka na sobie. Seria z karabinu maszynowego ogłuszyła nas, a wir powietrza od podrywającej się do góry maszyny przydusił nas głęboko do ziemi. Potworny świst i syk spadających pocisków do wilgotnej ziemi podniósł obok nas gejzery pary, a rozbryzgane grudki ziemi i pył obsypały nas zupełnie.

Samolot odleciał, dogonił swoich kompanów. Dziadek mnie oglądał z każdej strony, przy tym klął, otrzepując mnie i siebie z ziemi.

– To bezczelny kłusownik, wydaliśmy mu się łatwym łupem, to ten sam załatwił chyba tego kolejarza – mówił do siebie. – Powiem naszym wojakom, by na niego zapolowali.

Tego wieczoru, po powrocie do domu, postanowiliśmy już więcej na ryby nie chodzić. Nie byłoby zresztą okazji. Po wkroczeniu Niemców dom został przez nich zajęty. Zamieszkali w nim nowi lokatorzy.

### 3. Myśliwskie tradycje

**Z**araz po wojnie wraz z bratem poznałem Franka. Późną wiosną i latem, kiedy było ciepło, a nad Notecią przyroda znajdowała się w pełnym rozkwicie, łowiliśmy razem ryby.

Ileż było wspaniałych młodzieńczych odkryć, sukcesów i porażek, uniesień i wzruszeń! Tutaj rozszerzył się mój własny świat przyrody i przygód łowieckich.

Tych parę powojennych, chłopiących lat przeżytych nad rzeką dziś muszę zaliczyć do najciekawszych, wyjątkowych zbiegów okoliczności, które mnie szcudrze obsypywały namiętnością do przyrody.

Franek Kaliski był wnukiem Floriana Zamiara, którego dom z czerwonej cegły stał ukryty w bujnej zieleni sadu, wśród dwóch wysokich nasypów, w widłach mostów – kolejowego i drogowego, zamkniętych w dole rzeką – celem naszych wędkarskich wypraw.

Owej pięknej, złotej polskiej jesieni Zamiar często wychodził na polowanie, a my pospiesznie zwijaliśmy wędki, aby rozkoszować się w jego domu dotąd nieznanym nam światem zbiorów muzealnych, przyrody, łowiectwa i strzelectwa.

Szczególnie bogato prezentowała się biblioteka oraz pokój myśliwski pełen starych obrazów, szabli, wieńców jeleni, parostków rogaczy, medali i odznaczeń bractw kurkowych.

Z wiszącego portretu dziadek dumnie prezentował swoje odznaczenia, a na kapeluszu błyszczał srebrny orzeł w koronie.

Florian Zamiar był Królem Kurkowym w 1926 roku i Ryce-rzem w 1927, walczył też o Tarczę Rzeczypospolitej. Dom jego był pełen pamiątek, odznaczeń myśliwskich i legionowych.

Najchętniej zaszywałem się z bratem w bibliotece, wśród setek tomów książek sygnowanych zielonym stemplem “Kujawskiego Koła Łowieckiego” w Inowrocławiu. Oprócz znanych powieści z klasyki

łowieckiej było tam sporo fachowej literatury i przedwojennych miesięczników “Myśliwca” oraz pierwszych powojennych “Łowców Polskich”.

Zauważyłem, że Franek był obojętny na hobby dziadka. Ciekawiły go ryby i technika ich połowu, toteż zostawiał nas w spokoju.



Pan Florian odkrył w końcu nasze zainteresowania. Odtąd byliśmy częstymi gośćmi u Franka, a jego dziadek znalazł w nas grzecznych słuchaczy. W czerwonym domku nad Notecią przy ul. Poznańskiej mogliśmy usłyszeć wiele ciekawych opowiadań o kniei, zwierzynie, zdobytych przez dziadka trofeach, o leśniczówkach i miłości do lasu, o strzelbach zawieszonych na ścianach i kurkowej dubeltówce – przedmiotach naszego magicznego uwielbienia.

Trudno mi dziś wyobrazić sobie, jakie wrażenie robił na nas pan Florian swoimi opowiadaniem.

Brat mój, Tadek, brał już udział we wspólnym polowaniu, w końcu i mnie się to udało. Towarzyszył nam duży wyżeł, który świetnie aportował bażanty i wystawiał kuropatwy, po mistrzowsku strzelane przez myśliwego.



Któregoś jesiennego dnia Franek po powrocie dziadka z polowania otrzymał kurkówkę dla przeczyszczenia luf, a ja chętnie mu w tej czynności pomagałem. Mogłem wówczas wziąć do ręki ciężką strzelbę, która zapachniała świeżym prochem. Zaraz odkryłem, że zapach ten był mi dobrze znany. Jeszcze rok przed wojną ojciec zabierał mnie kilkakrotnie na polowanie na kaczki i bażanty nad łąki i mokradła Gopła.

Mój pradziad był sołtysem w Rzepowie, małej miejscowości za Kruszwicą, której pola stykały się z zarośniętymi brzegami jeziora. Była tam obfitość ptactwa. W malowniczych chaszczach żyły bażanty i kuropatwy, a na brzegach, w bajorach i trzcinach – stadka kaczek.

Do Kruszwicy jechaliśmy koleją, a z dworca do Rzepowa po wozem wujka w dwa konie.

Najczęściej w domu, przy wielkim stole w jadalni, zastawaliśmy zawsze kilku myśliwych przy sutym podwieczorku, a po polowaniu przy wiejskim winie. Wieczorami opowiadali o niesamowitych przygodach, o przebiegłej zwierzynie, złych psach i pudłujących strzelbach.

W polowaniach zawsze uczestniczył mój dziadek Józef, który był członkiem bractwa kurkowego w Kruszwicy, a jego miłość do przyrody, wędkarstwa i łowiectwa robiła na nas wielkie wrażenie. Jego dom w Tupadłach był pełen wiatrówek, ekspresów i innych strzelb, a tarcze stale wisiały na dużych wrotach stodoły.

Wuj, Władysław Adamski, miał piekarnię i sklep cukierniczy na rynku w Kruszwicy, gdzie mój ojciec terminował jako młody chłopiec. Po pierwszej wojnie światowej sklep stał się miejscem spotkań Piłsudczyków, członków bractwa kurkowego, a przede wszystkim myśliwych polujących na ptactwo.

Z polowań, na które mnie ojciec zabierał, przywoziłem dziesiątki patronów (łusek), dlatego zapach prochu wydobywał się z mej szuflady przez kilka ponurych okupacyjnych lat. Teraz podobnie pachniała czyszczona przeze mnie kurkówka.

Później nasze drogi z Frankiem się rozeszły. Ja poszedłem do gimnazjum. Tadek jednak uczestniczył w polowaniach pana Zamiara jeszcze przez wiele lat. Wypożyczał ciekawe książki, które z wypiekami na policzkach zaczytywaliśmy.

Brat zresztą po tym młodzieńczym okresie odbywał staż łowiecki w jednym z tamtejszych kół, jednak do myślistwa trafił dopiero w latach osiemdziesiątych, do Nadnoteckiego Koła Łowieckiego w Pakości, gdzie pełnił funkcję kronikarza.

Dziś można powiedzieć, że kluczami do naszego łowiectwa były ryby, a raczej te cudowne, pachnące nadnoteckie i nadgoplańskie łąki, skąpane w słońcu, przepojonym zapachem torfu i bagien, z pejzażami krętej rzeki.

Naszym wyczynom wędkarskim przyglądał się drugi brat Edek, który starał się przegonić nas w sukcesach wędkarskich. Szukał zawsze najdzikszych zakątków rzeki, gdzie najczęściej udawało mu się złowić większe ryby. Przez kilka wakacji rzeka przy spalonym moście stawała się naszym wędkarskim Eldorado. Noteć tworzyła tu kilka zakrętów, podmywała brzegi tworząc wiry i podwodne zapadliny, gdzie ukrywały się wielkie okonie, a nawet szczupaki.

Później los rzucił mnie i Edka w Karkonosze. Edek zaangażował się w prace młodzieżowej sekcji wędkarskiej z dala od Noteci, aby w roku 1975 wstąpić do PZŁ w Jeleniej Górze. Został też namiętym myśliwym, znawcą broni myśliwskiej, kolekcjonerem trofeów, obrazów, rzeźb i znaczków o tej tematyce, wreszcie kierownikiem sklepu "Jedności Łowieckiej".

Po kilku latach tereny łowieckie nad Notecią i w Karkonoszach, ze względu na naszą rodzinną przynależność do różnych kół łowieckich, stały się dla nas dostępne, a w ostatnich latach także zbiornik w Mietkowie pod Ślężą, bogaty w gęsi i kaczki. Na tym terenie poluje mój syn Darek, myśliwy w piątym już pokoleniu, należący do wrocławskiego Koła "Jarząbek", gdzie równocześnie pełni funkcję kronikarza i sekretarza.

Ja do łowiectwa trafiłem poprzez fotografię przyrodniczo – łowiecką i współpracę z redaktorem naczelnym “Łowca Polskiego” Józefem Szczepkowskim od 1961 roku.

W Kole “Darz Bór” w Jeleniej Górze od 1970 roku prowadziłem foto-kroniki, kilka kadencji pełniłem funkcję sekretarza, a w Zarządzie Wojewódzkim PZŁ w Jeleniej Górze członka Komisji Etyki, Tradycji i Zwyczajów Łowieckich. Współpracowałem z prasą w zakresie popularyzacji łowiectwa, przywracania jego prawdziwej historii na Dolnym Śląsku.

W latach osiemdziesiątych wielokrotnie polowałem na kaczki na zapadach nad Notecią, niemal w tych samych miejscach, gdzie jako mały chłopiec nosiłem bażanty za dziadkiem Franka.

Dzięki przyjaźni ze Zdzisławem Gronikowskim, Franiem Strączkowskim i Klemensem Wódczakiem z Koła “Diana” w Inowrocławiu, spędziłem wiele niezapomnianych chwil w Dąbkach pod Gniewkowem, gdzie Koło ma swój domek myśliwski. Na nadnoteczkach mokradłach w Mątwach i pod Janikowem, u leśniczych Jerzego Hajka i Janusza Smułka w leśniczówkach Przedbórz i Siedluchna. Obok Przyjeziera filmowałem i fotografowałem pierwsze prawdziwe dziki, sarny i jelenie, zapisałem dziesiątki kartek w notatnikach na tamtejszych ambonach. Podglądałem zwierzynę w pełni nocy przy blasku księżyca, przy cudownych wschodach i zachodach słońca, uczestniczyłem w pachnących wątróbką i grzybkami podwieszczorkach u leśniczanki pani Stasi.

Tak więc w pasje łowieckie niemalże całej mojej rodziny, oprócz strzelby wpisała się również kamera i pióro. Czerpałem przykład ze znakomitego miłośnika łowiectwa, redaktora “Łowca Polskiego” Zbigniewa Kowalskiego, który wręcz zalecał, aby nie rozstawać się z notatnikiem i aparatem fotograficznym w czasie polowania, gdyż pogłębia to i zwielokrotnia przeżycia.

Nasze zdjęcia zdobią kroniki wielu kół łowieckich, były prezentowane na kilkunastu wystawach z okazji rocznic PZŁ, w Muzeum Karkonoskiego Parku Narodowego, w leśniczówkach z okazji

jubileuszy kół łowieckich, na wystawach krajowych i międzynarodowych oraz ilustrowały wiele wydawnictw i książek łowieckich.

Po rodzicach, dziadkach i pradziadkach odziedziczyliśmy szacunek, miłość i tęsknotę za lasem, uwielbienie dla niezniszczonej, oczystej przyrody, wiekowych drzew, zwierząt i ptaków.

Moje zapędy pisarskie, bardzo skromne, głównie dotyczące tematyki wędkarskiej i historii łowiectwa na Dolnym Śląsku, spotkały się z uznaniem i jednocześnie krytyką, toteż wiele lat upłynęło zanim wahania mnie opuściły i znów chwyciłem za pióro. Nie odkładając kamery przepisywałem notatniki, a niektóre relacje z wypraw zawarłem w tym tomiku.



## 4. Triumf i smak porażki

**K**ołuda Mała wśród wędkarzy wcale nie oznaczała nazwy małej wioski z kilku domkami z czerwonej cegły, no i pałacu, który w tych bagnach ustawiono. Dla nich nazwa ta przede wszystkim kojarzyła się z wielkimi rybami w zapomnianej przez Boga i ludzi starej rzece oraz bagiennych wertepach i zapadliškach. Dla innych jeszcze oznaczała niedostępny teren, ciągnący się od kanału Noteci, którym skrócono kiedyś jej bieg do jeziora Pakoskiego. O starym korycie rzeki, długości pięciu kilometrów, biegnącym wśród bocznych wzniesień, przez jezioro Węgierka i Ludzisko do Kołudy Małej i ujścia do jeziora Pakoskiego jakby zapomniano.

Ta dawna Noteć, tu płynąca w dolinie z północy na południe, przypominała swym wyglądem raczej krajobrazy Polesia. Wydawało się, że bagna ciągle tonęły we mgłę i oparach, które zastępował siąpiący deszcz, zwany tu kapuśniakiem. Kto tu przebywał, wiedział, że klimat jest zimny, wilgotny, wciskający się kroplami wody za kołnierze koszul.

Rzeka ta niczym nie przypominała zwykle płynącej wśród płaskich łąk Noteci - szlaku wodnego pomiędzy Gopłem a Kanałem Bydgoskim. Brzegi jej były grząskie, zdradliwe, pochłoneły już wielu miłośników wędkowania. W wodzie leżało pełno korzeni i zatopionych pni. Czarne ich kłody wystawały niczym wielkie grzbiety karpia lub sumów. Bagna porastały trzciny, wysokie na długość wędziska, przetykane płataniną wierzb. Z rzadka na suchych groblach rosły wiekowe dęby, których w troje było ciężko objąć.

Kiedy pod koniec wojny wysadzono w powietrze trzy zwisające, potężne mosty na rzece, dzikość jej i tych bagien jeszcze bardziej wzrosła, a rzeka stała się niezegłowna.

Żyło tu dużo ptactwa wodnego. Piżmowce niszczyły brze-

gi i podtapiały całe połacie łąk. Wydawało się, że wędkowanie, jest tu ryzykowne, a nawet niemożliwe. Wiadomo było jednak, że pływały wielkie ryby.

Zaraz po wojnie poznałem Tadka Czapłę, syna miejscowego rybaka. Włóczył się całymi dniami po tych dołach i nadrzecznych bagnach, znał wszystkie podwodne groble, każde tajne przejście. W głowie miał tylko przyrodę. Wiedział gdzie gnieźdzą się baki, gdzie wiją swe gniazda trzciniaki, a gdzie mieszkają łyski i krzyżówki.

Czapla był typem dawnego mieszkańca prastarego nadgoplańskiego, bagiennego boru. Nie spieszo mu było do chaty, aby spożywać posiłki przyrządzone przez matkę. Wolał jeść ryby i ptasie jaja, mieszkać w szałasie przez siebie wybudowanym. Przy tym był zdrowy i mimo młodego wieku silny jak tur. Robił wszystko, co tylko zechciał. Oprócz łowienia ryb lubił je piec na ognisku, wstawać wcześniej o świcie i znikać w swoim szałasie o zmroku. Bezszelestnie przychodził i znikał znienacka. Umiał cieszyć się pulsującą tu życiem przyrodą.

Taki to już był Czapla!

\*

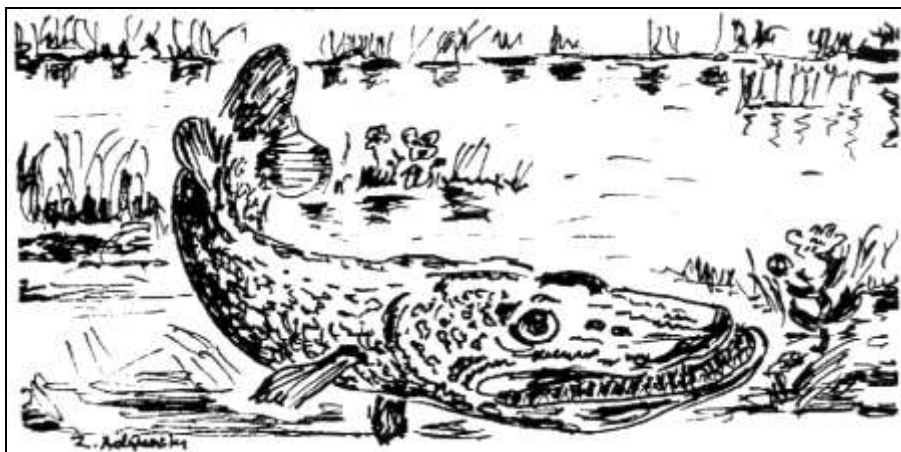
Nastał upalny początek lata, na bagnach przepojony zapachem tataraków i butany. Wilgotne powietrze zatykało nosy, w ustach było słodkawo, a gardło drażniły unoszące się kudłate pyłki wierzb.

Tadka znałem ze szkoły, a jego barwne opowieści o wielkich rybach-potworach bywały ekscytujące i podniecały młodzieńczą wyobraźnię, były wizją wielkiej przygody.

W końcu postanowiłem jego zaproszenie przyjąć i tak w kolejne wakacje znalazłem się nad starą Notecią.

Weszliśmy w miejsce, gdzie nagle urywało się pasmo wierzb i zaczynał labirynt ścieżek wśród niekończącego się łąnu trzcin.

Brodząc po kolana w błocie doszliśmy do wystających z wody pni. Wraz ze splątanymi korzeniami tworzyły tu brzeg niewielkiego dołka, a w ich uścisku widniała maleńka wysepka, wybrana przez Czapłę na miejsce naszego polowania na podwodne wielkie szczupale.

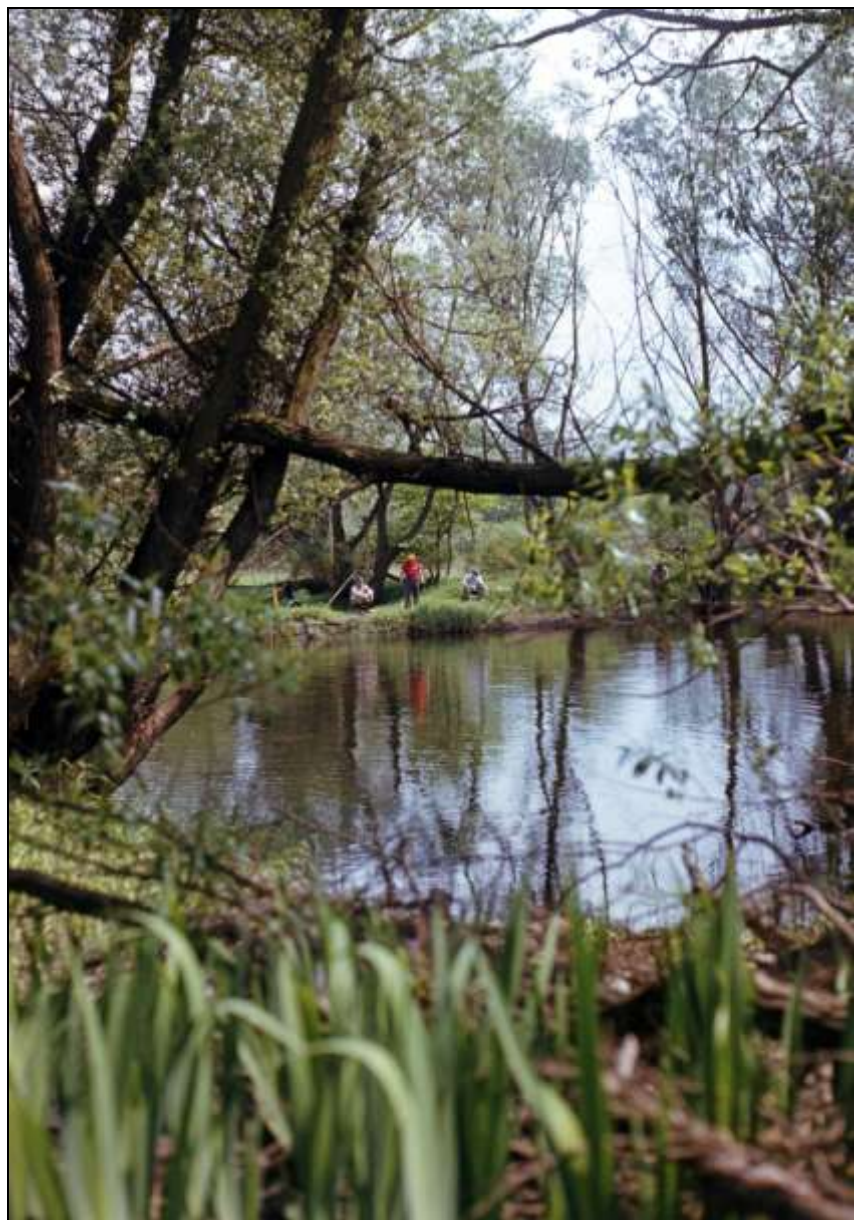


Wyposażony w tonkinową klejonkę, czeski kołowrotek „tap” oraz błyski domowej roboty, chciałem Tadekowi zaimponować wyższością nowoczesnego sprzętu nad jego blachą z aluminiowej poniemieckiej łyżki i zwijanej wokół łokcia żyłki.

Woda była koloru szmaragdowego, zabarwiona podwodnymi warkoczami moczarki. Wokół panowała cisza i spokój, jedynie czasem daleki odgłos kukułki wyraźnie niósł się po wodzie.

Na początku, aż mi było głupio. Każdy niemal mój rzut kończył się wyciągnięciem pęczka zielska i zmąceniem wody. Widząc moją nieporadność Tadek poprosił o odczekanie do chwili, aż woda nabierze klarowności.

Dopiero pod wieczór któryś z dalekich rzutów przyniósł mi wreszcie długo oczekiwany sukces. Na kotwicy znalazł się kilkukilogramowy, zadziorny szczupak. Jego atak odczułem jak silne szarpnięcie, potem wyskoczył nad powierzchnię wody, zadzwonił wirówką i wpadł z powrotem w jej toń. Moje podniecenie natychmiast zaczęło wzrastać. Aby uniemożliwić rybie wpłynięcie w konary nawet nie wiem, kiedy znalazłem się po pas w wodzie. Gdyby nie mój przyjaciel pewnie bym z tego grzędzawiska nie wyszedł o własnych siłach. Ryba i tak wplątała się w gałęzie, urwała wirówkę, a na kołowrotek zwinąłem o dziesięć metrów żyłki mniej.



Zatrzymaliśmy się nad niewielkim kanałem. Tuż za nim, w dole, rozciągał się bezkres trzcin, które przyciemniał zamglony, szarzejący horyzont.





Zawsze lubiłem polować na pograniczu głębi, tam spotykałem największe ryby,  
a czapla obserwowała mnie z drugiego brzegu.



Nastał upalny początek lata, na bagnach przepojony zapachem tataraków i butany,  
a kaczor krzyżówki ciekawie przyglądał się mym wędkarskim wyczynom.

Moje zdenerwowanie w końcu ustąpiło, a jego miejsce zajęła chęć podpatrzenia przyjaciela, który tego wieczora złowił prawie trzykilogramowego szczupaka.

Robiło się szaro, komary cięły nieznośnie, wracaliśmy do szalasu. Wcześniej przygotowane dwa szczupaki powędrowały na ognisko, a raczej na rozgrzane kamienie i obracane przez Tadka rumieniły się w blasku ognia. Pachniało wokół majerankiem i jabłkami, którymi kucharz nafaszerował obie ryby. Jeszcze tylko sól do smaku i do ręki pajdy wiejskiego chleba, urwane z bochenka. Nic wcześniej nie smakowało mi tak jak ta traperska kolacja na tym odludziu, przyrządzona przez Czapłę.

Noc była krótka.

– Wstawaj już czwarta, przygotuj się, spać będziemy w dzień, bo zanoszą się na deszcz – tymi słowami przywitał mnie Tadek.

Jeszcze szary przedświt nastawał, kiedy wyruszyliśmy na nowe łowisko. Dla mnie spotkanie z wodą było zawsze dużym przeżyciem, zwłaszcza tu, w zetknięciu z tak dziewiczą przyrodą. Szliśmy wśród trzciny, po boku oczka wodne tonęły jeszcze w głębokim śnie, ryby nie marszczyły lustra wody, nie wyszły na mielizny za drobnicą i owadami.

Czekała nas niebezpieczna przeprawa na drugi brzeg przez śliską, leżącą w wodzie kłodę.

Po wiosennych roztopach poziom wody był wysoki i utrudniał przechodzenie, nawet wypróbowanymi ścieżkami. Nie uważnie stanąłem na śliskim konarze i znów byłem o krok od przy-musowej kąpieli.

Wreszcie drugi brzeg. Rzeka przechodziła tu w mielizny, otoczone zewsząd krzewami. Obok rozłożystej wierzby kusił mnie czarny dołek.

Zawsze lubiłem polować na pograniczu głębi, tam miewałem wiele sukcesów. Zacząłem źle. Pierwszy rzut nie wyszedł, poza tym złamałem gałązkę wierzby zahaczoną kotwicą. Ścięte listki powoli opadały. Nagle fontanna wody wytrysnęła w górę ze spokojnej toni. Wielki żarłok nabrał się chyba i połknął zamiast

uklei mały listek. Zaskoczenie moje było kompletne. Zachowanie ryby świadczyło o wielkiej jej żarłoczności.

Od nowa drżącymi jeszcze palcami poprawiłem mepsa i teraz już rozważnie rzuciłem pod sam krzak. Kilka obrotów korbką i żyłka się naprężyła. Lekko szarpnąłem, kij wygiął się w kabłąk. Podniecenie wzrosło. Pełen obawy o zbyt silnie przykręcony hamulec. Jego miarowe terkotanie przyjąłem z ulgą. Było nadzieja na wyciągnięcie ryby. Powolny i łatwy hol trwał krótko. Kiedy szczupak zobaczył mnie, miał już dość tej zabawy. Zakręcił młynca, wyskakując nad wodę. Głośno zatrzepotał łbem, zadzwonił błyską, chcąc ją wypluć, a kiedy to się nie udało, pozwolił się bez przeszkód doholować do brzegu. Trwało to jednak krótko. Ponowny atak ryby omal nie zakończył się zerwaniem żyłki. Tylko jakiś łut szczęścia pozwolił mi ją wyprowadzić ponownie na czystą wodę i przyholować do brzegu.

Szczupak okazałe wyglądał. Miał omszały, zielony grzbiet, w pomarańczowe i złote plamy, krwisty ogon oraz czerwone płetwy, od spodu prawie srebrnobiałe.

Po przyjsściu Tadka zważyliśmy rybę. Miała ponad pięć kilogramów. Zrobiliśmy z nią zdjęcie.

Czapla przyniósł trzy kilogramowe szczupaki i dwa zielone garbusy, okonie o krwistych płetwach. Ryby szybko obraliśmy, natarł je pokrzywą, nasolił i zawiesił nad ogniskiem. Filety nakrył rękawem z koca przeciwpożarowego i tak przez parę godzin wędził. Zapach dymu prowokował i drażnił podniebienie, ale ryby z tej wędzarni, a zwłaszcza okonie, smakowały wtenczas wyśmienicie.

W następnych dniach złowiłem na tych rozlewiskach jeszcze dwa podobne okazy, choć muszę przyznać, że jeden z nich wyrwał mi korbkę kołowrotka, okaleczył nią palec i porwał żyłkę.

Przeżycia, jakie następują w takich chwilach, na pewno zna każdy wędkarz. Mnie ta dzika rzeka jeszcze przez wiele lat mobilizowała do jej odwiedzania, do przebywania w jej otoczeniu i wilgotnym klimacie, do powtarzania sukcesów trapera Tadka Czapli

## 5. Niucha

**C**zęsto wędkarzy i myśliwych nazywa się łgarzami. Jeżeli chodzi o tych pierwszych, to nie byłbym tak pewny nieprawidłowości tego twierdzenia. Jest jednak ono wielce krzywdzące, jeżeli przypisuje się je myśliwym. Kiedy opowiadają choćby najbardziej niewiarogodne zdarzenia, to są one najczęściej ich przeżyciami własnymi, które miały miejsce w kniei, a tam dzieją się rzeczy dziwne i niewytłumaczalne, choć prawdziwe, takie, które nawet nie śniły się filozofom. Myśliwi mają bardziej wyostrzony słuch i wzrok, niż zwykli śmiertelnicy, dlatego też las otwiera przed nimi więcej tajemnic i zagadek.

Myślę, że po tym wstępie to, co Czytelnicy przeczytają nie będzie wzbudzało żadnych zastrzeżeń, co do prawdziwości tych zdarzeń.

W latach siedemdziesiątych zostałem zaproszony przez leśniczego Jerzego Hajka do leśniczówki Przedbórz na spotkanie z olbrzymim dzikiem, a raczej lochą zwaną Niuchą. Z korespondencji niedwuznacznie wynikało, że leśniczy chodzi z dzikiem po lesie jak ze swoim foxterierem.

Dopiero na miejscu dowiedziałem się o eksperymencie z dzikiem, który trwał prawie dwa lata.

Leśniczówka położona jest przy szutrowej drodze, z dala od zabudowań gospodarskich, na piaszczystym wzniesieniu obok kilku hektarów trzciny i bagien, w które wrzyna się klinem gęsty, nowy młodnik.

Na jego skraju ustawiono z kunsztem wykonany paśnik dla dokarmiania zwierzyny, a ona z niego skrzętnie korzystała.

Gospodarz leśniczówki dbał o to, by było w nim suto - siano, buraki, wysłodki, dwa, trzy razy w tygodniu wysypywano tam czerstwy chleb.

Z podwórka leśniczówki w okresie zimy można było zobaczyć przy paśniku nie tylko sarny, jelenie, pod wieczór przychodziły tam też dziki.

Po jednej ze śnieżnych nocy gospodarz leśniczówki z niedowierzaniem zauważył, że przed jego bramą znajdują się duże tropy dzika odcisnięte w świeżym śniegu. Zatem wypadało gościa z lasu zaprosić na podwórko zagrody. Wśród ułożonych obok stodoły sążni drewna rozsypano słomę, wyłożono pajdy chleba, osłaniając je gałęziami.

Dzik ponownie przyszedł w nocy po trzech dniach. Obszedł ogrodzenie i wrócił do lasu, nie tykając zupełnie karmy. Nie pokazał się również w następnym tygodniu. Aż któregoś ranka robotnicy, którzy pracowali przy przecince lasu, zauważyli, że od zagrody leśniczego wracał do lasu duży dzik. Tym razem chleb był sprzątnięty, a wygnieciony w słomie barłóg świadczył, że dzik się tu położył.

Później już widywano go od wieczora do świtu. Upłynęło jednak sporo czasu zanim legowisko było wykorzystywane na stałe. Osłonięto je teraz zupełnie drewnem, nawet częściowo zadaszono.

W mroźną, lutową noc do barłogu przyszły już dwa dziki, które po paru dniach spały tam w ciągu dnia. Opuszczały go dopiero o zmroku.

Trwało to tak do marca, kiedy na śniegu pokazały się małe ślady sześciu warchlaków, które po nabraniu sił opuściły zagrodę razem z lochą.

Przez jakiś czas barłóg był pusty. Wydawało się, że dziki już więcej nie wrócą. Miały przecież obok całe hektary trzcin i młodnik. Było już ciepłej, leśniczy nawet zamknął bramę i tylko wyjął kilka sztchet z płotu.

Był, zatem zaskoczony, kiedy w kwietniowy ranek zauważył pod okapem dużego dzika. Bestia patrzyła mu – jak mówił – spokojnie w oczy.

Pod koniec maja dzik, a raczej locha nazwana Niuchą, jadła już chleb z ręki leśniczego. Z czasem chodziła z nim na wspólny spacer po lesie. Jedyńm warunkiem tych wypraw we dwoje było

posiadanie chleba w kieszeni, który ona stale swą tabakierą sprawdzała.

Niucha stała się w ten sposób bardzo popularna. Znali ją pracownicy leśni, myśliwi polujący w tym terenie, rolnicy i ciekawscy turyści, do których i ja się zaliczałem.

Kiedy pod koniec lipca w upalny dzień odwiedziłem mego przyjaciela, Niucha przyszła razem z nim na spotkanie. Była starym dzikiem o zwięzłym korpusie, spadzistym do tyłu, potężnym łbie z wysokim czołem, krótkimi szerokimi uszami, ostro zwężonym ryjem, prostopadle osadzonym nosem zwanym tabakierą.

Takie lochy utraciwszy płodność mają kły nie mniejsze niż niejeden pojedynek i przyjmują cechy samców. Niuchę właśnie takie białe kły zdobiły. Kłapiąc nimi ostrzyła je. Biegając wydawała się zwinna i lekka.

Po obiedzie Jurek zaproponował wycieczkę do lasu. Wziął tradycyjnie do torby parę skibek chleba i spacerkiem ruszyliśmy skrajem mokradła. Dzik jak burza ruszył w trzciny. Słysząc było tylko ich łamanie. Wydawało mi się, że przepadnie w nich na zawsze.

Leśniczy, widząc mój niepokój, pocieszył mnie mówiąc, że Niucha wróci. Rzeczywiście, po parunastu minutach wybiegła przed nami, cała upaprana w błocie, nie do poznania. Nabrała na siebie całe kępy mułu i rzęsy, wyglądała jak straszdyło.

Mieliśmy szczęście, bo dobiegła do pnia olchy i zaczęła się o nią czochrać, odsłaniając swą stalowoczną sierść. Każdy dzik lubi tarzać się w błocie, chroniąc się przed owadami, ale Niucha robiła to aż do przesady.



W mroźną, lutową noc do barłogu przyszły już dwa dziki, które po paru dniach spały tam w ciągu dnia. Opuszczały go dopiero o zmroku.

Po wejściu do lasu straciliśmy kontakt z dzikiem. Słyszeliśmy tylko krzyki z przyległego pola. Leśniczy przyspieszył, wyraźnie podenerwowany. Obraz, jaki zobaczyliśmy, był zarazem humorystyczny jak i niepokojący. Wychodząc z lasu ujrzeliśmy skąpo ubraną parę wdrapującą się na szczyt stogu i rozpaczliwie wzywającą ratunku. Niucha podrzucała plecak niczym piłkę, aż wysypała się jego zawartość.

Oczywiście dla tej przestraszonej pary staliśmy się jedyną nadzieją na odstraszenie bestii. Dzik zaś opróżnił widać plecak, bo zadowolony wracając głośno rechotał. Zawsze to robił, kiedy otrzymał kawałek chleba.

Schowaliśmy się do lasu, aby, jak mówił leśniczy, ci nieszczęśnicy pozbiali się i ubrali gacie.

Przypadek ten nie był odosobniony. Dzik do jesieni dobierał się wczasowiczom do pożywienia, a później grzybiarzom, siejąc wszędzie popłoch i strach.

Opuścił na zawsze leśniczówkę zimą, kiedy myśliwi próbowali tresować na nim kundla używanego do polowania na dziki. Ponoć jednego z nich przewrócił i gdyby nie pomoc mogłoby to się źle skończyć.

Od tego czasu nikt więcej Niuchy nie widział, ale pamięć o niej w leśniczówce pozostała i chętnie o wyczynach tego dzika się opowiada.



## 6. Ptaki babiego lata

**Z**aproszenie od Zdzisława na kuropatwy przyjąłem z radością, choć chwilę się zastanawiałem nad odpowiedzią, bo to przecież tak daleko. Moje wahanie kolega wyczuł natychmiast i dodał:

– Przyjeżdżaj, kur jest na Ludzisku sporo, zabawa będzie pyszna. Skończą się rżyska a potem zostaną gołe pola i smętna pustka. To są ptaki babiego lata, później już na opustoszałej ziemi będziesz mógł tylko z daleka usłyszeć ich furkot. Polowanie wówczas przynosi korzyści drapieżnikom. Nie przegap tej sposobności!

Ciemna, zamglona wrześniowa noc w Kotlinie Jeleniogórskiej nie nastrajała optymistycznie. Światła samochodu bledły w gęstej mgłę i zmuszały do maksymalnie ostrożnej jazdy. Dopiero na autostradzie mogliśmy sobie pozwolić na zwiększenie szybkości.

Mój brat Mundek był dobrej myśli. Wydawał się być szczęśliwy z tego zaproszenia. Przecież to była wyśmienita okazja do sprawdzenia swoich umiejętności w strzelaniu do pióra, a takie polowania na Pogórze Sudeckim należały do rzadkości.

Południowe krańce Pomorza przywitały nas barwami wyblakłego łubinu, złotymi pasami ściernisk i resztkami ziemniaczysk. Wrześniowy poranek wstawał cichy i senny. Ogarniał nadnotecką równinę aż po sam horyzont.

Dym z ognisk, razem z niemi babiego lata, snuł się wszędzie, w coraz bardziej rozgrzewanym powietrzu. Pachniało łącinami z ziemniaków i słomą.

Spotkaliśmy się na moście starej Noteci. Stąd już tylko krok dzielił nas od pól, z których można było usłyszeć miłe nam nawoływania: "czirr-żyt, czirr-żyt".

Pod butami łamały się z trzaskiem wyschnięte łodygi buraczanych liści. Ich dywany ciągnęły się daleko, nawet dotykały brzegów rzeki. Obok nich niczym lusterka lśniły małe jeziora

i torfowiska, a na wzniesieniach złościły się jeszcze nie zaorane rżyska.

Nad tym jesiennym krajobrazem dumnie stało, jakby w bezruchu, wyblakłe niebo. Wszędzie panowała dostojna cisza, mącona czasem świergotem skowronków oraz szczygłów, kręcących się w łodygach ostów.

Tak zapamiętałem mój pierwszy wyjazd nad Noteć na polowanie do pióra, w czasie snującego się babiego lata.

Było na tyle wcześniej rano, że słońce jeszcze mocno nie oślepiło wzroku, a rosa już zdążyła obeschnąć. Stanęliśmy pod wiatr na szosie pomiędzy Ludziskiem a Janikowem. Pilnie śledziliśmy stadka kuropatw przemieszczających się na inne rewiry. Było to dość łatwe, bo wabiły się głośno. Spektakl trwał z pół godziny, zanim ptaki zapadły na stałe i znów nastała cisza.

Zdzichu był znawcą obyczajów kuropatw, choć ze strzelaniem było u niego różnie. Stan kur był tu okazały, choć ponoć dużo ptaków jeszcze nie wyrosło i według gospodarza miały latać nisko.

Szeroką ławą weszliśmy w buraczysko. Stara wyźlica Kora okładała skrupulatnie gęste ich łąny. Zatrzymywała się i dalej jej ciemnobrązowy grzbiet pruł liście niczym łódź wodę. Naraz znie-ruchomiała. Trzęsa się jak w galarecie, chyba tylko po to, aby zwrócić na siebie uwagę.

Naraz znikła pod okapem liści i zaczęła się czołgać. Pełen napięcia spodziewałem się stadka kur. Już poderwałem strzelbę, kiedy przed Korą z hałasem wyfrunął skowronek, po nim następny i oba zapadły kawałek dalej. Wyźlica popatrzyła na mnie z niedowierzaniem. Nie mogła pojąć, dlaczego nie strzelałem.

Naraz pies szybko przeskoczył kilka buraczanych redlin i znie-ruchomiał. Znów popatrzył na mnie i zginął w liściach. Wiedziałem już, że czołga się za wyciekającym stadkiem. Podbiegłem bliżej, potykając się z hałasem o wystające bulwy i omal nie upadłem.

Znów ukazał się jego wielki łeb, a z mokrych oczu widać było zdziwienie moimi nietaktownymi wyczynami i zachowaniem.

Kora znów zaczęła trząść się jak przedtem, a raptowny fur-

kot skrzydeł podrywających się kuropatw był dla mnie paraliżujący. Pierwszą lewą kurę spodłowałem, druga w znacznej odległości jakby trafiła w niewidoczną ścianę i opadła z rozwichrzonymi skrzydłami.



W paru susach pies był przy niej. Niósł ją uroczyście, zataczając koło, ciągle na mnie zerkając czy aby doceniam jego zdolności. Specjalnie nakładał drogi.

– No już dobrze – powiedziałem. – Dobry pies!

Wyźlica przysła. Oddała zdobycz. Dopiero, kiedy ją podrapałem za uchem okazała zadowolenie.

Natychmiast odbiegła, gdy kolega strzelił dubleta. Pędziła co sił w miejsce upadku ptaków. Po chwili przyniosła mi jeszcze trzepoczącą się kurę.

– Ależ to nie moja – przekonywałem ją. – Zanieś do swego pana! Pies patrzył na mnie wielkimi ślepiami z niedowierzaniem, ale zrozumiał swą pomyłkę. Nawoływany przez gospodarza pobiegł. Znow spód jego nóg wzbil się ku górze z furkotem stary, doświadczony kogut, odciągając naszą uwagę od startującego

z lewa stadka. Kuropatwy mijały mnie, a kiedy weszły na linię strzału boczną z nich strąciłem drugim nabojem. Kora przyniosła ją i oddała bez wahania. Pogłaskałem ją po lśniącym łbie. Kurę zawiesiłem na trokach. To był już drugi mój ptak.

Z najwyższego łąnu liści naraz jak z procy wyskoczył rogacz. Lichy widłaczek sadił wielkimi susami, ku zaskoczeniu i konsternacji psa. Po drodze spłoszył następne dwa stadka kur. Znalazły się poza zasięgiem strzałów. Kora była wyraźnie rozczarowana, że z taką łatwością wypuściliśmy tę zdobycz. Przyglądając się jej myślałem, że miała coś z nawyków kłusownika.

Słońce już wzeszło wysoko, babie ciepło dogrzewało. Długie warkocze pajęczyn snuły się nad miedzami, połyskując srebrem w jesiennym słońcu. Pomimo delikatnego wiaterku rozpinam koszulę, która już lepi się do ciała. Po tyłu emocjach muszę się uspokoić, choć po lewej i prawej strome padają jeszcze strzały.

Jestem szczęśliwy, bo czuje na trokach ciężar kur i mimo, że moi koledzy mają ich więcej, cieszę się z tego polowania jak dziecko.

Kora miała zalany nos zimnym potem, coraz otrząsała z niego wielkie krople. Kiedy rozładowuje strzelbę przed psem jeszcze podrywają się pojedyncze młódki. Suka bobruje wśród liści, zachęca nas do dalszego polowania.

Gospodarz gwizdże na wyżlicę. Mówi do niej, że już po raz drugi nie będziemy obchodzić tego pola.

Zmęczeni siadamy w cieniu polnej jabłoni. Zegarek nieubłaganie wskazuje godzinę szesnastą. Ze wsi dolatuje gwar dzieciaków grających w piłkę. Drogą furmanki wiozą buraki do pobliskiej cukrowni. Wkrótce skończą się buraczyska. Z opustoszałych pól płynie jakaś niewypowiedziana tęsknota za uchodzącym ciepłem, za głosami nawołujących się stadek kuropatw, za wyblakłym niebem na nadnoteckiej równinie i snującymi się pajęczynami babiego lata.

## 7. Odkrywanie przeszłości

**B**ardzo lubiłem polować w coraz to innych i niezagospodarowanych rewirach, wśród starych drzew, na mokradłach, najchętniej zapomnianych przez wszystkich matecznikach i werstepach. Tam pejzaże, których jeszcze nie znałem, pragnąłem oglądać w różnych porach roku, o wschodzie i o zachodzie słońca, nasycić nimi wzrok i często utrwalić na kliszy, a czasem nawet zapisać przeżyte wrażenia. Stąd mój ekwipunek był stosunkowo ciężki i często utrudniał poruszanie.

Kiedy Klemens zaproponował mi uczestnictwo w polowaniu na kaczki na mokradłach obok Dziarnowa, niemal podskoczyłem z radości. Przecież tam zaraz po wojnie jeździliśmy na ryby. Było to wówczas wędkarskie Eldorado, łowiło się piękne okazy lina, szczupaka, a nawet karasie. Tam wykonałem pierwsze zdjęcia konkursowe do Wiadomości Wędkarskich.

Te nadnoteckie moczary musiały na mnie zrobić wielkie wrażenie, bo bez trudu z mej pamięci wydobyłem obrazy, które do dziś zapamiętałem.

Mokradła obfitowały w krzaki łóz, młode brzoźki, labirynt rowów i oczek wodnych, szczególnie trudno dostępny po wiosennych wylewach Noteci. Zapamiętałem, że na nic wówczas zdały się jakiegokolwiek buty, grzęzło się stale w błocie. Do wody można było dojść tylko po zbutwiałych okrągłakach, z nich też najczęściej zbudowano kładki przez rowy.

Wydawało się, że czarna, błotna maź była tu zatopiona w wodzie i tylko na jej obrzeżach rosły rachityczne trzciny, sitowie, wplątane w gałęzie wierzb. Czy te dzikie dawniej, pierwotne mokradła dotrwały do dzisiejszego dnia? Chciałem je teraz zobaczyć jak najszybciej, przypomnieć sobie i porównać te obrazy z tamtymi sprzed wielu lat.

Nazajutrz jeszcze przed zachodem słońca do samochodu wsadziliśmy czteroletnią wyżlicę Korę i pojechaliśmy do Zdzicha. Z nim skrótami dróg dotarliśmy nad wylewy Noteci pod Dziarnowem.

Jaskrawe promienie słońca już bledły i chowały się za zamglonym widnokrzem bagien. Złą widoczność potęgowały wypalane rżyska. Białe dymy z ognisk ciągnęły się długimi warkoczami i też ginęły w mokradłach.

Tereny te zawsze obfitowały w bażanty i kuropatwy, jednak ostatnio mówiono o wielkich stadach kaczek, które upodobały sobie wylewy Noteci.

Był tu drugi obwód Koła Łowieckiego „Diana”, o powierzchni ponad siedmiu tysięcy hektarów. Myśliwi z tego koła w ostatnich latach odstrzelili ponad dwieście bażantów i tyleż kaczek. Żyły na tym terenie sarny i lisy. Byłem pewien, że to polowanie będzie ciekawe i udane.

Po przejechaniu garbatego mostku Kora wyskoczyła z bagażnika. Kręcąc swym krótkim ogonkiem wyrażała zadowolenie. Podbiegała do każdego z nas, kładła się na buty, to znów lizała ręce, jakby chciała podziękować każdemu z osobna za to, że zabrano ją na polowanie.

Zdzichu poprowadził nas wśród pasa trzciny na z góry upatrzone stanowiska przy oczkach wodnych. Moje miejsce wypadło nad dołkiem obrośniętym trzcinią, dającym możliwość maskowania swej obecności. Dołka, tego nie mogłem sobie przypomnieć z dawnych wypraw na ryby.

Nade mną falując przefrunął tabun czarnych szpaków. Szumem skrzydeł poderwał czaplę, która przeleciała tuż obok.

Gryzło mnie pytanie, dlaczego ustawiono mnie na tak wąskim przesmyku, daleko od połyskującej tafli wody. Tuż za krzakami dostęp do niej był dziecinnie łatwy. Długo się nie zastanawiając postanowiłem się przemieścić. Teraz rozpoznałem miejsce gdzie złowiłem przed laty ponad pięciokilogramowego szczupaka, który przyniósł mi tyle szczęścia i wzbudził wielką zazdrość kolegów.

Powoli zaczęło szarzeć. Pozostawiłem przydzieloną mi kładkę, a teraz miałem tego gorzko żałować. Stamtąd ciągle słychać był szum kaczych skrzydeł. Tu jednak też na brak zajęć nie mogłem narzekać.

Gdy przyroda na chwilę zastygła w bezruchu i nastąpiła chwila ciszy, na wodzie przede mną ukazała się maleńka kacuszka. Kiedy mnie zobaczyła, zaczęła się wywracać – to na jeden, to na drugi bok, zakręcała kółeczka i spirale. Byłem tak zachwycony jej wyczynami, że przepuściłem dwie pewne, przelatujące nade mną krzyżówki. Tymczasem moja akrobatka oddalała się coraz bardziej, a kiedy uznała, że jest bezpieczna, strzepnęła krople wody z siebie i odleciała.

Naraz cała chmara kaczek przeszła powietrze nade mną. Jednak wyhamowała swój lot nad stanowiskiem przydzielonym mi przez Zdzicha. Teraz dopiero odczułem boleśnie, jaki błąd popełniłem. Bez chwili wahania powróciłem na stare miejsce, przy tym robiąc wiele hałasu i podrywając z wody pojedyncze kaczki. Jedną z nich pewnym strzałem strąciłem na wodę.

Koledzy też nie próżnowali. Nadlatujące kaczory z głośnym hukiem zatrzymywały się w powietrzu i z pluskiem uderzały o wodę. Kora starała się wszystkie ptaki wyciągnąć, toteż stale buszowała po bagnie.

Naraz z prawego boku huknęły dwa strzały. Ze świstem śrut przeszył powietrze obok dwóch ociężałych kaczek. Po upewnieniu się, że lecą dalej całe i zdrowe, strzeliłem do ostatniej z nich. Kaczka gwałtownie wyhamowała i wpadła w trzciny. Teraz rozległ się huk z jednej i z drugiej strony, a na czystej tafli wody rosło coraz więcej czarnych kaczych wysepek. Kora pływała niestrudzenie po kolejne zdobycze.

Zmrok zapadał, ale nad moją głową powietrze przeszywały oszołomione kaczki stadka, jednak nie zdradzając chęci lądowania. Wyszliśmy z trzciny już przy światłach latarek - ubłoceni,

zmęczeni, ale pełni wrażeń. Na filmie utrwaliłem nisko lecące nad trzcinami krzyżówki.

Obraz ten wydawał mi się tak ciekawy, że uznałem go za najważniejsze trofeum wieczoru.

Kaczuszek mieliśmy sporo. Były niewielkie. Te wschodnie, tłuste, ponoć przylatują dopiero późną jesienią.

Kiedy wsiadaliśmy do samochodu nad nami, już w zupełnej ciemności, krzyżąc przeleciała zabłąkana czapla, a w dali odzywały się żurawie. Tak jak dawniej, w przeszłości.





## 8. Dlaczego kaczkę nazywa się krzyżówką?

**P**oluję niemal zawsze z kniejówką. Kiedy jednak sięgam po dubeltówkę, a raczej po bok, czuję jak ogarnia mnie dreszcz emocji i coś ściska gardło. Przed oczami wówczas rozciągają się szerokie, nizinne krajobrazy podmokłych łąk, szuwarów i bagien, luster rzek i jezior, nadbrzeżnych łoż, kaczych kluczy i bażancich bukietów. Myślę, że to dlatego, bo w mej śrutówce zawarte są zaczarowane wspomnienia z młodości lat.

Wtedy to u boku Klemensa próbowałem stawiać pierwsze kroki w nadnoteckich mokradłach, a później w wielce emocjonalnych polowaniach na dzikie gęsi.

Zadzwonił syn z Wrocławia.

– Załatwiłem ci odstrzał na kaczki – powiedział. – Czekam w piątek, 19 września.

Do wyjazdu przygotowałem się starannie. Miałem do zabrania strzelbę, naboje, notatnik, aparat fotograficzny i wiele innych drobiazgów.

Żona spoglądała pobłaźliwie na moje niecodzienne zachowanie i bardzo się dziwiła, że trzeba jechać na kaczki ponad sto kilometrów.

Na miejscu dowiedziałem się, że obwód Koła Łowieckiego “Jarząbek” w Mietkowie, od którego miałem zaproszenie, był przez tegoroczną drugą falę powodzi zalany w połowie. Koło poniosło znaczne straty, przede wszystkim w drobnej zwierzynie, ale też w sarnach i dzikach. Powódź naniosiła masę iłów na pola, łąki, nieużytki oraz niewielkie tu lasy i że teraz z podwójną siłą wyrosła tu

roślinność, maskując dokonane zniszczenia. Woda wypłukała rzeki z cuchnącego mułu, odkryła łąchy piasku, wyczystała kamienie.

Od powodzi minęło już kilka miesięcy, mimo to wody rzeki Strzegomki z wielką szybkością przewalały się po konarach i kamieniach w krętym korycie. W Zalewie Mietkowskim i wypływającej z niego Bystrzycy pojawiło się sporo gatunków ryb, co przyciągnęło rzesze wędkarzy. Od świtu wszystkie wolne miejsca na poboczach wody zajęte były przez dziesiątki samochodów. Ptactwo wodne, w tym kaczki, opuściło te akweny w poszukiwaniu spokojniejszych żerowisk.

Strzegomka była wolna od zgiełku i hałasu i mimo rwącego nurtu kaczce stadka znalazły tu sobie miejsca do spokojnego bytowania. Przy wsi Stróże miejscami rzekę zarastają łązy. Woda podmywa jakby klifowe brzegi, tworząc miejscami strome urwiska i tu właśnie znalazły schronienie liczne stada krzyżówek.

Polowanie na nie jest niezmiernie trudne, a pojedynczo wręcz niemożliwe z braku naturalnej osłony przed bystrym kaczym wzrokiem. Stadka startują już daleko.

Tego dnia idąc z synem z dwóch kierunków rzeki, od Stróży i Wawrzeńczyc, mieliśmy przynajmniej szansę, że jeden z nas spotka lecące kaczki. Każdy z nas miał do przejścia prawie kilometr nabrzeży. Tuż za pierwszym skrzyżowaniem poderwał się kaczor. Błysnął modrym lusterkiem. Strzeliłem z rzutu, łupnął ciężko o ziemię.

Z tyłu nadleciał cichutko samotny kaczor. Po strzale spadł do wody. Nurt niósł go szybko, a nawet w nim zniknął za betonowym mostkiem na kamiennej ostrodze, gdzie woda tryskała wysoko w górę. Kaczor razem z bryzgami wody wyrzucony został jak piłka. Ku mojemu niedowierzaniu i konsternacji rozłożył skrzydła i z głośnym kwakaniem odleciał.

Teraz wysoko nade mną mijały mnie czarne cienie kaczyczych kluczy na tle fioletowego nieba. Jeszcze chwilę potem wibrował w powietrzu świst ich lotek.

Kiedy podnosiłem z łąki pięknie wybarwionego kaczora po drugiej stronie rzeki padł strzał i dwa opasłe kaczory opadły na łąkę. To syn strzelił dubleta.

Następnie pojechaliśmy nad tą samą rzekę pod wieś Ujów, niesamowicie zarośniętą, z zatopionymi licznymi konarami, podmytymi brzegami i na domiar osłoniętą wysokimi pokrzywami, nie zachęcającą do polowania. Jedynym pocieszeniem był przyległy łąn świeżo ściętej kukurydzy. Nasz plan był prosty: miałem iść pierwszy wzdłuż rzeki, syn za mną ze sześćdziesiąt metrów, gdyż kaczki mają tutaj zwyczaj cofania się do tyłu, lecąc wzdłuż koryta rzeki. Szedłem ostrożnie z przygotowanym do strzału bokiem, stale podglądając przeciwny brzeg. Kaczek jednak ani śladu. Zatrzymałem się, gdy za mną padły dwa strzały. Odwróciłem się i oczom moim ukazał się niesamowity widok. Poprzez pokrzywy i gałęzie startowały kaczka za kaczka, lecąc nad samym lustrem wody, bez możliwości strzału. Stałem bezradny. Dopiero daleko klucze podnosiły się znad rzeki i ginęły nad lasem.

Nie było rady, szedłem dalej licząc na łut szczęścia, zaglądając w prześwity konarów i pokrzyw. Historia się powtórzyła. Z tyłu znów padły strzały. Nagle pomiędzy gałęziami powstał głośny rejwach, w prześwicie zauważyłem lecącą kaczkę, moment zawahania i pudło. Może i dobrze, pomyślałem, bo tego kaczora bym nie podniósł.

Wracałem niezadowolony. Syn powiesił strzelbę na krzaku. Trzymając się gałęzi wszedł na konar i zaczął z nim tańczyć w rwącym nurcie. Płynący ptak raz nurkował, raz wypływał, aby ostatecznie zniknąć pod wodą.

Obaj zrezygnowaliśmy z polowania tutaj, bo kaczki były bardzo przebiegłe, a ich pozyskanie równało się przynajmniej kąpieli w rwącej rzece. Zresztą byliśmy zaproszeni na spotkanie myśliwych tego koła przy ognisku, pod romantycznym "dębem". Miał być tam

omówiony plan „sprzątania świata”, ale też, jak zawsze, było sporo podniecających gawęd myśliwskich.

Kazik, prezes Koła Łowieckiego „Jarząbek”, powtórzył pytanie, które zadano mu na pierwszym egzaminie łowieckim przed laty i poprosił o odpowiedź. Pytanie brzmiało: „Dlaczego kaczkę nazywa się krzyżówką?”. Wśród braci myśliwskiej zapadła cisza i konsternacja, tylko pod romantycznym dębem słychać było lekki szmerek listków poruszanych wiatrem. Po chwili prezes, widząc niezręczną sytuację, powiedział:

– Jak nie wiecie, to ja wam powiem jak wówczas odpowiedziałem. Dzikie kaczki krzyżówki lecąc na tle nieba przypominają krzyże i stąd ta nazwa.

Teraz już jednym głosem niemal krzyknęto:

– I zdałeś?.

Andrzej, wyrocznia w Kole, z całą powagą powiedział, że prezes zdał, bo inaczej by nie było go tu i nie byłby prezesem.

Oto niezatarty urok chwili myśliwskiego napięcia pod wielkim dębem, w Kole Łowieckim „Jarząbek”.



## 9. Gęsi spod Śleży

**W** bezchmurne, jesienne, ciepłe noce wychodząc z domu często możemy usłyszeć płynący spod gwiazd tęskny, przejmujący klangor dzikich gęsi. Na nocnym niebie pojawiają się niewidoczne klucze tych ptaków, a ich głos drażni i podnieca nas, mieszczuchów.

W Polsce jest kilka tras przelotu gęsi. W Karkonoszach najintensywniejsze wędrówki odbywają się jesienią, na przełęczy pod Szrenicą, pomiędzy skałkami Trzy Świnki i Twarożnikiem. Tu pomagają im w tym wiatry wiejące spoza przełęczy i wyżowa pogoda.

Zmęczone długotrwałą wędrówką, kiedy zastaje je gwałtowna śnieżycza siadają ma kilkugodzinny odpoczynek na rozległych polach pod Świerzawą, Lubiechową, Starą Kraśnicą, gdzie można je zobaczyć. Gęś jest ptakiem łownym. Jej duże stada wyrządzają szkody w oziminach. Jest nadzwyczaj inteligentna i ostrożna.

Pierwszy mój wyjazd na jesienne gęsi głęboko wyrył się w mej pamięci.

Prawie pusty pociąg opuszczał w listopadową noc jeleniogórską stację, udając się do Wrocławia. Pogoda tej nocy była wstrętna. Siąpił drobny kapuśniaczek, a podmuchy silnego wiatru wpychały go przez niedomknięte okno wagonu.

Pociąg w mroku minął Jaworzynę, Żarów, Imbramowice. Moim oczom ukazała się stojąca samotnie mała stacyjka kolejowa Mietków, na której oprócz mnie nikt nie wysiadł.

Nad Zalewem Mietkowskim, przez który płynie rzeka Bystrzyca /lewy dopływ Odry/, miałem być drugi raz w życiu. Pierwszy raz w latach siedemdziesiątych prowadziłem tu zawody wędkarskie. Dziś byłem zaproszony na jesienne dzikie gęsi, dzięki przychylności

Koła Łowieckiego “Jarząbek” z Wrocławia, gospodarza tego łowiska.

Opasły plecak z obuwiem, ubiorem moro i ciężką broń przeczuciłem przez ramię i wyszedłem na spotkanie z Darkiem. Czekał już na mnie w samochodzie. Przywitaliśmy się myśliwskim “Darz Bór”, a kiedy pociąg się oddalił, gdzieś wysoko z nieba można było usłyszeć miłe sercu, znane myśliwym metaliczne gęganie.

Deszcz przestał padać, asfaltowej szosy szybko ubywało, a niebo za masywem Ślęży zaczęło się różowić.

W Milinie wpisaliśmy swój pobyt w łowisku (w ewidencji polujących w Kole myśliwych). Oprócz nas tego ranka było jeszcze kilku znajomych kolegów.

Szybko wstawał świt. Mijaliśmy opustoszałe pola wokół zbiornika i gdzieś tam szare o tej porze dnia oziminy. Dalsza droga wiodła między zabudowaniami, obok żwirowni i wysokich wałów zbiornika. Pogoda zmieniała się na niekorzyść. Po wilgotnej chłodnej nocy, czerwona wstęga wschodzącego słońca rozpałała się za grzbietem Ślęży.

Wjechaliśmy w błotnistą drogę, w głęboki jar, na miejsce zbiórki. Czekają paru myśliwych, kręcą się psy. Moi znajomi byli świetnie wyposażeni: Michał w pięciostrażalową pojedynkę, o długiej lufie i wzmocnionej amunicji “magnum,” Darek w dubeltówkę “merkla”, ja w standówkę czeską, zaś inni koledzy mieli boki dobrze bijące śrutem.

Od nas w lewo widać było wysoki, może na dwadzieścia metrów, klifowy brzeg, który dość stromo schodził do plaży zarośniętej drzewami i krzakami, w prawo zaś równinę z polami.

Po powitaniu rozeszliśmy się na stanowiska. Nikt z nas nie chciał, aby budzący się dziś rano był bezchmurny, gdyż wówczas pułap lejących gęsi bywa bardzo wysoki, praktycznie poza zasięgiem strzału. Narastający świt zmuszał do szybkiego zajęcia stano-

wisk. Teraz mogłem się przekonać o trudnych warunkach polowania.

Ptaki nocowały na olbrzymiej tafli zbiornika tworząc ciemne, pływające kożuchy. Wprawdzie roślinność wokół brzegów trochę nas maskowała przed ich byстрыm wzrokiem, jednak już z góry, z lotu ptaka, byliśmy doskonale widoczni.

To jednak nie było najważniejsze, ale to, że mogłem oglądać kilkudziesięczne stada tych ptaków i słuchać monotonnego rejwachu i gęgotu gęsi.

Kiedy nasyciłem się tym widokiem, uświadomiłem sobie, że mój wcześniejszy plan wziął w łeb. Wyznaczony dla mnie na otwartej łące pagórek okazał się usypanym kopcem, z paroma uschłymi łądogami zielska i raczej nie pasował do tutejszego pejzażu. Miał tylko jedyny plus - mogłem z niego obserwować niemal całą tafle wody, ale za to byłem dobrze widoczny.

Kiedy zupełnie się rozwidniło, starałem się całym ciałem przylgnąć do wgłębienia na kopcu. Ukryłem ręce, twarz i tylko z rzadka spoglądałem w niebo.

Znienacka wzdłuż brzegu dużą rundę zataczał stary gąsior. Leciał zupełnie cicho i tylko co jakiś czas z nieba rozlegał się porozumiewawczy gęgot. Bacznie obserwował wędkarzy na łodzi i znów nastawała cisza.

Przed godziną ósmą monotonne gęganie zamieniło się w potworny, płynący z wody hałas, przypominający ruszanie kilkunastu lokomotyw. W dali startował pod wiatr klucz za kluczem – z ogromnym krzykiem i wrzawą, okrążając w środku zalew, by nie zbliżyć się do brzegu i jednocześnie wznosząc się na pułap poza zasięgiem strzału.

Niebo gwałtownie pociemniało. Gęsi leciały w stronę Dzikowa, Domanic i Maniowa. Ze skarpy padały pojedyncze strzały, a ich echo niesło się daleko razem z gęganiem.

Naraz wszystko ucichło, ale czarny, gęsty kożuch na wodzie niewiele się zmniejszył i zerwał się dopiero piętnaście minut później. Wyraźnie mogłem zobaczyć klucz, który kierował się w moją stronę. Ten widok pozostanie mi na całe lata. Później jeden za drugim nadlatywały całe tabuny. Ciąg ich narastał z każdą chwilą, zdawał się nie mieć końca.

Z pobliskich stanowisk słychać było huk, na który gęsi nie reagowały. Mimo podniecenia wyczekałem aż jeden z kluczy skierował się wprost na moje stanowisko. Zamarłem w bezruchu, odbezpieczyłem standówkę. Ręce mi drżały z emocji, nie dawałem się sprowokować i dotrzymałem do momentu, kiedy gęsi były nade mną. Jeszcze chwila i jeszcze moment, kiedy pierwsza mijała mój kopiec. Podniosłem się – widzę białe podbrzusze i migające, pomarańczowe wiosła. Celuję do ostatniej, o jedną długość gęsi przed dziób. Gęś załamuje się w locie i jak kula spada! Teraz przenoszę lufy na ostatnią z prawego skrzydła. Ta odrywa się i zlotkowana, szybuje ze sto metrów, upadając na świeżą oranekę. Jeszcze widzę odlatujący klucz, a już jestem mokry z wrażenia i drzę ze szczęścia! Nawet nie myślę o ponownym załadowaniu strzelby, gdy niziutko nade mną przelatuje duży, popielaty gąsior i znika. To nie szkodzi – myślę – przecież zrobiłem dublet.

Zamilkły strzały, a moje gęsi błyszczały na polu. Chciałem teraz mieć je jak najszybciej. Przecież to te pierwsze w życiu! Kieruję się ku nim, ale duży, brązowy wyżeł omija mnie i wyprzedza. Chwyta gęś w pysk i unosi przez pole, ginąc za wzniesieniem. Chce mi się wyć. Przecież to skandal, ja nawet tej gęsi nie dotknąłem! Nie wiem czy była gęgawa, gęś zbożowa czy też biało czelna, a co najgorsze – może jej nie odzyskam.

Lotem błyskawicy nachodzi mnie myśl, aby historia się nie powtórzyła z tą drugą. Prawie biegnę po nią, jestem już niedaleko, zapadam się w świeżą oranekę! Brakuje mi tchu, kiedy znów widzę wyżeł! Lekko, jak po najlepszej drodze, gna razem ze mną. Chyba



tym razem będę pierwszy? Już ją mam, gdy stoję oko w oko z gniewnym pyskiem wyżała. Nim się opamiętałem, wyrwał mi gęś z ręki i tą samą drogą wrócił za pagórek.

Już nie myślę o trofeach, lecz o tym groźnym stworzeniu, potwornym, wściekłym, zabójczym pysku, który uznał, że ja jemu właśnie zabierałem zdobycz.

Usiadłem na mokrej ziemi. Zanim oprzytomniałem przypomniałem sobie, że “każde szczęście krótko trwa” i tak stało się i tym razem. Wpadało czekać na rozwój wydarzeń.

Metaliczne gęganie trwało jeszcze z godzinę. Niektóre klucze i pojedyncze ptaki lecąc bardzo wysoko wracały i siadały na środku zalewu.

Wnet pojawili się koledzy. Darek niósł jedną gęś, inni wracali tylko z wrażeniami, a wszyscy zazdrościli mi dubletu. Kiedy zauważyli, że nie mam gęsi, wyrazili chęć ich odszukania. Wówczas opowiedziałem całą historię. Wybuchnęli śmiechem, a widząc moje przygnębienie, pocieszali, że na pewno gęsi się znajdują.

– Chyba, że pies na polu je zostawił – powiedział Michał.

Spotkaliśmy się nad wodą. Gęsi były ułożone w sznureczek, jedna obok drugiej, w sumie dziewięć.

Właściciel psa zapytał, czyje są dwie gęsi, które wyżeł przyniósł. Wszyscy wskazali na mnie. Przeprosił mnie i wskazał na dwie pierwsze z brzegu, dodając:

– Widzi pan, po co chodzić w tym błocie. Pies jest po to, aby pomagać myśliwym.

Wprawdzie mnie nie przekonał, ale teraz, kiedy wyżeł popatrzył się na mnie z politowaniem, nawet wydawał się sympatyczny. Kiedy jednak chciałem podnieść pierwszego gąsiora to zawył, aż mi ręka odskoczyła.

Nad Zalewem Mietkowskim mogłem się przekonać, że polowanie na gęsi wymaga nie lada sprawności i przechytrzenia tych ptaków. Porównywalne jest do polowania na grubego zwierza. Ale

kiedy ktoś raz spróbował, tego jesienią nie zatrzyma żadna siła w domu! A przy tym jeszcze należy pamiętać, że wyżej jest po to, aby trofea aportować!



Klucz gęsi nad Zalewem Mietkowskim.

## 10. Kaczory i króliki

**P**aździernikowy ranek wstawał wyjątkowo chłodny. Na horyzoncie za jeziorem Pakoskim jeszcze dymiły siniejące płaszczyny mgieł, a po wyblakłym, nadnoteckim niebie wędrowały białe obłoki. Z pobliskiej wody wyczuwało się łagodny powiew wiatru, zapachy wilgoci i słyszeć było niewyraźne odgłosy kaczego rejwachu.

Czwartkowe zaproszenie na kaczki, otrzymane od Tadka z Nadnoteckiego Koła Łowieckiego w Pakości, przyjąłem z zadowoleniem, ale i z niedowierzaniem na sukces. Z rozmowy wynikało, że na jeziorze kaczek jest sporo, o czym miałem się przekonać właśnie teraz. Ptaki były jednak nieruchliwe i niedostępne, wypoczywały z dala od brzegów.

Załadowaliśmy się do samochodu i znaną dobrze drogą ruszyliśmy w stronę tamy, a za nią na tereny, którymi Tadek się opiekował, aby wzdłuż błękitniejącego za drzewami jeziora dotrzeć na sam jego brzeg.

Wydeptaną ścieżką weszliśmy w podmokłą łąkę. Buty grzęzły po kostki. Spokojną wodę obrzeża pokrywały gęsto uschłe gałęzie. Ich czarne ostrza kroili mleczne tafle wody, zamieniając je w fantastyczne mozaiki podobne do spękanego marmuru. Było to efektem działalności pobliskich zakładów sodowych.

Usiadłem na krzesełku pod krzakiem i na wszelki wypadek załadowałem czwórkami obie luty boka. Tadek powędrował dalej, aby zająć stanowisko na samym cyplu jeziora. Czekał chyba na przypadkowy przelot kaczek.

Naraz z głośnym furkotem skrzydeł usiadł obok wielki kogut i niczym paw defilował przede mną. Wskoczył na gałęzie. Spokojnie przyglądaliśmy się sobie. Schował głowę pod skrzydło i zamarł w bezruchu. Po chwili wyrwał ją gwałtownie i z hałasem odleciał. Nie

przebrzmiał jeszcze jego furkot, gdy w to samo miejsce przyfrunął następny bażant, jeszcze większy i okazalszy, jak powiadają myśliwi, pięknie wyfarbowany. Podobnie jak jego poprzednik, tylko z jeszcze większym hałasem, odleciał przy okazji płosząc z łąki dwa kuligi.

Przede mną na środku jeziora ciągnął się kilkusetmetrowy kocz, o czarno-brązowej barwie i trwał w bezruchu. Dopiero w szklach lornetki mogłem zobaczyć setki maleńkich, kaczych punkcików unoszących się na wodzie. Trwały tu tak codziennie, pewne swego bezpieczeństwa. Tylko późnym wieczorem i o świcie podpływały pod brzeg, znacząc tysiącami krzyżyków żółty nadbrzeżny piasek.

Kaczki startowały ze środka jeziora na pobliskie ścierniska i pola kukurydziane. Ich klucze szybowały tak wysoko, że niemal zawsze znajdowały się poza zasięgiem strzałów, a polowania z łodzi były tu zabronione.

Nasz dzisiejszy trud okazał się daremny. Tadek dawno wiedział o takim zachowaniu kaczek, ale chyba chciał mi pokazać swój obwód, zasobny nie tylko w kaczki, ale i bażanty oraz inne ptactwo wodne. Z czasem odniosłem wrażenie, że łowisko to było mocno przereklamowane, choć takiej ilości szkodników nie spotkałem gdzie indziej.

Wieczorem pojedziemy w stronę zwężającego się jeziora – oświadczył mój gospodarz. – Tam dawno temu w widłach Noteci wykopano wiele torfowisk. Dziś to wspaniałe miejsca bytowania wodnego ptactwa.

Droga wiodła wzdłuż stogów lnu i konopi, przez tereny tutejszej roszarni, wśród porozrzucanej słomy, sznurków i kamieni oraz dziesiątków nor dzikich królików. Łąka miejscami przypominała szwajcarski ser. Zwierzęta upodobały sobie ten zasobny w karmę spichlerz. Dzięki temu stały się utrapieniem dla gospodarzy roszarni, przejeżdżających tędy pojazdów i przyczyną zagłady pobliskiego sosnowego młodnika.



Króliki wróciły dopiero po paru minutach. Naliczyłem ich kilka gromad. Punkciki z niewielkimi uszkami jak cienie przesuwaly się w blasku księżycza

Zatrzymaliśmy się nad niewielkim kanałem. Tuż za nim, w dole, rozciągał się bezkres trzcin, które przyciemniał zamglony, szarzejący horyzont. Razem weszliśmy w rozległą dolinę torfowisk, bagien i błota.

Wąska grobla nie dawała pod nogami stabilności – albo jedna albo druga noga zsuwała mi się z niej, topiąc się w czarnym bło-

cie. Gdyby nie rosnąca tu brzoźka, dająca wzrokową stabilizację, chyba zrezygnowałbym z tego stanowiska. Po obu stronach grzędy miałem jednak wyśmienite pole ostrzału dla lądujących tu, według twierdzeń gospodarza, licznych stadek kaczyc. Jakby na potwierdzenie prawdziwości tych słów zza wysokiej ściany trzciny i płynącej tam rzeki dochodziło ciągle nieustanne kwakanie.

Pierwszym jednak kluczem, który pojawił się nade mną, były gęsi. Leciały spokojnie wzdłuż rzeki na wschód, w stronę Gopła. Ich tajemniczy klangor odbijał się od wody i przyjemnie drażnił słuch.

Kiedy już zwątpiłem w kaczce zapady i trudno było rozpoznać szczegóły krajobrazu, niespodziewanie nadleciał klucz krzyżówek i zapadł na przyległym torfowisku. Nim zdążyłem chwycić dubeltówkę ciężki kaczor wylądował tuż przy mnie, rozbryzgując wodę. Teraz, przygotowany do strzału, strąciłem innego, który ukazał się nad trzcinami i zlotkowałem tego, który zerwał się do lotu. Pierwszy upadł tuż przy moim stanowisku, drugi nurkując znikł z powierzchni wody.

Gospodarz też strzelił kaczora.

– Zejdź, dzisiaj kaczki nie żerują. Myślę, że będzie lepiej z królikami, jeżeli się postarasz - powiedział.

Wróciliśmy do samochodu. Księżyc już wprawdzie pojawił się na niebie, ale niewiele można było dojrzeć wokół.

– Pojadę na zakręt drogi. Ty ukryj się za tym krzakiem, wiatr jest od łąki. Tylko się nie ruszaj! – usłyszałem od gospodarza wsiadającego do samochodu.

Nie wiem czy to staropolska gościnność Tadka, czy też chęć pochwalenia się mnogością zwierzyny w jego obwodzie przemawiała przez niego, ale jakoś nie wierzyłem temu zapewnieniu. Przecież kaczek też miały być tabuny! Tak będzie chyba i z królikami?

Zgodnie z życzeniem usiadłem pod krzakiem, na kniejówkę założyłem lunetę jak na dziki i bacznie obserwowałem przy-

ległą łąkę. Księżyc już zdążył rozjaśnić szczyty stogów, zrobiło się jaśniej, ale teren przede mną zdawał się być wymarły. Kiedy jednak pierwsze blaski rozświetliły pole, nagle wyboje i muldy na nim ożyły. Zdążyłem też dojrzeć w szklach lornetki ciemny punkcik odrywający się od stogu, który sznurował w moim kierunku.

Musiałem się poruszyć, a może to ten lisiura był przyczyną tego, że rozległ się głośny tupot dziesiątków króliczych łapek sygnalizujący niebezpieczeństwo. Później piskliwe tony popłynęły ze środka łąki i znów nastąpiła cisza.

Króliki wróciły dopiero po paru minutach. Naliczyłem ich parę gromad. Punkciki z niewielkimi uszkami jak cienie przesuwają się w blasku księżyca. Nagle znikają i znów się pojawiają. Strzygły łąkę przeznaczoną dla wypasu owiec.

Porobiły dziury pod płotami, niemal zniszczyły sosnowy młodnik, wyciągały ze stogów wysuszoną słomę, robiąc wokół niesamowity bałagan. Ale przede wszystkim ta królikarnia ściągała tu dziesiątki drapieżników - lisów, kun, wałęsających psów i jastrzębi, które ogałacały pola z kuropatw, bażantów oraz niszczyły ptasie gniazda.

Tadek opowiadał mi, że według starych zapisków i opowiadań dawniej na tym terenie królików nie było. Dopiero od lat pięćdziesiątych stały się istną plagą i zagarniają coraz to nowe tereny wzdłuż Noteci, aż po sam Wojdał.

Było już zupełnie jasno, a króliki dalej bardzo ruchliwe. W końcu nakryłem jednego czarnym krzyżem lunety. Łąką targnął huk wystrzału. Czyżbym nie trafił? W miejscu strzału stał dalej królik. Ponowny huk i łąka stała się pusta. Po godzinie wrócił Tadek. Obaj poszliśmy sprawdzić efekt polowania. Bez trudu odnalazłem dwa króliki o bardzo krótkich słuchach. Mój gospodarz nie zdecydował się na strzał, gdyż było zbyt ciemno.

Dwa kaczory i króliki to niespotykany rozkład. Tak mi się nigdy nie zdarzyło!

## 11. Aleksy

**P**iękne rosną lasy przy drodze biegnącej do leśniczówki w Siedluchnie. Jesienią pełne są pastelowych kolorów brzoź, olch i dębów, pamiętających jeszcze dawne nadnoteckie puszcze Kujaw, a teraz zepchniętych na niedostępne nieużytki i bagna. Po między Strzelnem, Ostrowem a Gębicami lasy są zwarte, a ich panorama cieszy przybyszów, gdyż to wyjątek w bezleśnym krajobrazie Kujaw.

Dlatego powstają tutaj liczne bazy turystyczne. Przyjeżdżają miłośnicy przyrody, wędkarstwa i ciszy.

\*

W Gębicach, w restauracji „U Bartka” jedliśmy obiad. Obok naszego stołu raczyli się piwem dwaj jegomoście. Swym głośnym zachowaniem zwracali na siebie uwagę. Barczysty, o czarnej czuprynie i sumiastych wąsach, bacznie mi się przyglądał. W końcu przeprosił i zapytał czy jego pamiętam. Odruchowo zaprzeczyłem.

– Jestem Michał – powiedział. – Pamięta mnie pan z Przedborza, jak na motorze przywiozłem z adiunktem dzika.

Lotem błyskawicy przypomniałem sobie te dawne przecież czasy, a Michał zaimponował mi spostrzegawczością.

– Wówczas udało mi się podprowadzić pana pod żurawia na bagnie – dodał.

Uściskaliśmy się serdecznie i dawny znajomy przysiadł się do nas.

– No i co powiodło się panu w tej fotografii? - rozpoczął rozmowę. – Jak wiele się tu zmieniło! Odszedł z Przedborza leśniczy, tej zwierzyny już tam nie ma, tylko pozostał ten sam krajobraz. Teraz rządzą młodzi. To nie to, co dawniej! Jeżeli dalej pstryka pan te zdjęcia, to



musi koniecznie odwiedzić Siedluchnę, leśniczówkę przy drodze, tuż za białym kamieniem. Tamtejszy leśniczy chodzi po lesie z okazałym dziakiem Aleksym.

Podziękowałem, pożegnaliśmy się serdecznie. Michał kończył pracę w Mogileńskich Fabrykach Mebli w Gębicach i czekał na emeryturę. Stąd, jak mówił, teraz ma więcej czasu i lubi dobre piwo „U Bartka”. Inaczej byśmy się nie spotkali.

Aleksy mieszkał w betonowej budzie psa. Przed nią, niczym bobrowe żeremie, widniała góra gałęzi znoszonych tu przez dzika. Trudno było mu wyperswadować ten dziwny nawyk. Z każdej przechadzki po lesie wracał z kijem w pysku.

Dzik był przyjaźnie usposobiony do ludzi i otoczenia, stąd go zatrzymano w leśniczówce, ale kiedy bliżej go poznano pokazał swoje rogi. Nie tolerował żadnej konkurencji. Dorastając coraz bardziej buchtował podwórko, ogród a nawet drogę. Stał się utrapieniem gospodarzy, ale odejść nijak nie chciał.

Pierwszym zajęciem gajowego z rana było wyrównywanie rowów i pobuchtowanej nocą drogi prowadzącej do kancelarii. Naprawa płotów chroniących ogród przysparzała też wiele kłopotów. Psom również dzik narzucił swoją dominację.

Prawdopodobnie pochodził od lochy, która tu mieszkała parę lat wstecz i była pupilkiem rodziny leśniczego. Po kilku latach obcowania z ludźmi jesienią pożegnała zagrodę i wróciła do lasu. Widywano ją jeszcze kilkakrotnie obok leśniczówki, gdzie na śniegu pod płotem odcisnęła swoje rapcie. Przyglądała się drwalom ścinającym w lesie drzewa. Jednak po roku zupełnie przestano się nią interesować.

Pod koniec zimy jamnik leśniczego przez całą noc oszcze kiwał jakieś zwierzę w pobliżu. Próbowano go uspokoić, ale skakał na płot. W końcu gajowy przyniósł z lasu przemarzniętego warchlaka, ledwo trzymającego się na nogach. Wszyscy, kto tylko mieszkał w leśniczówce, chcieli uratować malucha.



Piękne rosły lasy przy drodze biegnącej do leśniczówki. Wiosną rozkwitłe, jesienią pełne pastelowych kolorów brzoź, olch i dębów, pamiętających jeszcze dawne puszcze.



Dzik ważył z osiemdziesiąt kilogramów, był dobrze zapowiadającym się pojedynkiem, gamratem, nazywanym też często, ze względu na upodobania, błociarzem.



Tak było i teraz. Kiedy dzik przebiegał drogę, szybko podniosłem aparat. Wpadł z furją do młodnika.

Dawano mu w butelce mleko od kozy, kiedy słabł nawet polopirynę. Dwa tygodnie przeleżał na skórze pod piecem zanim wstał na swoje wątle nogi. Nie dawano mu długiego żywota, ale kiedy jamniczka zaczęła sypiać obok niego, w dzika wstąpiło jakby nowe życie. Wszyscy się cieszyli. Nazwano go Aleksy, od imienia gajowego, który przyniósł go z lasu, niechybnie ratując mu życie.

Kiedy zrobiło się ciepłej, warchlak dostał swoje miejsce w szopie. Był jednak ambitny. Wybrał dla siebie betonowy domek psa i swą upartością konsekwentnie go z niego wydziedziczył. Dobrze karmiony szybko przybierał na wadze. Już kilka razy opuścił zagrodę, przebywał w lesie, ale jeszcze się nie zdarzyło, żeby nad ranem nie wrócił do swej budy.

Za swą przyjaźń z ludźmi był sownie nagradzany cukierkami, ciastkami, karmiony kukurydzą przez leśniczego. Roznosił ją po podwórku, a nadmiar ukrywał, zakopując w ziemi. Z czasem podwórko i łąka wokół leśniczówki przypominały zaorane pole.

Ważył ze czterdzieści kilogramów, był dobrze zapowiadającym się pojedynkiem, gamratem, nazywanym też często, ze względu na upodobania, błociarzem. Tej jesieni miał długie, czarne wełniste pióra. Podenerwowany podnosił je do góry. Wówczas stawał się o wiele większy niż był w rzeczywistości. Jego białe, trójgraniaste szable były wyjątkowo duże, choć częściowo spłowane ciągłym kłapaniem przy złym humorze.

– Nie wiem czy uda ci się jego sfotografować, bo to już wielu próbowało i bez powodzenia – powiedział leśniczy.

Tak było i teraz. Kiedy dzik przebiegał drogę szybko podniosłem aparat. Wpadł z furią do młodnika. Pobiegłem za nim, zaszył się w gąszczu i pokwikał. Przywołany przez leśniczego przybiegł, ale ciągle mnie obserwował. Kiedy tylko skierowałem obiektyw w jego stronę, wpadał we wściekłość, a raz nawet mnie dobrze przestraszył. Kiedy ujrzałem go w wizjerze aparatu, całą siłą

swych mięśni pędził na mnie. Szarżując uderzył w moje nogi. Omal się nie wywróciłem i gdyby nie jamnik leśniczego, który wskoczył na niego z tyłu, jego gwizd sięgnąłby obiektywu. Leśniczy szybko zorientował się w jego wrogich zamiarach wobec mnie i poprosił o schowanie kamery, obiecując, że zdjęcia zrobimy później.

Aleksy uspokoił się teraz zupełnie. Nawet pozwalał się podrapać za uchem. Nie zrobiłem żadnego zdjęcia, ale liczyłem na następne wyjście z dzikiem do lasu.

Siedzieliśmy na ganku leśniczówki przy kawie. Tutaj dowiedziałem się, że właściwie to Aleksy nie ma zdjęć, nie licząc tych, kiedy był warchlaczkim. Leśniczy mówił, że nie znosi lornetek, kamer i lunet i to dzięki myśliwym. Słuchałem tych opowieści o Aleksym z niedowierzaniem.

– Otóż - opowiadał leśniczy – zimą przyjeżdżali myśliwi na polowanie zbiorowe. Przywozili ze sobą całą sforę foxterierów. Szczuli nimi dzika, celując przy sposobności w niego sztucerami, a może i robili zdjęcia, udając sceny z polowania w lesie. Pogryziony Aleksy te spotkania dobrze sobie zapamiętał. Wiedział, że kiedy skierowany zostanie w jego stronę błyszczący obiektyw, nieważne czy kamery, czy lunety na broni, on zostanie pogryziony przez psy. A to wiązało się z bólem. Był ambitny, nikomu nie pozwolił się do siebie z tymi przyrządami zbliżać. Zrezygnowałem i ja, patrząc na modre ślepie dzika.

Na pamiątkę leśniczy dał mi fotografię sprzed roku, ale Aleksy na niej wyglądał całkiem inaczej.

## 12 Biała zjawa

**Z**anim zrobiło się o nim głośno przemierzał bagienne okolice i śródleśne łąki w lasach Miradzkich. Na żer wychodził po ciemku, razem z dzikami, do swych leży wracał skoro świt. Tym dziwnym postępowaniem różnił się zasadniczo od swoich współbraci, bagiennych rogaczy. W nocy, o księżycu, jego jasna barwa zlewała się szarością i czernią i nie interesowała zupełnie myśliwych polujących na dziki. Biały rogacz o tym wiedział i tak postępując chronił swą skórę i zgięte ku dołowi parostki selekta przez wiele sezonów.

Wyrwany gwałtownie przez grzybiarzy ze swego leża, znikał tak szybko jak tylko umiał, pozostawiając po sobie smugę białej mgły i przykre skojarzenia najczęściej przestraszonych osób. Niektórzy widzieli w tym zjawisku nieszczęście, inni białą damę hulającą po lesie, jeszcze inni ostrzeżenie przed odwiedzaniem tej części borów. Tej jesieni spotkania z nim były jednak częstsze, a zalegające mgły podwajały i wyolbrzymiały jego wielkość i ludzką wyobraźnię.

\*

W jesienny, zamglony poranek kupowałem pieczywo w parterowym sklepiku na skrzyżowaniu dróg z Ostrowa do Przyjezierza. Sprzedawczyni widząc, że jestem przyjezdny zagadnęła mnie czy z tym wielkim koszem wybieram się na grzyby. Sezon turystyczny się kończył, prócz mnie w sklepiku nie było innych osób. Domyśliłem się, że kobieta chce sobie po prostu porozmawiać.

– Przyjechałem na zaproszenie tutejszego leśniczego – odpowiedziałem, zaspakajając jej ciekawość. – Będziemy sąsiadami, mieszkam obok drewnianego wiatraka.

Pani Bożena nabrała do mnie zaufania, bo opisała mi las, gdzie rosną dorodne rydze.



– Drugie takie miejsce – dodała - znajduje się daleko stąd, bo aż we Wronowach. To, o którym opowiedziałam, jest blisko, w lesie naprzeciw wsi Kopce. Niech jednak pan tam sam nie jedzie! Wieczorami straszy jakaś biała dama, na pewno leśniczy to potwierdzi.

Wcześniej od Janusza wiedziałem, że w tych lasach stoi obelisk ku czci mieszkańców Strzelna, którzy zginęli tu w roku 1939 z rąk hitlerowców. Ale o białej, straszącej damie pierwszy raz się dowiedziałem.

– Jak pan nie chce, niech nie wierzy – mówiła dalej sklepowa. - W ubiegłym roku opowiadano mi o podobnym przypadku spotkania z białą zjawą na mokradłach pobliskiego Bielska. Nie uwierzyłam dopóki na własnej skórze nie doświadczyłam tego spotkania. Szłam parę dni temu, sama przez las o zmroku, kiedy naraz z pomiędzy drzew powiało chłodem, a później biała postać bezszelestnie znikła w gąszczach.

Odchodząc podziękowałam pani Bożenie i dodałam, że chy-

ba to było urojenie. Nie obraziła się. Życzyła mi tylko abym nie był takim niedowiarkiem.

– Można w to nie wierzyć – usłyszałem od gospodyni leśniczego – jednak od trzech lat jest o tym coraz głośniejsze. Jeżeli w lesie za plecami poczujesz gwałtowny chłód, to niechybny znak spotkania z białą zjawą. Przecież znikąd to się nie bierze! Doświadczyło tego już wielu zbieraczy jagód, żurawin i grzybów. W lasach pod Kopcami, czy Cienciskiem, kobiety nie spotkasz. Kiedy wróci leśniczy, to panu więcej na ten temat powie.

Janusz do leśniczówki przyszedł późno. Ponoć nawalił mu motocykl i musiał go prowadzić.

– Darz Bór! Szybko minął ten czas jak żeśmy się widzieli ostatnio – powiedział podając mi rękę. – Coraz więcej pracy, coraz mniej ludzi, wszystko na moich barkach, ale to już taki los leśników! Jeszcze na dodatek rozpocząłem budowę własnego domu. Czy to trochę nie za dużo na jednego człowieka?

– Poczekajcie jeszcze parę minut – poprosiła żona gospodarza. – Podgrzeję dziczyznę i podam obiad.

Wkrótce zapachy majeranku i pieczeni przenikały do kancelarii, drażniły moje podniebienie i potęgowały łaknienie.

Nieśmiało zapytałem Janusza o białą zjawę na Kopcach. Uśmiechnął się.

– To ty już o tym zdążyłeś się dowiedzieć? Gratuluję! Muszę ci powiedzieć, że w tamtym lesie mam teraz spokój. Przynajmniej przestał tam chodzić ten cały tabun grzybiarzy! Ale jeżeli ciebie zjawa również interesuje, to proszę bardzo. Na pewno ją spotkasz i to nie tak daleko stąd, bo zobaczysz ze stojącej nad rowem ambony, na której siedziałeś wiosną. Zjawa znalazła tam zupełny spokój, przenosząc się z Kopców. Wcześniej jeszcze widywano ją na mokradłach Bielska, lecz stamtąd ją też wykurzono. Zapowiedziałem już wszystkim myśliwym, że jeżeli którykolwiek z nich strzeli do tego białego rogowca, to będzie jego koniec z polo-



waniami w tym rejonie. Ten albinos jest tak ostrożny, że trudno go przechrzyć, ale tobie zdradzę miejsce jego żerowania i dam szansę na mej ambonie. Może ci się uda go sfotografować? Ja go tam dwa dni temu spotkałem. Przebywał wśród wyschniętych łącin na kartoflisku. Wszyscy wiedzą, że jest tam moja ambona i nikt nie ma prawa tam siadać. A co do rogacza, to jest on wyjątkowo piękny, o śnieżnobiałej sukni. Dotąd nie widziałem nic podobnego w życiu! Wszyscy go oszczędzają, przypisują mu nadzwyczajną moc, a niektórzy nawet widzieli pomiędzy jego parostkami krzyż. Pamiętasz, obok Przedborza chodziła łaciata sarna, ale gdzież jej tam do tego albinosa!

Zachęcony przez leśniczego odwiedziłem ambonę. Góra jej przypominała duży kosz z wikliny. Stała na skraju wysokiego lasu, za głośno szmerzącym strumykiem, naprzeciw kartofliska. Przesiedziałem na niej trzy wieczory, aż po zupełne ciemności, obserwując w dziesięciokrotnej lornetce i teleobiektywie wszystko, co tam się działo.

Pole codziennie pod wieczór było oblegane przez wychodzące z lasu zające. Po nich wychodziła sarna z dwojgiem koźląt. Bacznie obserwowała mnie, łapiąc wrogi zapach. Później jeszcze buszowały w uschniętych łącinach dwie czerwone plamy. Młode rogacze próbowały walczyć ze sobą. Robiły tyle hałasu, że sprowadziły na kartoflisko najpierw lisa, później wielką sowę.

Nie wierzyłem już w spotkanie z białą zjawą. Zachęcony przez leśniczego do cierpliwości jeszcze jedno popołudnie postanowiłem spędzić w tej czatowni.

Spotkanie z sarnami znów się powtórzyło, a kiedy miałem schodzić z ambony od strony lasu coś zaszeleściło i pękło parę uschniętych gałązek. Powiało chłodem i niespodziewanie przed sobą zobaczyłem jego - wspaniałego „białego rogacza” o obwisłych parostkach, jakby zaczesanych na lewą stronę. Stał tak blisko ambony, że ułamek sekundy wahania wystarczył, aby gło-

śno szczełakając ponownie wpadł do lasu.

W moim ręku pozostał aparat i tylko zapamięłana wirtualna jego fotografia na tle brązowym od uschłych łęł kartofliska.

\*

W następnym roku zupełnie przypadkowo przejeżdżałem obok leśniczówki Janusza. Nie wypadalo mi nie wstąpić i nie zapytać o tegoroczne plany i zimowe sukcesy łowieckie. Leśniczego zastałem w dobrym humorze. Nim jednak się przywitaliśmy, już z daleka krzyknął:

Jest „biała zjawa” na polu za strumykiem! Dopiero co go tam spotkałem!

Rzuciłem wszystko, co miałem w ręku, tylko aparat z teleobiektywem dyndał na mym ramieniu. Na pamięć pobiegłem i zdyszany jak alpinista pośpiesznie wdrapałem się na ambonę.

Z przerzutu, niczym rewolwerowiec, podniosłem aparat. Jedno, drugie zdjęcie i na polu pozostały tylko kłęby kurzu i biała smuga. Sprawdziłem jeszcze, ale zjawy już nie było, tylko zimny chłód poczułem na spoconym czole.

Rogacz jakże teraz był niepodobny do tamtego, z jesiennego spotkania. Była wiosna a on dopiero nakładał nowe poroże i przyodziewał się w nową suknię. Pozostał jednak w nim dawny, ognisty temperament i niespotykana ostrożność.

Jeszcze przez wiele lat dla jednych był postrachem, a dla innych ozdobą Miradzkich lasów.

## 13. Bliźniaki

**Z** całej watahy, która tej nocy żerowała pod dębami w Gębickim lesie, do przygotowanego wcześniej barłogu powrócili tylko bliźniacy. Doświadczyli w swoim życiu już wiele nieszczęść, okaleczeń, utracenia bliskich, ale żeby naraz z całej pięcioosobowej grupy pozostali tylko sami, tego nijak nie umieli zrozumieć.

Cudem chyba tylko uratowali się z niedzielnego polowania, zorganizowanego przez tutejsze koło. Odbijając w stronę bagien, w najbardziej słaby punkt skąd ruszyła naganka, skorzystali z wcześniej zdobytego doświadczenia i praktyki stosowanej przez matkę. Ona, doświadczona samura, nauczyła ich tak postępować, a kiedy w umówionym miejscu nie spotkali swych towarzyszy, wyczuwali, że stało się nieszczęście. Zapach ludzi w lesie, huk, ujadanie psów, przez długi czas jeszcze targał ich zmysłami.

Locha zawsze bezbłędnie wyprowadzała ich z obławy, tak też i teraz znanym sobie polnym rowem opuścili wrogi las ratując życie. Jednemu z nich kula wycięła jednak chyba na grzbiecie, a nawet zwała go z nóg. Kiedy się podniósł, naganiacz głośno krzyczał: „podcięty”, ale się szybko opamiętał i zdążył ująć cało. Jego brat bliźniak miał lepszy węch, wzrok i nerwy, toteż bez trudu ominął naganiacza i przeczekał groźną chwilę pod obwisłą choiną. Potem nagle odrzucając za siebie gałęzie wypadł jak burza, siejąc popłoch i zamęt wśród naganki. Wówczas to zauważono, że był bez ucha i wyraźnie odróżniał się od swego brata.

Obaj ubiegłej jesieni stracili matkę - starą, wielce doświadczoną, która inteligencją przewyższała wszystkie dziki w Miradzkich lasach. Ona to pierwsza odkryła bezpieczne kryjówki i rowy na moczarach, bagnach i podmokłych łąkach Bielska, na rozległych terenach od rzeki Kwieciszewki aż po jezioro

Wilczyńskie. Te wertepy stały się ich stałym, bezpiecznym maceznikiem.

Ojcem bliźniąt był też nie byle kto, bo zwycięzca wielu pojedynków, podczas których składał dowody swej krewkości w walce ze starszymi od siebie odyńcami. Gamrat ten miał głębokie cięcia i trwałe blizny, a przez swą rycerskość żadnych wrogów. Był inteligentny, umiał porozumiewać się co do taktyki postępowania w czasie niebezpieczeństwa. Umiał też błyskawicznie ocenić sytuację, informować swych towarzyszy o możliwościach bezpiecznego opuszczenia zagrożonego rewiru, czym zyskał sobie względy i uznanie całej watahy.

Wszystkie te cechy przekazał bliźniakom zanim ubiegłej jesieni po rui, mocno pokaleczony przez młodszego rywala, przeniósł się na dalekie oparzeliska i słuch o nim zaginął.

Bliźniaki, karmione przez całe lato jajami z gniazd i bagiennymi ziołami, wyrosły na mocarnych odyńców. W czasie ubiegłej huczki stały się rozhukanymi potworami, zwycięzcami niemal wszystkich turniejów. Stąd ich szczeciny były pocięte, z wielką ilością zagojonych ran pokrytych błotem. Nigdy na żer nie wychodzili razem, zawsze na zmianę jeden pilnował i ostrzegał drugiego.

Miejscowy leśniczy wiedział o obu dzikach, jednak ustalenie miejsca ich barłogów było niezmiernie trudne. O księżycu na rżysku spotykał zawsze tylko jednego, a po tropach stwierdzał obecność dwóch. Było to dla niego niemalą zagadką.

Właściwie obecność dzików w lesie radowała go bardzo. Przecież przez dłuższy okres las był pusty. Wcześniej nigdzie nie znajdował barłogów, a nawet tropów. W tym roku, w końcu sierpnia, odkrył na skraju pola dużego odyńca, który zniknął z jego oczu jak kamfora.

Nie dawało mu to spokoju, toteż po załatwieniu służbowych spraw w kancelarii leśniczówki pojechał sprawdzić to nagłe pojawienie się dzika. Jakież było jego zdziwienie, kiedy odkrył

dwa duże tropy prowadzące na bagna. Dalej naliczył jeszcze trzy inne. Tego dnia był zadowolony. Robota paliła mu się w rękach, podśpiewywał sobie, jednym słowem miał dobry humor. Zauważono to szybko, nawet mówiono, że z leśniczego to fajny facet.

Odstrzał na dzika nosił w kieszeni od wiosny, a żadnego nie spotkał. Była więc teraz okazja. Zanim rozpoczną się zbiorowe polowania przynajmniej jednego z tej watahy, bez uszczerbku dla stada, będzie mógł odbić. W jego myślach miał to być dzik nie większy niż pięćdziesiąt kilogramów, bo na takiego miał pozwolenie.

W czasie kilku księżycowych nocy na skraju pola ciągle widywał tego samego dużego osobnika. Przypuszczał, że była to locha, którą powinien on, gospodarz tego lasu, oszczędzić. Niepokoiła go dwuznaczność większej ilości tropów. Przy pomocy robotników leśnych w ciągu dwóch dni wybudował w szczerym polu ambonę. Stała pomiędzy bagnami, a lasem, dziwiła wszystkich. Stała na terenie zdradzającym do niej podejście. Leśniczy wierzył teraz, że spotka dziczą watahę i żmudnie przesiadywał na niej, jednak bez skutku.

Nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki ukazał się na środku pola duży dzik. Żerował z piętnaście minut i znikł. Znów po chwili pojawił się w tym samym miejscu. Było to bardzo dziwne, z czym leśniczy nie spotykał się w wieloletniej praktyce.

Nadszedł październik. W czasie zbiorowego polowania w lesie Gębickim była niesamowita palba. Niemal każdy z myśliwych strzelał do dzika. Twierdzono, że leżało ich sporo, jednak na linię wyciągnięto tylko trzy sztuki, a jeden z nich miał ze dwieście funtów. Reszta to przelatki.

Smutek i żal zapanaowała w leśniczówce. Wierzano, że dzików w lesie nie będzie, tak jak przedtem.

Kiedy na przełomie listopada zjawiłem się u leśniczego,

z wielką goryczą opowiedział mi całą historię i bardzo żałował, że sprzątnięto mu przed nosem z takim trudem odkryte dziki. Nie mógł sobie wybaczyć czasu i poświęcenia, które włożył dla spotkania z nimi i w budowę nowej ambony.

– Dopiero teraz, po tych zdarzeniach, mam odstrząła na odyńca. Wieczorem możemy zasiąść na tej ambonie, abyś się tu nie nudził – powiedział. – Jestem prawie pewien, że dzików nie ma, ale posiedzimy razem i zobaczymy. Bagno to może skrywać jeszcze niejedną niespodziankę!

Obaj weszliśmy do wnętrza ambony. Zabranego ze sobą jamnika leśniczy ułożył pod ławką na kocu, pogłaskał i nastąpiła zupełna cisza.

Przedemną roztaczał się szerokim półkolem sosnowy las, na skraju osłonięty olchami. Obok biegła polna droga ku bezkresnym łąkom, używana chyba tylko w czasie sianokosów. Panował wieczorny bezruch, zupełna cisza. Słońce zniżyło się do horyzontu, niebo zaróżowiło. Od ziemi coraz bardziej powiewało chłodem i wydawało się, że czas stanął w miejscu. Dopiero po godzinie w przyziemnej mgiełce ukazał się dzik. W lornetce wyglądał okazałe. Żerował spokojnie, jednak w znacznej odległości od nas, bo pomiędzy belkami lunety mieścił się w całości. Powoli przybliżał się do nas. Leśniczy spokojnie wprowadził do komory sztucera nabój i po chwili potworny huk targnął amboną. Nawet nie zauważyłem, kiedy zwierzę zniknęło nam z pola widzenia. Mój gospodarz nie pozwolił zejść. Uspokoił zdenerwowanego jamnika i dalej obserwowaliśmy pole. Nagle znowu go zobaczyliśmy.

Teraz już sztucerowy huk wydał mi się o wiele cichszy i wyraźnie usłyszałem kłapięcie kuli w gęste futro zwierza. Dzik wywrócił się na miejscu. Serdecznie pogratulowałem przyjacielowi. Był szczęśliwy i zadowolony. Ścisnął mnie jak byśmy się z rok nie widzieli. Nawet schowany w kocu piesek wydawał jakieś radosne dźwięki. Też wyczuwał sukces swego pana.

Podeszliśmy pod dzika. Już nie żył. Jamnik go obwąchał i nerwowo biegał wokół. Naraz leśniczy krzyknął:

– To przecież „podcięty”, to ten, któremu kiedyś kula zerwała hyb! No bratku, już więcej do ciebie nie będą celował!

Tak byliśmy zajęci dzikiem, że nie zauważyliśmy, kiedy jamnik opuścił to miejsce i naraz głośno oszczeniwał w bagiennym rowie. Próbowaliśmy go odwieść od takiego zachowania, przypuszczając, że spotkał tam piżmowca lub jeża. On jednak nie dał za wygraną.

Leśniczy ponownie załadował sztucer i świecąc latarkami poszliśmy w jego kierunku. Jakież było nasze zdziwienie, kiedy ujrzeliśmy czarną, kudłatą plamę, a na niej jamnika.

– To dzik - wyszeptał drżącym głosem leśniczy.

Zwierz już nie żył. Był takiej samej wielkości jak ten „podcięty”. Leśniczy podniósł jego ciężki łeb i oniemiał z wrażenia.

– To „jednouchy” – wyszeptał. – Gdyby się nie pilnowali to jeden z nich na pewno by żył. Przychodząc sprawdzić, co robi jego braciszek, sam stracił życie. A byłem przekonany, że strzelam do tego samego dzika. Nie będzie już bliźniaków w moim lesie. Podzielili obaj ten sam los. Praktykowali od lat skuteczne pilnowanie i ostrzeganie jeden drugiego. Tylko ciekawość wyprowadziła brata z ukrycia na pole i tam już pozostali razem, przed swoim matecznikiem na mokradłach Bielska, gdzie szczęśliwie przeżyli tyle lat.

## 14. Myśliwski domek w Dąbkach

**R**anek wstawał chłodny i mglisty. Zdawało się, że za chwilę rozpada się na dobre, jeszcze przed wjazdem na wrocławską autostradę. Kiedy to było – lat temu dwadzieścia, może jeszcze dawniej lub nigdy?

– Uważaj jak jedziesz! Nie myślisz, co robisz! Patrz przed siebie, na drogę, a nie błąkaj się z myślami! Rozumiem ciebie, że nie ta pogoda i data ciągnie w takim dniu myśliwych do lasu, ale tam najpierw trzeba dojechać! Nie ciśnij tak mocno na gaz!

Delikatny głos Renatki ostrzegał i nie pozwalał teraz przeżywać starych, dobrych wspomnień.

Nie słuchałem, bo jak można było, kiedy za oknami purpura, szafran i śniedz zabarwiała jesienny las. Ten widok ścisnął za serce, łapał pod gardłem.

Miałem pragnienie wylania z siebie wszystkich wspomnień i przeżyć, które w tym jesiennym pejzażu wracały jak bumerang, czy barwny film. Gwałtownie mijało zmęczenie, powracała bystrość umysłu i chęć przeżywania tamtego Huberta sprzed lat.

– Przrzekam, że będę jechał spokojnie, jeżeli wysłuchasz moich dawnych wspomnień o debiucie myśliwskim w Borach Bydgoskich – zaproponowałem.

Dziewczyna na znak zgody kiwnęła głową. Wołała wybrać spokojną i bezpieczną jazdę.

Trzeciego listopada, w dniu świętego Huberta, postawiono mnie na wąskiej linijce obok Franka, w oddziale 28. Stałem tam długo i spokojnie. Czas płynął przeraźliwie wolno. Już martwiłem się, że zaraz wyjdzie naganka. Po chwili jednak na wprost zaczęły ruszać się sosenki. Jakiś wielki zwierz przesuwał się w moim kierunku, był coraz bliżej i bliżej, aż ręce mi drżały z ner-



wów, a sztucer mocno parzył w dłonie. Naraz jak ogromny głaz smolista, kudłata kula dzika niespodziewanie wyjechała z młodnika. Błyskawicznie strzeliłem Zdawało mi się, że dobrze. Jeżeli nie wyjdzie dalej na przecinkę, to został! Krew burzyła się we mnie ze szczęścia, jakie przynosiła mi Diana. Zupełna cisza panowała jednak tylko przez chwilę i znów jak przedtem rozdzielały się czubki młodnika, ale coraz dalej ode mnie. Przez wąski dukt dzik przeskoczył z wysiłkiem. Nie zdążyłem poprawić.

– Nie podgrzewaj starych wspomnień i nie napalaj się – powiedziała dziewczyna. – Jeszcze nic nie wiadomo. Zaproszenie to nie wszystko. Tego dzika już tam nie ma i może nie ma też jemu podobnych.

Niezrażony kontynuowałem swoją opowieść.

Byłem pewien trafienia, a jednak odyniec poszedł. Franek, mój sąsiad, doświadczony myśliwy, bez trudu znalazł ścinkę i darń wyrwaną rapciami przy strzale i w końcu czerwone jagody farby.

– Popatrz, leży czarny niedźwiedź – usłyszałem jego głos pełen napięcia.

Wówczas to ugięły się pode mną nogi, emocje wzrosły do zenitu. Był to mój pierwszy wielki dzik w Borach Bydgoskich.

Zapamiętałem to polowanie. Śniło mi się latami i ciągle krążyło w mych myślach. Dlatego tak chętnie jadę do Zdzicha, Francka, Klemensa, i Edmunda, bo za nimi kryje się wielka Bydgoska Puszcza i zielony łąn lasów sosnowych pomiędzy Gniewkowem, Suchatówką i Osiekiem, zapamiętanych z przedwojennych obozów harcerek, czy pobytu w restauracji wujka Dębskiego na skraju puszczy.



Byłem pewien trafienia, a jednak odyniec poszedł. Franek, mój sąsiad, doświadczony myśliwy, bez trudu znalazł ścinę i darń wyrwaną rapciami przy strzale i w końcu czerwone jagody farby

Pomimo, że chwilowo nie padało, ulice były mokre. Łowczy koła już czekał przed swym domem. Był uśmiechnięty i zadowolony. Minęło już tyle lat, a my mieliśmy ciągle te same tematy do omówienia i przeżycia, choć teraz nasze głowy przyprószyła już siwizna.

– Franka zabierzemy po drodze – poinformował. – Domek przy leśniczówce w Dąbkach mamy zarezerwowany na parę dni.

Bardzo się ucieszyłem z obecności Franka, gdyż wcześniej zadziwił mnie swym myśliwskim rzemiosłem i talentem, opowiadaniem, znajomością historii łowiectwa na tym terenie. Teraz jednak zdziwiłem się bardzo, kiedy zobaczyłem go stojącego obok fura ekwipunku, który potrzebny by był raczej traperowi wybierającemu się do puszczy, a nie myśliwemu.

Mogę zapytać, gdzie ty się wybierasz? Po co te śpiwory, koce, lampy, gary, torby i plecaki?

Widzisz – odrzekł stanowczo i z zadowoleniem – będę mieszkał w starej leśniczówce z czerwonej cegły, chłodnej, bo wybudowanej jeszcze w ubiegłym stuleciu. Tam spać to co innego niż w ogrzewanym hotelu. Wy będziecie mieć ciepłe pomieszczenia, z bieżącą wodą i telewizorem. To nie dla mnie. To już nie pasuje do moich łowieckich przyzwyczajęń. Do tej mojej kwatery mam ogromny sentyment. W dawnych czasach ta leśniczówka była świadkiem mych wielkich sukcesów i teraz mam ją zdradzić? O nie! Przecież w jej murach święciłem wielkie triumfy, stąd wychodziłem budować pańniki, dokarmiać zwierzynę i do dzisiejszego dnia czuję tam jeszcze zapach prochu, dziczej wątróbki z grzybkami i mam jak żywo w pamięci urodziwą leśniczanekę! Z tych okien widywałem jelenie, a o księżycu nawet dziki, ale przede wszystkim rośnie tam ogromny las. To nie samo, co staw przed domkiem Diany! Zresztą nie wypada. Przyrzekłem leśniczemu Wieškowi, że już tradycyjnie będę mieszkał w leśniczówce. Muszę jednak przyznać, że cieszę się z tej naszej nowej inwestycji, naszego myśliwskiego domku. Każdy z nas poświęcił wiele własnego czasu i środków by urodziwa Diana

mogła go ozdabiać. Do starej leśniczówki stąd nie tak daleko, domek ma też swoje walory - stoi nieopodal naturalnego bagniska, porośniętego trzcinami i olchami. Słychać tam od samego rana rechotanie żab, a teraz jesienią można oglądać kaczki sady.

Jeszcze przed paru laty nikomu z nas nie śniło się, aby przecież niebogate koło „Robotnik” mogło mieć taki ogrzewany domek, z bieżącą wodą i światłem, położony na skraju puszczy.

Będziesz się wkrótce mógł przekonać, jacy jesteście pracownicy, podobnie jak nasi poprzednicy.

\*

Diana przyjęła nas godnie. Nad lasem przygasały resztki purpurowego nieba i coraz wyraźniej na zachodzie rysowały się zębate korony sosen. Zamiast szukać kwatery, która miała być przez wiele dni moim domem, wciśnięto mi w rękę książkę gości, w której musiałem odnotować swoją obecność, a po niej kronikę koła, pożółkłą ze starości, z rozsypującymi się kartkami. Wiele z nich pochodziło jeszcze z czasów zakładania koła. Trudne były do odczytania, ale na pewno interesujące. Zawierały rysunki i zdjęcia z leśnych wypraw w Bory Bydgoskie. Wówczas fotografujący mieli jakiś przemożny stosunek do swego domku, bo niemal wszyscy uwieczniali się z nim, a raczej z Dianą, na wielu fotografiach. Nawet jak trofea były mizerne - zwykły szaraczek, czy licha kózka, zdjęcie na tle Bogini Łowów robiło wrażenie.

Nie mogłem się oderwać od tej lektury. Były nazwiska ośmiu założycieli, dokumenty z pozyskiwanych terenów i obwodów, listy z ciągle wzrastającą liczbą myśliwych, podania o członkostwo z grodu Kopernika i z grodu znad Brdy. Całe strzępy zapisanych stron i wycinków z gazet. Już miałem zostawić tę pasjonującą literaturę, kiedy w ręce wpadła mi porwana kartka, która niebawem chyba trafiłaby do kosza. Na niej z trudem, ale odczytałem fragment wiersza,

jakże pasującego do tego pejzażu, do tego lasu, stawu i ciszy.

„We mgle tuli się staw.

Cisza jest taka, że aż w uszach dzwoni,

Nawet się zdaje, że przystanął czas.

Słońce przed nocą w cieniu czoło kłoni,

Czy szeptu gwiazd tak słucha las?”

Wszyscy już poszli spać. Przede mną był nowy dzień, nowe spotkanie z Puszczą Bydgoską.



## 15. W królestwie Diany

**W** świat zaklęty piękna i czarów łowieckich wprowadzili mnie koledzy – wspomina nestor koła Diana, prawie siedemdziesięcioletni Franek. – Wśród rozkwieconych wrzosów, gotyckich wieżyc niebosiężnych świerków Gór Olbrzymich, jak wówczas nazywano Karkonosze, gołoborzy i strzelistych turni doznałem pierwszych dreszczyków emocji myśliwskich, które w mej pamięci pozostały do dnia dzisiejszego.

Służba na granicy polsko - czeskiej zaraz po wojnie była ciężka i odpowiedzialna Tam jednak, pod Halą Szrenicką i przy wodospadzie Kamieńczyka, po raz pierwszy usłyszałem miłosny koncert jelenich godów, później tokowania głuszców i cietrzewi. Pod Chojnikiem i Jagniątkowem miałem okazję spotkać barany górskie, zwane muflonami, sprowadzone z Korsyki i Sardynii. Piękne krajobrazy i przyroda zrobiły wówczas na mnie ogromne wrażenie.

Jeszcze przed wojną, jako mały chłopiec, kibicowałem strzelającym do tarczy i rzutków na zawodach myśliwskich w Mątwach. Po powrocie na rodzinne Kujawy już łatwo było mi zdecydować się, czym będę zajmował się po pracy. Dalej moją edukacją łowiecką pokierowała Bogini Łowów, najpierw w kole „Robotnik”. Kiedy stała się jego patronką, podjąłem się jej wiernie służyć.

W wigilię św. Huberta siedziałem z Frankiem na werandzie domku myśliwskiego w Dąbkach. Była tam też pani Basia, Zdzychu i Hubert, który tej nocy przyjechał i szykował się na jutrzejsze, uroczyste polowanie.

Z samego rana jakby ktoś chciał zobaczyć przez okno „psią pogodę”, to tylko musiał odsunąć zasłonę. Gnane wściekłym wichrem chmury zalewały falami deszczu szyby i dudniły po okienni-

cach. Gdyby nie taka aura, dawno siedzielibyśmy w lesie. Zdzichu denerwował się i mrucał pod nosem niezadowolony.

Wciśnięty w wygodny fotel bez pośpiechu, dowoli mogłem słuchać wspomnień mego przyjaciela, podziwiać wyblakłe fotografie i pożółkłe strony kroniki koła i osobiste zapiski Franka.

Bory tu są przeogromne, zwarte sosnowe lasy, a wśród nich świetliste polany, turkusowe uprawy na żółtych wydmach i piaskach. Nie uświadczysz świerka, buka czy modrzewia, za to świeże młodniki porasta trawa ostra jak brzytwę, dlatego biada śmiałkom, którzy dla wypędzenia odyńca, nieświadomi zagrożenia, zapuszczają się w te chaszczę. Żyły tam jednak kapitalne byki, wielkie dziki, a czasem nawet po obrzeżach Puszczy Bydgoskiej wędrowały łosie.

Diana na frontonie myśliwskiego domku wyglądała imponująco. Była naturalnej wielkości, a swą powabną nagością robiła iście pogańskie wrażenie.

Dlaczego została patronką koła, trudno dziś było Frankowi powiedzieć. – Myślę – mówił – że właśnie ją wybrano, bo jest najdawniejszą opiekunką łowów, narodzin, a nawet księżycy. Czy do tych lasów nie pasuje, kiedy miejscami jej kultu były dawniej świetliste gaje w królestwie Italii takie, jakich jest wiele w naszym leśnym obwodzie? Tam kapłani zajmowali się leczeniem chorych, korzystając z miejscowych źródeł leczniczych. Nasze miasto „na soli”- Inowrocław, jest również uzdrowiskiem. Są tu teżnie, sanatoria, a myśliwi chyba mają pierwszeństwo do tej najdawniejszej patronki łowów. Jesteśmy z niej dumni. Choć jutro zapolujemy pod znakiem św. Huberta, to szczęście rozdawać w tym lesie będzie Diana.

Franek zdmuchnął kurz ze starej teczki, rozwiązał ją, a zawartość wysypał na stół. Mówił, że już od wielu lat do niej nie zaglądał, bo trzymał ją na szafie w starej leśniczówce. Na werandzie zapachniało myszami, na stole zażółciło się od starych wycinków z gazet i notatek, a próchno z papieru lepiło się do rąk. Wiele tych

zapisków było sprzed wojny, postrzępionych, zawilgoconych obrazków i rysunków, mapek i wykresów, nie mających nic wspólnego z przyrodą, czy łowiectwem. Jednak wśród nich znalazłem treści związane z Puszczą Bydgoską i organizacją łowiectwa na terenach pradoliny Noteci, nazwiska wyjątkowych ludzi, którzy przyczynili się do rozwoju kujawsko-pomorskiego łowiectwa.



W Nadleśnictwie Lutówko polował dawno temu kanclerz Bismarck, później prezydent Ignacy Mościcki, a po wojnie premier Jaroszewicz. Pobyt prezydenta II Rzeczypospolitej pamięta się tu do dnia dzisiejszego. Zawsze na Wielkanoc i Boże Narodzenie obdarowywał prezentami dzieci z miejscowych szkół.

Polowania bywały wówczas emocjonalne, prowadzone z uroczystą oprawą, często myśliwi osłonięci byli koszami.

W tych borach polował również autor „Puszczy” oraz „Sobola i Panny” - Józef Weisenhoff. To on właśnie w roku 1926 założył sto w Bydgoszczy stowarzyszenie mające na celu racjonalne uprawianie łowiectwa. Został też pierwszym prezesem Bydgoskiego Towarzystwa Łowieckiego, które wówczas liczyło blisko sto członków.



Innym wielkim myśliwym na tych terenach był literat, artysta-malarz i fotografik Włodzimierz Korsak. Pod koniec swego życia mieszkał u córki w Żninie. Tutejsi myśliwi są wielce dumni z obecności tak wielkiego pisarza na tej ziemi. Jest on między innymi autorem: „Roku Myśliwego”, „Venatora” i „Pieśni puszczy”.

Na zaszczytnych kartach tutejszego łowiectwa znajdują się też: nestor polskich myśliwych Herman Knothe, dr Paweł Łukowicz, wybitny publicysta Władysław Zabiłło, związany z redakcją Łowca Polskiego.

– W naszym kole – opowiadał Franek – już od samego początku zaznaczył się duch organizacji łowieckiej powstałej jeszcze przed wojną, w południowej dzielnicy miasta. Tam w 1919 roku dwudziestu oficerów batalionu Toruńskiego Pułku Strzelców i mieszkańcy Mątew założyli Kujawskie Koło Łowieckie. Po wielu wzlotach, upadkach i perturbacjach przetrwało ono do dnia dzisiejszego. Właśnie na jego doświadczeniach i wzorach opierały się potem wszystkie niemal nowe koła. O tym pierwszym mówią w samych superlatywach Pomorskie Biuletyny Łowieckie. Jako jedno z pierwszych zostało uhonorowane „Złomem”.

Dla Franka i innych myśliwych z Koła Diana nieosiągalnym wzorem prawego myśliwego i „sokolego oka” są Florian Zamiar z Mątew i Jan Zieliński z Łojewa.

Franek demonstracyjnie na potwierdzenie swoich słów, wyciągnął parę stron ze starego biuletynu łowieckiego gdzie widniał krótki wiersz, dedykowany straży łowieckiej.

– Chcesz to posłuchaj. Jest ciekawy.

Potwierdziłem kiwnięciem głowy. Zadowolony przybliżył do oczu okulary i werandę napełnił jego uroczysty, nabożny głos.

„Święty Hubercie pozdrawiam was!

Ciche niech będą pola i lasy

Wolne od kłusownika...

Odtąd zwierzynie niech będzie lżej,

Dzielnie chronionej w ostojach jej  
Od pętli i od wnyka...”

– Proszę panów gawędziarzy, na stole stoi kawa, my idziemy do lasu – kobiecy, stanowczy głos wyrwał mnie z zadumy.

Spojrzałem za okno. Poprzez dziurawe chmury przeświecał błękit nieba. Kawę wypilem niemal jednym haustem.

Zostawiliśmy na stole ten papierowy bałagan i wkrótce byłem gotów do drogi. Mój przyjaciel właściwie był stale w mundurze. Sztucer i lornetkę przewiesił przez ramię, parę nabożów w kieszeni to – cały jego ekwipunek.

Jechaliśmy piaskową drogą w stronę żelaznego paśnika. Minęliśmy stary zrąb, później wypalony las. Kiedy zachodzące słońce wyrzało zza chmur i pożłociło ścianę dębowego lasu, byliśmy na miejscu.

Ledwo zdążyłem usiąść na ambonie, zawieszanej wysoko pod okapem sosnowego parasola, a już na zrąb wyszły trzy łania. W lornetce szybko okazało się, że łania prowadziła dwa bliźniaki. Długo je obserwowałem. Ocenilem, że ostatni był o wiele mniejszy i słabszy, który może tej zimy nie przeżyć. W kieszeni miałem odstrzał na jednego. Podniosłem broń do twarzy, długo nie mogłem się zdecydować i przycisnąć palcem spust. Naraz łania jakby wyczuła moje intencje i skacząc zasłoniła malucha. Jeszcze przez chwilę ją podziwiałem, a kiedy przestałem obserwować, zadowolona opuściła swe dziecko.

To nie do wiary! Już drugi raz nie odważyłem się na podniesienie do oka strzelby!

Naraz mój przyjaciel błysnął z dołu latarką. Gdyby nie to światło długo bym jeszcze tkwił w tej podniebnej czatowni.

Słońce już dawno się schowało za lasem, cienie zmatowiały i szara mgła powoli przykrywała zrąb.

Mimo braku sukcesu w dobrym nastroju wracałem do naszej bazy, podziwiając instynkt samozachowawczy łani.

## 16. Dar jesiennej kniei

Upchany po brzegi san pojękiwał i chwiał się na boki pod ciężarem myśliwych. Wydawało się, że za chwilę wywróci się lub, co najmniej, zahaczy o któreś ze stojących przy drodze drzew.

Piaskowa, leśna droga, pokryta głębokimi koleinami, wymagała od samochodu potwornego wysiłku, a od kierowcy istnej żonglerki. Mimo tłoku i niewygody panowała atmosfera odświeżna, pełna humoru i oczekiwania na ważne wydarzenia.

Jechaliśmy kiepską drogą obok jeziora Starego, poprzez Suche Piaski, na wydmowe i bagienne wertepy oddziału 122 pod Zajezierzem.

Na miejscu zbiórki już zastaliśmy grupę naganiaczy. Po uroczystym powitaniu i odprawie łowczy przypomnieli o bezpieczeństwie i wyznaczyli pierwsze stanowisko.

Moje z numerem siedem przypadło przy drodze, nad piaskową, głęboką dolinką, obok rozwichrzonej sosny.

Ucichły już wszelkie głosy, ranek wstawał chłodny i spokojny. Siwy nalot szronów razem z pajęczynami okrywał sosenki i chaszczę w dolince i dalej, aż pod czarną wstęgę lasu. Przyległe łąki i mokradła tego ranka wydawały się senne. Cisza panowała tak głęboka wokoło, że w pewnej chwili za sobą usłyszałem cmoknięcie małej myszki.

Nagle spod odległego lasu poprzez zagony chłopskich pól, łąki i wertepy rozległ się dźwięczny głos sygnałówki, a potem ruszyła z hałasem czarna tyraliera naganiaczy. Łomot kołatek, parę głuchych strzałów i znów nastała głęboka cisza.

Na wąską linijkę piasku nagle wybiegł prawie czerwony lisek i zmierzał wprost na moje stanowisko. Huk wystrzału z mojej lewej strony zatrzymał go. Mimo dużej odległości spokojnie podniosłem

moją kniejówkę, przyłożyłem do policzka i czekałem. Rudy spryciarz szcękając ruszył ponownie. Jednak już omijał pnie, chował się, na chwilę pokazywał. Któryś już raz nie zdecydowałem się przycisnąć spustu, bo swym zachowaniem wzbudzał we mnie coraz większe emocje, niemal podobne do tych, jakich doznawałem polując na dziki.

Mykita był tu pospolity, a mnie to jego zachowanie wydawało się wyjątkowe. Przy kolejnym omijaniu pniaka razem z hukiem pozostał na żółtym piasku. Szybko wymieniłem nabój i dalej czekałem na następny dar Diany. Niespodziewanie wąską, piaskową dróżką, chyba ze szybkością błyskawicy, przeskoczyły dwa przelatki. Złamałem strzelbę i w miejsce śrutu włożyłem brenekę. Równocześnie przed sobą zobaczyłem rudego rabusia. Wyrósł przede mną jak spod ziemi. Stał nieruchomo przez dłuższą chwilę, jakby naigrywając się ze mnie. Wystarczyło jednak, że ponownie wymieniłem kule na śrut, żeby gwałtownie wskoczył w młodnik.

Ta wymiana ładunku na śrutowy spowodowała, że dwa dziki omal nie przedelfowały obok mego stanowiska. Mimo spóźnionego strzału uszły nawet nie draśnięte. Emocje spowodowane nagłym ukazaniem się dzików, a wcześniej lisa, przyjąłem z goryczą i niedowierzaniem.

Kiedy niespodziewanie zza pniaka wypadł stary gach, po strzale jak pług zarył w żółtym piachu. Moje emocje wzrosły jeszcze bardziej, kiedy odkryłem, że mój rudy Mykita wstał. Pokazał się na chwilę, kiedy czekałem na spotkanie z dzikami, a w lufach miałem tylko kulę. Zatem zdrów i cało uszedł chytry lisiura w las.

Zabrzmiał sygnał trąbki. Podeszedł do mnie kolega z lewa i gratulował.

– Nie strzelał pan do dzika? – spytał. – Pan wolał lisa? Może i racja! Tu dzików nikt się nie spodziewał, zresztą tradycyjnie polujemy na zające i lisy.

Podniosłem wielkiego kota. Byłem pewien, że był to lis. Co miałem powiedzieć? Byłem szczęśliwy.

Kolega się jednak uszczypliwie uśmiechnął i dodał:

– Już niejeden stojąc na tym stanowisku spudłował tego przecherę. Myślę, że nie jest pan pierwszym, ani ostatnim.

Pozostajemy na tych samych stanowiskach, tylko odwracamy się o sto osiemdziesiąt stopni. Naganka teraz będzie pędzić trzciny i grunty wsi Suchatówka i Buczkowo, obok oddziału sto czterdziestego.

Już z daleka okrzyki i gwizdy słyhać zza lasu. Ruszyła naganka. Przede mną stał pokryty żółtymi brzoźkami i płataniną kolczastych zarośli ugór i tylko z boku był kawałek wolnej przestrzeni. Po prawej stronie stały dwie stare sosny, z których eteryczny zapach mile drażnił nos. Mój napięty wzrok i słuch wychwycił jakiś słaby szelest, a intuicja kazała stać w pogotowiu.

Przede mną na pewno coś się działo. Próbowałem przesunąć się parę kroków – to w lewo, to w prawo, ale gąszcz zazdrośnie strzegł swej tajemnicy.

Wczoraj nieprzespana noc, dziś emocje związane z Hubertowskim polowaniem - wszystko to wpłynęło na koncentrację i zmysły. Widzi się wówczas i wyobraża to, co się chce, a nie rzeczywistość. Nawyk ciągłego czuwania mam od dawna, kiedy haniebnie kilku dzikom pozwoliłem bezkarnie przeskakiwać linię.

Od lat, dzięki fotografowaniu przyrody w jej naturalnym środowisku, nabrałem nawyku, który nie sprawdzał się w myślistwie. Musiałem najpierw zwierzyńkę zobaczyć, potem wybrać najkorzystniejsze tło, a następnie przycisnąć spust aparatu. Takie postępowanie było konieczne do uzyskania wartościowej fotografii.

Teraz było pusto. Aparat mógł więc wisieć spokojnie obok. Nagle zza sosny wyszedł dziesiątak. Jeleń sam nie uwierzył w to spotkanie. Kiedy jednak opuściłem kniejówkę i chwyciłem za apa-

rat, jak rażony piorunem przeskoczył obok, obsypując mnie piaskiem wyrwanym spod kopyt.



Przez moment widok miałem przepyszny: pomiędzy dwoma sosnami on, władca Bydgoskich Borów, przyszłościowy byczek, na tle złotych, jesiennych listków brzozek. Był dla mnie największym tego dnia „jesiennym darem kniei”.

Na chwilę z wrażenia niezdecydowany przysiadłem na krześle. Jeszcze przez chwilę widziałem w oczach sylwetkę zwierza, kiedy obok posznurował lis. Wpadł prosto na stanowisko sąsiada. Huk wystrzału był

chyba końcem jego drogi w tej kniei. Swą kniejówkę oparłem o pień, chwyciłem mego „ikona” z myślą o spotkaniu z następną okazją. Lecz takie spotkania zdarzają się bardzo rzadko.

Teraz zza drzewami pokazał się kicający zając. A niech żyje! Zanim skierowałem obiektyw siadł słupka i odwrócił w stronę zbliżającej się naganki. Po co mi taki odwrócony plecami szarak? Cze-

kam i czekam by przycisnąć tylko spust, ale on nie rozumie, że mu nic nie grozi. Ręce mi już ścierpły, a on trwa i trwa w tej samej pozycji. Przycisnąłem spust, a on jak z procy wyskoczył i zginął mi z oczu. Znów odłożyłem kamerę, ale chyba za wcześnie. Zanim chwyciłem kniejówkę, stary lisiura na moment ukazał się w miejscu gdzie wcześniej był zając. Chyba ze złości strzeliłem, bo podniósł kitę i pomachał wpadając w gąszcze.

Sąsiad też go przegapił. Lisiura przeskoczył drogę i wpadł w młodnik. Z daleka słychać było gęstą strzelaninę, potem blaszanym dźwiękiem roznosił się głos sygnałówki, obwieszczający koniec pędzenia.

Było już dobrze po obiedzie, kiedy ułożono pokot. Na rozkładzie znalazło się sześć zajęcy i jeden lis. On okazał się największym trofeum polowania Hubertowskiego.

Moim jednak był zapamiętany obraz władcy tej kniei, w jesiennym pejzażu pod Zajezierzem.

Jelenia widzieli niemal wszyscy myśliwi stojący na linii. Nie bał się ich zupełnie, był przyszłościowym bykiem, objętym całoroczną ochroną. Odważnie defilował skrajem ugoru, jakby naigrywając się ze strzelców. Jego też najbardziej zapamiętano i w powrotnej drodze najchętniej o nim rozmawiano.

## 17. Władca pogorzelska

**M**ój przyjaciel miał myślistwo w genach. Polował jego dziadek, ojciec był mistrzem w strzelaniu do pióra. On jednak pokochał sztucer i już od wielu lat tylko polowanie na grubego zwierza.

W ciągu dnia zachowywał się ślamazarnie, źle widział, nie miał przyjaciół, był smętkiem. Za to pod wieczór wstępowała w niego jakaś wielka energia. Otwierał szeroko swoje źrenice, chodził podminowany jakby chciał coś wielkiego dokonać. Miał już na koncie niejednego okazałego odyńca, a na ścianie w domu oręż nieosiągalną dla innych myśliwych. Jego pokój zdobyły też medalowe wieńce byków, wyglądem przypominające ogromne, drabiniaste trofea, stanowiące pożądanie każdego nemroda.

Ponoć swym zachowaniem w czasie jelenich godów był utrapieniem dla rodziny. Wówczas głośno mawiano, że pomylił mu się dzień z nocą, tak jak często zdarza się to u niemowląt.

Huberta poznałem w starej leśniczówce, kiedy przyjechał na rykowisko. Miał odstrzał na byka. Był kompanem z klasą, znającym się jak mało kto na rzemiośle łowieckim, dlatego wokół niego stale kręciło się wielu myśliwych. Szczególnie był pomocny przy tropieniu dzików, czy też rozpoznaniu wieku ryczących jeleni.

Teraz i mnie przypadło z nim polować, w czasie tego rykowiska w Bydgoskich Borach. Był to czysty przypadek. Jego przyjaciel musiał na jeden dzień opuścić leśniczówkę i wyjechać z lasu. Miałem więc ogromną szansę!





Nastąpiła cisza. Trwała długo. Ogromna tarcza księżyca wędrowała jak balon nad wierzchołkami lasu. Najpierw jakieś niewyraźne szmery, później czołochranie po pniach nęciło spokój i przybliżało się, coraz bardziej.

A byki już od kilku dni ryczały. Tego wieczoru swojej nieobecności w lesie Hubert by chyba nie przeżył.

Zmieniłem swoje wcześniejsze plany i dołączyłem do jego wyprawy. Od samego początku łapałem się na tym, że on robił wszystko lepiej ode mnie. Bezbłędnie zza okna samochodu rozpoznawał na piaskowej drodze tropy dzicze i jelenie, ogryzione drzewka, czy pobielone pnie przez zwierzynę.

Gwałtownie wyhamowywał samochód, bacznie przyglądał się widocznemu na piasku kierunkowi marszu zwierzyny. Mruczał coś pod nosem, a następnie określał godzinę i oddział, do którego zwierzyna podążała.

Chodził bezszelestnie, nie męczył się wcale, pomimo swoich stu kilogramów wagi. Pod jego butami nie złamała się żadna gałązka, ani jeden patyk. Nawet, kiedy prowadził samochód wydawało się, że płynie po tym kopnym piasku, który tłumi szum opon.

Jechaliśmy na obrzeże lasu pod Jurancice, na bagienne odłuzie oddziału 33 - go, gdzie na styku z sąsiednimi polami stały drewniane ambony. Jelenie i dziki wychodziły tu na buraczyska i wyłożone, porośnięte zbożem pola. Znaleźliśmy wyraźne natropienia, wielkiego byka, a obok całej dziczej watahy.

– Będiesz miał chłopie szczęście – powiedział mój towarzysz. – Leśniczy z Dąbek już od roku opowiada mi o nieuchwytnym selekcie, byku, który zawsze umiał go przechytrzyć i to pomimo wielu godzin spędzonych na tej uratowanej od ognia ścianie lasu. Tam była jego ostoja i różnił się od młodzieży tym, że miał czarne i grube wieńce, z białymi końcówkami w koronach. Był selektem, dobrym odstrzałowym dziesiątakiem.

Tym swoim zachęcającym tonem Hubert starał się mnie podbudować i chyba mu się to udało, bo doznałem nagłego dopływu energii i chciałem być jak najszybciej na ambonie.

– Szanse będziemy mieli równe – dodał – gdyż będę siedział obok, ale wierz mi, że on swoich wieńców tak łatwo nie odda.

Za sosnowym młodnikiem roztaczał się widok na stumetrowej szerokości haliznę wypalonego lasu. Naprzeciw niego stała ambona, chyba tylko cudem uratowana od pożaru.

Pośpiesznie wskoczyłem na drabinę i pięłem się po szczelkach do jej wnętrza. Hubert pojechał dalej, aby zająć podobną na tej samej ścianie lasu.

Jesień w pełni królowała nad Bydgoskimi Borami. Leśne pogorzelsko swą głęboką czernią wyraźnie kontrastowało z barwną paletą lasu, patyną złotych brzoź, dębów i zielenią rozwichrzonych sosen. Ostatnie promienie słońca, filtrowane przez gałęzie, teraz zaglądały do wnętrza mojej czatowni, zabarwiając ją w tęcze kolory. Było tu przyjemnie ciepło i cicho.

Przez okno z głębi halizny zalatywało aromatem spalenizny i zapachem zgniłych liści. Nim się spostrzegłem rozrosły się białe mgły i zmierzch powoli okrył czarną otchłań przede mną. Czasem tylko smoliste szczyty pni wyłaniały się z niej i coraz bardziej przypominały bajkowe potworki wędrujące w białym mleku.

Miałem teraz dużo czasu. Błada jasność księżyca zaczęła coraz bardziej oświetlać mgły, gdy naprzeciw mej ambony zaryczał doniosłym głosem jeleń. Potem kaszłał, przyspieszał jego częstotliwość, by ponownie basowy grzmot przewalił się po pogorzelsku. Wtórował mu daleki głos innego byka z głębi puszczy, a może markowana odpowiedź grana na tubie Huberta.

Naraz wśród tej szarej mgły zamajaczyła chmara jeleni. Przesuwała się w moją stronę, gdy nagle zaryczał ponownie jej władca. Potem już tylko tętent uchodzących zwierząt dobiegał wyraźnie do mej czatowni.

Nastała cisza. Trwała długo. Ogromna tarcza księżyca wędrowała jak balon nad wierzchołkami lasu. Najpierw jakieś niewyraźne szmery, później czocharanie po pniach mąciło spokój i przybliżało się,



Ten świerk stał na skraju wysokiego lasu, za głośno szmerzącym strumykiem, był prawdziwą ozdobą tego obwodu.



Ledwo zdążyłem usiąść na ambonie, zawieszonej wysoko pod okapem sosnowego parasola, a już na zgrąb wyszły trzy łanie. W lornetce szybko okazało się, że łania prowadziła dwa bliźniaki.



Nastała cisza. Wyraźne bekniecie, delikatny trzask gałązki, a już serce waliło mi jak młotem. Drżały ręce, skakał obraz w lornetce. Wreszcie jest! Jakies wielkie rozłożyste wieńce unosiły się nad jego łbem.

coraz bardziej. Wyraźne beknięcie, delikatny trzask gałązki, a już serce waliło mi jak młotem. Drżały ręce, skakał obraz w lornetce. Wreszcie jest! Jakieś wielkie rozłożyste wieńce unosiły się nad mgłą.

Jaki on musi być ogromny!

Z wysiłkiem opanowuję emocje. Po raz pierwszy poluję na byka w puszczy, stąd zadziwienie zaskakuje mnie dość często. Słyszę już trzask gałęzi, ale on nie jest sam. Przed nim idzie cały rudel łań. Jednak tylko jego drabiniasty wieńiec wyraźnie płynie nad białym pęcherzem mgły. Dopiero dalej, o sto kroków, przerywa się ta biel i tam kieruję krzyż lunety mej kniejówki.

Już migają czerwone plamy łań. Za chwilę wyjdzie on – „władca pogorzelska”! Naraz nastaje jakaś potworna cisza – powietrze staje w bezruchu, robi się ciemno jak w piwnicy.

Ale pech! Hubert miał rację, że byk ten tak łatwo nie sprzeda swej korony. Zrezygnowany opieram kniejówkę o ścianę czatowni. Po raz któryś biorę w trzęsące dłonie lornetkę. Nic nie widzę. Czarna chmura zatrzymała się na tarczy księżycy i trwa w bezruchu, a ja naiwnie wierzyłem, że zobaczę byka w lunecie.

Mam znów chwilę czasu. Zupełnie się wyluzowałem. Nie będzie ten to będzie inny – sam się przed sobą usprawiedliwiałem.

Mijają najdłuższe minuty, jakie przeżywam na tej ambonie. Nawet nie zauważyłem, kiedy się odsłoniła srebrna tarcza księżycy.

Znów biorę lornetkę i z niedowierzaniem wśród smolistych pniaków znajduję dumną sylwetkę mojego byka. Nawet nie wiem, kiedy ulokowałem czarny krzyż lunety na jego grzywiastym karku. Huk wystrzału zatrzęsł moją amboną i pogorzelskiem. Byk pode rwał się, jakby chciał przeskoczyć wysoką przeszkodę. Potem bijąc tykami po pniach zginął w czarnej czeluści lasu.

Byłem szczęśliwy. Może Hubert przyniósł mi rzeczywiście szczęście? W głowie narastały zawroty, traciłem zupełnie pamięć tego, co się wydarzyło. Nachodziło mnie szereg wątpliwości. Może

pocisk wyrzucił piasek, który dosięgnął byka, stąd taka jego reakcja? Jeszcze długo targany myślami siedziałem prawie nieprzytomny, kiedy światła reflektorów pokazały się na leśnej drodze. To wracał Hubert.

Błysk latarki i schodzę. Bez słowa udajemy się na miejsce zestrzału. Ogromnie trudno je odszukać w tej czarnej sadzy. Hubert jednak ze sprawnością indiańskiego tropiciela doprowadził mnie pod ścianę lasu. Wcześniej jednak znalazł kudłatą ścinkę kożucha i pofarbowany pień. Miejsce to zaznaczył opaloną gałęzią.

Zostałem na miejscu sam. On zataczał większe i mniejsze koła. Naraz dał znak latarką. Prawie resztkami tchu, zadyszany, dobiegłem do miejsca świetlnego sygnału i omal nie wywróciłem się w płątaninie gałęzi.

Zwalony byk leżał na boku obok czarnego pnia sosny.

– Wywróżyłem ci tego byka – pochwalił się mój kolega. – Nie na darmo dano mi imię Hubert. Zapomniano jednak dodać: „święty”!

Byk był podeszłym starcem. Na łbie dzierżył wieniec dwunastaka z jednostronną widlicą o grubej, czarnej nasadzie tyk.

Przewodnik odłamał kawałek sosnowego złomu i zatknął mi na kapeluszu.

– Gratuluję!

Następnego dnia byka zawieźliśmy do Torunia. Ważył 125 kg, a wieńce jego zdobią moje mieszkanie. Przypominają mi o jelenich godach w Puszczy Bydgoskiej.

## 18. Dziesiątak z Zajezerza

**P**anie leśniczy, już od dłuższego czasu noszę w kieszeni odstrzał na byka, a przez tą pogodę nie bardzo mam już czas na jego poszukanie!

Wiesiek, leśniczy z Dąbek w Puszczy Bydgoskiej, najpierw poskrobał się po mocno łysiejącej głowie. Długo się zastanawiał i nerwowo stukał palcami po blacie swego biurka. Widać było w jego oczach, że chce nam, czyli mnie i mojemu bratu Mundkowi oraz Frankowi Strączkowskiemu, pomóc w wybraniu właściwego rewiru, bo któż lepiej od niego znał te lasy i jelenie ścieżki.

Po chwili w jego oczach zobaczyliśmy jakiś szczery błysk i lekki uśmiech, co na pewno dobrze miało służyć powodzeniu naszej wyprawy. Otworzył szufladę i wyjął mapę obwodu łowieckiego dzierżawionego przez Dianę.

Przed naszymi oczami ukazały się lasy i pola pokrojone dziesiątkami kwadratów, zaznaczonych dróg i ambon. Wyraźnie na tej mapie widać miejsca pożarysk, które od lat były utrapieniem tego nadleśnictwa. Jedno z nich wskazał ołówkiem i powiedział:

– Radzę tam pojechać. Spróbujcie szczęścia na wielkim wypalenisku Tam parę lat temu zaproszono ogień, który strawił kilka hektarów starodrzewia. Minęło od tego pożaru już sporo czasu, ale ślady tej klęski są jeszcze widoczne. Wypalenisko to jest chętnie odwiedzane przez jelenie, można nawet powiedzieć, że jest ulubionym miejscem jelenich godów. Wprawdzie jest ono dość odległe, bo prawie na granicy obwodu, jednak jedziecie tam z Frankiem, a on drogę zna dobrze.

Wczesnym rankiem wyszliśmy ze starej leśniczówki. Już za las odchodził blady sierp księżyca, a mroźne powietrze uderzało po twarzy i wciskało się do gardła. Franek był wesoły i dobrej myśli.



Głośno przypominał sobie przeżycia z dawnych lat, kiedy to na granicy oddziału 46 i 75, o którym mówił leśniczy, strzelił swego pierwszego w życiu byka. A któżby takie chwilę zapomniał, tym bardziej, że wielki jego wieniec zdobi do dziś pokój myśliwski Franka?

W lesie mgła cienką warstwą leżała na ziemi, tylko miarowy szum samochodu uderzał o przydrożne drzewa i echem wracał do naszych uszu.

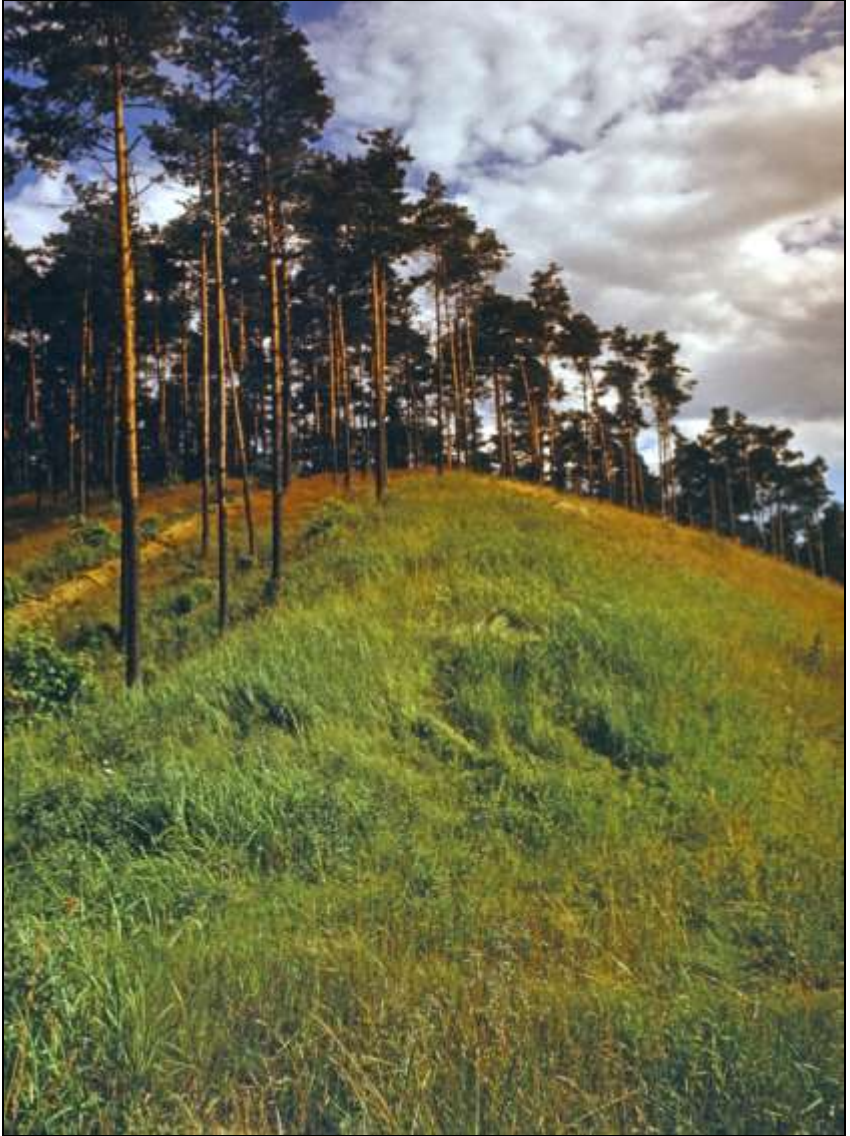
Z dala od wypaleniska bez najmniejszego słowa, niemal bezszelestnie opuściliśmy fiata. Wolno i po cichu rozeszliśmy się do wyznaczonych czatowni.

Przede mną rozciągało się wielkie pożarzysko. Szedłem stale pod słaby wiatr, jeżeli można o takim mówić, bo zaledwie wyginał płomień zapalonej zapalki.

Za lasem już niebo różowiło, gdy znalazłem się w starej ambonie. Jeszcze na drabinie słyszałem wyraźny ryk jelenia, jednak dopiero z jej wnętrza w szklach lornetki dostrzegłem pod lasem czerwoną plamę - chmarę łań ciągnącą do swych dziennych leży.

Mgła powoli opadała. Odkrywałem coraz to rozleglejsze łączki, gdy naraz na jednej z nich triumfalnie rycząc dołączył do opuszczonych łań wielki byk. Skrycie maskowany przez cień lasu i świeże sosenki o swej potędze zaświadczał tylko błyskiem białych grotów zdobiących kielichy oręża i basowym rykiem. Wkrótce też odkryłem drugiego jelenia, który krążył wokół chmary i próbował zbliżyć się coraz bardziej do odstających łań. Zazdrość stadnego byka była jednak ogromna. W gniewie wzywał rywala na pojedynek.

Siedziałem spokojnie, prawie bez ruchu. Wydobyłem z plecaka swój aparat z trzysetką i centymetr po centymetrze kierowałem na nerwowo zachowującego się byka. Z niewygodnej pozycji próbowałem go uchwycić w wizjerze, jednocześnie pilnując, aby nie odkryły mnie wścibskie łanie.



W świat zaklęty piękna i czarów łowieckich wprowadzili mnie koledzy. Wśród rozkwicieonych wrzosów, gotyckich wieżyc niebosiężnych świerków Karkonoszy, gołoborzy i strzelistych turni, doznałem pierwszych dreszczyków emocji.



Mając taki wspaniały widok nawet nie przyszło mi do głowy, aby bawić się w selekcionera, tym bardziej, kiedy zobaczyłem następnego rywala, biegnącego na piaskową górę.



Szarak siedział spokojnie i udawał, że nie dostrzega mojego obiektywu.



Dym z ognisk, razem z nićmi babiego lata, snuł się wszędzie, w coraz bardziej rozgrzwanym powietrzu. Pachniało łącinami z ziemniaków. Kuropatwy były pewne swego ukrycia.



Fotografię tę wykonałem w latach sześćdziesiątych u leśniczego Horacego z Wojcieszyc, który upolował głuszka w Puszczy Bolestawieckiej.



Nad skałami przeleciało jakieś wielkie ptaszysko, które z łopotem skrzydeł usiadło w pobliskim młodniku. Zrobiło się już zupełnie jasno. Naraz przed moją skałą pojawiła się głuszka.

Jeleń szedł dość szybko, wprost na moją ambonę. Nagle się zatrzymał. Czyżby mnie odkrył? Nerwowo parsknął, zaczął uderzać łbem o ziemię, przy tym nawłókł na wieńce całą wiechę traw i kory. Podniósł wysoko swój łeb, niewyraźnie beknął i trzepotał nim, śmiesznie skacząc. Zaabsorbowany tym niecodziennym zdarzeniem nawet zapomniałem przycisnąć spust aparatu. Kiedy w końcu to uczyniłem, byk jakby rażony kulą, podskakując i z żalosnym pobe-kiwaniem w popłochu uchodził.

Chyba nie nadaje się na reportera bezkrwawych łowów? Moje emocje wzięły znów górę! Zaledwie zrobiłem dwa zdjęcia, może jedno będzie udane – usprawiedliwiałem się przed sobą.

Spłoszony byczek wpadł w chmarę łań, co wywołało wście-łość jej opiekuna. Już w lornetce widziałem jak stadny byk podniósł łeb do góry, prawie kładąc swój wieniec na grzbiecie. Zaryczał mocnym głosem, z jego gęby buchała biała para. Basowy, groźny głos kilkakrotnym echem odbijał się od ścian lasu. Spłoszył chma-rę łań, która bezładnie biegła w tę i z powrotem.

W tym jelenim popłochu jak grzyby po deszczu ukazały się jeszcze dwa obce byki, również spłoszone. Uchodziły ode mnie w kierunku wąskiego leja wypaleniska, gdzie na ambonach siedzieli Mundek z Frankiem.

Znikał szron z trawy. Nastąpiła krótka cisza, a po niej przez wypalenisko przewalił się potężny huk

Czas dłużył się nieskończenie. Nareszcie pod ścianą lasu w szklach mojej lornetki dostrzegłem Franka i Mundka, zataczają-cych coraz większe koła, szukających zdobyczy.

Słońce wyszło już zza lasu, jego promienie rozbłyskiwały na kroplach rosy, kiedy zmoczony dotarłem do szczęśliwca, który z niedowierzaniem przyglądał się swojemu pierwszemu bykowi.

Radość była wspólna. Przed Mundkiem leżał byk - Dziesiątak z Zajeziera, jak go nazwał Franek. Brat był szczęśliwy, uśmiech-

nięty, chętnie pozował do fotografii. W końcu w tej radości i euforii i my też dumnie stanęliśmy nad bykiem.

Król Bydgoskiej Puszczy okazał się niekoronnym odstrałowym dziesiątakiem. Dobrze, że była nas trójka, to mogliśmy sobie z nim poradzić. Jednak udało się nam dopiero po kilku godzinach mozolnej pracy dowieść go pod domek Diany.

Mundka byk wzbudził ogromną ciekawość wśród kolegów, a następnego dnia wśród przypadkowych gapiów w czasie obielania jego wielkiego łba.

## 19. Na kaczki do Kaczkowa

**P**ierwszy mój wyjazd ze strzelbą w rodzinne Kujawy zapamiętałem do dzisiaj, niemal w szczegółach. Wystarczy tylko przymknąć oczy, abym znalazł się ponownie wśród nadnoteckich mokradeł, czy bagiennych trzęsawisk Godzięby i Kaczkowa.

A wszystko to za sprawą dawnego kolegi z Mątew, Klemensa Wódczaka, wówczas myśliwego z koła Diana. W czerwcu, po udanym połowie szczupaków na rozlewiskach starej Noteci, Klemens zaprosił mnie do siebie na jesienne kaczki.

Mówiąc szczerze zaproszenie przyjąłem z mieszanym zadowoleniem. Wówczas byłem jeszcze młodym myśliwym, a do pióra nie miałem okazji dotąd strzelać.

Wiedziałem z opowiadań kolegów o trudnościach i przeszkodach w tego rodzaju polowaniach, stale powtarzających slogan: „jedna paczka - jedna kaczka.” Nie muszę tu dodawać, że chodzi o naboje. Dla mnie, początkującego myśliwego, jednak barierą zawsze była ocena wyprzedzenia lecących ptaków, w czym miała pomóc mi układność strzelby i jeszcze dziesiątki innych nabytych z latami doświadczeń.

Do jesieni było jeszcze sporo czasu. Miałem zatem szansę na solidny trening - najpierw na sucho w domu, a potem na strzelnicy.

Mieszkałem w górach, a tam o ptactwo wodne było raczej trudno. Poza tym, wstyd się przyznać, tutejszych słonek na ciągach nie umiałem trafić. Jednak bardzo chciałem się sprawdzić przed wyjazdem.

Kiedyś pod wieczór, przy nisko zwisających chmurach i nienajlepszym oświetleniu, ptak ten na moment ukazywał się przed moimi oczami jak zjawa i natychmiast znikał.



Pamiętam podmokłą drogę w lesie prowadzącą na łąkę, a nad nią wyraźny głos: „krchch...krchch”, co oznaczało: „bądź gotów”. Chrapanie słonki naraz przeszło w piskliwe „psii...psii...psii” i nad szczytami olch ukazał się mały ptaszek o długim dziobie, lecący lotem błyskawicy. Jeszcze raz syknął nade mną i tak jak nagle się ukazał, tak szybko zniknął. Nie zdążyłem nawet poderwać dubeltówki. Wiele razy próbowałem go przechytrzyć, jednak bezskutecznie. W końcu dałem za wygraną i uznałem, że trofeum to leży poza zasięgiem moich możliwości.

Jeżeli tak samo ma być z kaczkami, to tylko przed kolegą się ośmieszę, a podobno kaczce rozkłady Klemensa były imponujące. A kiedy jeszcze mówił o używaniu przez siebie w tych polowaniach zestawianych nabojów o wzmocnionej sile, nie miałem wątpliwości co do moich szans.

Tak przeminał miesiąc jeden, drugi i nastał wrzesień. Był dobrym miesiącem dla myśliwych polujących na ptactwo wodne. Ciepła sucha wiosna i upalne lato przyczyniły się do wyprowadzenia dość licznych kaczyc stad. Aż nie do wiary - całe setki tych ptaków każdego wieczora lądowały na mokradłach Godzięby i Kaczkowa, wokół Kępy Kujawskiej, miejscowości liczących po parę starych chałup w otulinie Borów Bydgoskich, pomiędzy Wisłą a Notecią. Wszędzie panował tu piasek i woda, zalane kiepskie łąki, zarastające trzcina mokradła i bajora. Sosnowe laski, pomiędzy nimi pola uprawne, obsiewane żytem i owsem, stały się teraz spiżarnią setek kaczek.

Klemens zacierał ręce. Na polowanie przyjechaliśmy w trójkę. Zabraliśmy jeszcze Kazia, nie licząc mądrej wyżlicy Kory.

Szliśmy wąską dróżką obok bagna i niemal z każdego dołka rwały się kaczki.

Ustawiono mnie na grobli, przed niewielkim oczkiem wodnym. Klemens poklepał mnie po ramieniu i powiedział do Kazia:

– Ten to ma szczęście!

Potem zginęli mi obaj z oczu, w gęstych trzcinach. Nie wiedziałem jeszcze, co to za szczęście i na czym ono miało polegać. Domyśliłem się tylko, że chodziło chyba o to, iż z pobliskiego oczere-tu darła się bez przerwy jakaś stara kaczka. Opanowała ją dzika chandra lub zagrażało jej niebezpieczeństwo. Swym kwakaniem powinna ściągnąć jakiegoś adoratora, co też po chwili nastąpiło.

Dwie nisko lecące kaczki lotem ślizgowym zbliżyły się do trzcin. Błyskawicznie położyłem szynę mej dubeltówki na pierwszej z nich i rozległ się huk. Rozgrzał powietrze, a druga kaczka pacnęła o wodę, głośno ją rozbryzgując. Kora natychmiast popłynęła po nią. Za chwilę Klemens przyniósł mi pierwszą w życiu strzeloną kaczkę i uroczyście wręczył. Przy tym powiedział:

– Gratuluję, ale my do rakiet, znaczy cyranek, nie strzelamy, bo są małe i lecą zbyt szybko. Na nie mogą sobie pozwolić tylko wyborowi strzelcy. Jestem pełen podziwu dla twego oka.

Usiadłem na kępie. Głowę miałem pełną wątpliwości czy strzelałem do pierwszej czy drugiej cyranki, która leciała z pięć metrów dalej. Jeżeli rzeczywiście oddałem strzał do pierwszej, a spadła druga, to będę miał kłopoty.

Coraz więcej i więcej kaczek, płoszonych w trzcinach przez Korę i huk z dubeltówek, powodował, że na moje bajoro przylatywały bez przerwy pojedyncze sztuki.

Przedemną leżało już dziewięć pustych łusek i żadnej trafio-nej krzyżówki. Znów nadleciały dwie sztuki. Wyprzedziłem metr – pudło, półtora metra, dwa. I znów pudło. Może przed dziób? Powtarzam z drugiej lufy – też pudło. Niech lecą sobie całe i zdrowe! Muszę się zastanowić, co robić dalej, bo mi nie starczy amunicji na dalsze pukanie Panu Bogu w okno.

Liczę naboje. Pozostało jeszcze siedem sztuk. Ale będzie wstyd!

Teraz wszystkie kaczory, które szły na mnie, nagle zmieniły kierunek i leciały na Klemensa. Nim usłyszałem huk z jego strzelby,

załamywały swój lot i spadały w trzciny. Niespodziewanie w pobliżu odezwała się głośnym kwakaniem znajoma kaczka.



Na jej wab wystartowały z pobliskich trzcin dwa kaczory. Ociężale podnosiły się do góry. Zdesperowany strąciłem oba. Byłem szczęśliwy jak dziecko! Nawet więcej już nie załadowałem mej dubeltówki. Oba leżały na wodzie przede mną, a znajoma kaczka dalej się darła i nad nią coraz to przelatywały nowi zalotnicy. Kora posłusznie dopłynęła, wzięła pierwszego kaczora i zginęła w trzcinach.

Naraz na wodzie coś wielkiego plusnęło. Płynęło do drugiej, pozostawionej kaczki. Piżmak, czy szczur? To coś chwyciło ją za szyję i wciągnęło pod wodę.

Ale pech! To miało być to szczęśliwe miejsce? Baczenie rozglądałem się po całym bajorze. Nie było najmniejszego śladu mej kaczki. Z drugiego brzegu przyglądała się też Kora i chyba mnie podejrzewała o kradzież jej ptaka.

Stałem osłupiały, bez ruchu, z aparatem fotograficznym, z myślą o udanej fotografii aportowanego przez wyżlicę kaczora, gdy nagle wyżlica zaszczeła. Na kępie wodnej roślinności ukazała się wydra. Zdążyłem przycisnąć dwukrotnie spust aparatu, gdy ponownie zanurzyła się w wodzie.

Kończyliśmy to polowanie z Klemensem i Kazikiem na mokradłach Godzięby i Kaczkowa. Do samochodu przynieśliśmy dziewięć kaczorów, ale mój był największy. Zdobyłem go z takim poświęceniem i niedowierzaniem, że kosztowało mnie to rzeczywiście „jedną paczkę” nabojów, zgodnie z przysłowiem. Myślę, że największym jednak moim trofeum było udane zdjęcie wydry, a przede wszystkim spotkanie jej na tych mokradłach.

## 20. Deszczowy epizod

**L**eśniczego W. spotkaliśmy, kiedy „wuefemką” wracał ze zrębu. Na pewno głowę miał pełną problemów, bo nawet z początku nas nie zauważył. Kiedy się jednak zatrzymał, machał ręką, jak by chciał się czegoś pozbyć. Dotykał nią czoła i wskazywał na rosnące obok sędziwe sosny.

– Moi kochani, kiepską porę żeście wybrali na łowy. Na odwiedzonych przeze mnie łąkach dzisiejszego ranka albo spotykałem zajączki, albo sarny, a nawet była zwierzyna w tych miejscach, gdzie jej nigdy nie widywałem. Wiecie, co to oznacza? Nie? To ja wam powiem. To zjawisko w moim lesie wróży długotrwałe deszcze.

– Panie leśniczy, jak to może być? – zapytał się Edek. – Od czterech dni nie spadła kropla deszczu. Wprawdzie dzisiaj powietrze jest parne, ale sine, październikowe niebo nad nami nie jest powodem obaw co do zmiany pogody.

Jakby na potwierdzenie swoich słów leśniczy wskazał na leżący obok kamień. Podniósł go i powiedział:

– Proszę zobaczyć, cały jest mokry. Ten połyskujący wodą kamień i liczna zwierzyna z rana na łąkach oznacza tylko jedno i to samo - najczęściej długotrwałe deszcze.

Czekanie na lepszą pogodę na początku października wydawało się nam bezcelowe. Chcieliśmy zrealizować swoje odstrzały na dzika, łanie i cielaka. Pragnęliśmy też wykorzystać choć krótkie przerwy pomiędzy złą aurą, jeżeli taka rzeczywiście będzie miała miejsce.

Leśniczy się nie pomylił. Z wieczora na zasiadkę już nie poszliśmy. Po rynnach leśniczówki bębniły miarowo duże krople

deszczu, a woda czasami wylewała się z nich na zewnątrz, obmywając szyby okna.

Ten wieczór z konieczności przeznaczylimy na dopracowanie naszych łowieckich planów, spodziewając się poprawy pogody następnego dnia.

Byliśmy szczęśliwi, kiedy wczesnym rankiem szliśmy w delikatnej mgiełce do oddziału 94 położonego nad samym jeziorem Nowym. Na tle seledynowego nieba sosny przybierały barwy niebieskie, a wypłukane przez nocny deszcz igliwie złociło się wielkim dywanem usłanym pod młodnikami.

Stała tu tylko jedna ambona. Edek z niej skwapliwie skorzystał. Mnie przyszło usiąść na starym, ociekającym wodą omszałym pniu.

Teraz na wschodzie niebo zszarzało, a potem ukazały się wypchane deszczem groźne chmury. Przeczuwałem większą ulewę. Rozłożyłem trójnog, swoją pelerynę rozwiesiłem na rozłożystych sosnowych gałęziach i tak dotrwałem, dopóki ulewa i kołysane silnym wiatrem drzewo nie zrzuciło na mnie dachu razem z litrami wody.

Znienacka stałem się mokry od stóp do głowy. Ależ ty chłopie wyglądasz, teraz najlepiej chciałoby się siedzieć w ciepłych kapciach, pod kominkiem w leśniczówce – pomyślałem. Zamknąłem oczy, aby nie widzieć tego, co tu się stało. Weź się szybko w garść – coś mi szeptało do ucha – nie ślimacz się, przecież łowiectwo to szkoła przetrwania. Już niejeden raz byłeś w podobnych opałach i dawałeś sobie radę! Czemu teraz ma być inaczej?

Mimo ulewy, która szalała nad młodnikiem, odważnie strzepnąłem pelerynę, wepchnąłem się głębiej pod pień drzewa, rozwiesiłem ją nad głową. Lornetkę nakryłem plecakiem, a kniejówkę własnym ciałem.

Przychodziły takie chwile, że przede mną ściana deszczu utworzyła matową szybę i nie pozwalała cokolwiek ujrzeć.

Siedziałem jak w bunkrze, z małym otworkiem na świat. Mimo to woda zalała mi lunetę, okulary zmatowiały od pary, a zimna ciecz wciskała się za kołnierz.

Kiedy porywisty wiatr na chwilę przegonił chmury, wyraźnie usłyszałem strzał, a po nim niespodziewanie ciche sapanie i trucht dzików? Próbowałem wstać. Naraz z butów chlusnęły fontanny wody. Mimo to szybko poderwałem strzelbę. Cztery dziki stanęły naprzeciw mnie i widząc moje niezdecydowanie oraz szamotaninę się z peleryną, spokojnie zaczęły oddalać się na piaszkowy pagórek. Zdążyłem tylko wyskoczyć przed młodnik i zamiast sztucerowej kuli posłałem do ostatniego brenekę, gdyż w tym napięciu pomyliłem spusty mej kniejówki. Nim się zorientowałem dziki już w komplecie, całe i zdrowe, pokonywały następne wzniesienie.

Byłem załamany.

Ulewa ponownie wracała. Przedtem byłem mokry, teraz już się przed nią nie broniłem, jednak straciłem okazję stuprocentową.

No cóż, można rzec - myśliwy mądry po szkodziu. Byłem pewien, że w młodniku znajdowało się więcej dzików i teraz mimo deszczu byłem przygotowany na spotkanie z nimi. Długo to trwało. Stałem ze strzelbą przy twarzy, bo za plecami miałem ciągle szmery i przepychanki. Wierzyłem, że za chwilę wyskoczą dziki na piaskowe wzniesienie i będą jak na tarczy.

Nie pomyliłem się, ale zamiast odyńca wyszedł jeleń i spokojnie zmierzał na szczyt pagórka. Strzelbę odłożyłem. Widok był wspaniały! Mimo deszczu zwierz prezentował się okazale. Tylko aparat i byłaby fotografia gotowa na konkurs.

Kiedy zachwycony upajałem się tym nieoczekiwanym spotkaniem, niczym na jawie ujrzałem naprzeciw siebie sporego odyńca? Stał obok czarnego pnia, na którym wcześniej siedziałem.

Błyskawicznie chwyciłem strzelbę szukając muszki pod mokłą lunetą. Wypaliłem prosto w pień. Naraz prysły w górę drzazgi, a dzik, który stał obok, zrozumiał, że to nie przelewki i ruszył jak

rakieta, znikając za piaskowym pagórkiem. Dobrze, że nikt tego nie widział!

Miałem tego dnia pecha, tylko czy nie za wielkiego?

Nasz honor myśliwski jednak uratował Edek. Strzelił odstrzałową łanię, którą również w deszczu, lecz już bez emocji przetransportowaliśmy do samochodu.

Następnego dnia ten deszczowy epizod musiałem odleżeć, i to z temperaturą, w łóżku.

Nie żałowałem, bo też padało!



## 21. Marzenia czasem się spełniają

**R**ozpoczął się nowy sezon na kaczki. Wybrałem się z Klemensem na bagna za Gniewkowem, gdzie od niepamiętnych czasów gnieździło się sporo wodnego ptactwa. Tamte mokradła były pozostałością po rzekach płynących przez Bydgoską Puszcę do Wisły. Na skutek nadmiernego osuszania tych lasów w ubiegłych wiekach, pozostały oddzielone od siebie zarastające jeziorka o nadzwyczaj czystych wodach bardzo cenione przez wodną faunę.

W obawie przed deszczem wybraliśmy najbliższe mokradło przy drodze, tuż naprzeciw wioski. Dziewiętnastowieczne chaty z czerwonej cegły stały na łuku tego bagna, a od wody oddzielała je tylko droga.

Nie chcąc stanowić zbyt dużej atrakcji samochód postawiliśmy wcześniej na wzniesieniu i z samego ranka, ubrani w gumki, zginęliśmy w bagiennych szuwarach.

Dziki kaczki lubią złą pogodę, toteż zaniepokojone naszym buszowaniem i pluskiem wody startowały, chcąc sprawdzić co też się dzieje w trzcinach. Przelatywały nisko nad nami i stawały się łatwym celem.

Wiedziałem już, że Klemens strącił kilka sztuk, ja pierwszego kaczora, który leciał przed kaczką, chybiłem i to dwukrotnie. Do następnego nadlatującego dałem poprawkę większą na wyprzedzenie i strąciłem. Leżał teraz na wodzie przede mną i wiosłował łapkami zapisując swój testament.

Po paru minutach trafiłem drugiego kaczora, ten jednak spadając odbił się od wody i odleciał. Wyrównał lot. Śledząc za nim oczami zauważyłem, że naraz załamał go i spadał w pobliżu przydrożnej brzozy, obok której dzisiejszego ranka przechodziliśmy.

W tym czasie nade mną znów przelatywało kacze stadko, a za nim pojedynczy kaczor. Po strzale lotem ślizgowym spadł w kępę trzciny.

Miałem już osiem pustych łusek, kiedy wyźlica Klemensa przyniosła mi pierwszego kaczoza. Poklepana przeze mnie po barku z zadowoleniem pobiegła po drugiego. Niespodziewanie się rozszczękała w trzcinach. Przypuszczałem, że to chwilowe jakieś jej fanaberie, ale ona nie przestawała. Dotąd nigdy tak się nie zachowywała, ani nie miała tak przejmującego głosu. Było jasne, że muszę wejść głębiej w bagno i jej pomóc.

Najpierw przypuszczałem, że kaczor zawiesił się na wierzchołkach trzciny i nie umie sobie z tym problemem poradzić. Dubeltówkę przewiesiłem przez ramię i przy pomocy kija badałem głębokość wody. Omijając ukryte wilcze dołki dowlokłem się do hałasującej wyźlicy.

Zamurowało mnie zupełnie! Przede mną po pas w wodzie stał olbrzymi dzik, z białymi szablami skierowanymi w stronę psa! O strzelaniu do niego nie mogło być mowy. Lufy dubeltówki były puste, a w kieszeni tylko kaczy śrut. Na chwilę zawahałem się, co robić. Wystarczyło to, aby dzik w fontannach wody jak błyskawica odwrócił się o sto osiemdziesiąt stopni i runął w jeszcze większe zarośla. I tyle go widziałem!

Zostałem sam z wyźlem i leżącym obok kaczoziem. Tego, co się stało, pies chyba mi nigdy nie wybaczy! Już nie podniósł ptaka, tylko pobiegł do swego pana.

Zszokowany czekałem na brzegu bagna mając stale spotkanie z odyńcem w oczach - jego czarne, świdrujące ślepie, otwartą paszczę z białymi jak śnieg łkami i kłapanie nią głośno na psa.

Co ja teraz powiem mojemu przyjacielowi? Będę raczej milczał ze wstydu!

Klemens zagadnął mnie pierwszy.

– Byłem pewien – mówił – że ty się skąpałeś, wywracając się w bagnie. Taki słyszałem u ciebie plusk wody i hałas!

Natychmiast otrzeźwiałem, jednak nie przez to, co mówił, a na widok siedmiu roślących kaczorów zawieszonych na trokach u jego pasa. Starąłem się wszystko zapamiętać.

– Muszę jeszcze iść poszukać postrzałka – powiedziałem.

Dalsze polowanie było już bezcelowe. Zjawiło się kilku młodzieńców. Bacznie przyglądali się ptakom, porównywali ich ciężar. Chętnie pomogli zanieść je do samochodu.

Brzoza, do której szedłem, stała przy drodze nieopodal pierwszego gospodarstwa we wsi. Czekał tam na mnie gospodarz. Spodziewałem się upomnienia za chodzenie po jego łąkach lub za zakłócanie spokoju. Pomyliłem się jednak. Kiedy powitałem go, od razu wskazał mi leżącego w trawie kaczora i to daleko od drzewa. Prawdopodobnie bez psa bym tego ptaka za nic nie odnalazł. Podziękowałem.

– Nazywam się Brunon i mam do pana sprawę.

– Siedliśmy na koźle do cięcia drewna i słuchałem tego, co też ma do powiedzenia

Brunon opowiedział mi historię o wielkim dziku, który mieszka w tym bagnie i wychodzi na jego pola, jednak tylko nocą. Zniszczył jemu i sąsiadowi owies, wyorał sporo ziemniaków, a teraz siedzi w kukurydzy, która rośnie ze trzysta metrów dalej.

– Proszę pana, niech pan coś z tym szatanem zrobi! Postawię panu dobrą śliwovicę! Klofta już niejedną raz próbował tego dzika złapać na przesmyku. Zakładał różne druty. Dzięki temu dzik nosi do dzisiejszego dnia na przednim biegu zerwany, druciany pierścień.

– Panie Brunonie, wiadomo jak jest z dzikami. Przyrzec nie mogę, jestem tu rzadko – odpowiedziałem, widząc jednak determinację gospodarza obiecałem, że kiedyś tego dzika przypilnuję.

Nie był zadowolony, choć tą moją obietnicę przyjął. Podziękowałem za odnalezioną kaczkę i wróciłem do samochodu.

Przez całą powrotną drogę nie rozmawiałem. Spotkanie z dziakiem w bagnie było dla mnie niesamowitym przeżyciem i tylko o nim myślałem. Starłem się też wymyślić jakiś prawdopodobny termin ponownego spotkania się z tym wielkim błociarzem.

Nawet Klemens zauważył moje nietypowe zachowanie, bo naraz zapytał czy jestem niezadowolony z dzisiejszego polowania. Zaprzeczyłem.

Wszystkie kaczki zawieźliśmy do składnicy Jedności Łowieckiej w Inowrocławiu, a mi pozostały tylko wspomnienia, które mocno wryły się w pamięć.

Była połowa sierpnia. Już teraz marzeniem moim było spotkanie się z tym gamratem, jednak mogło to nastąpić dopiero jesienią, kiedy przyjadę na rykowisko.

Ponieważ marzenia czasem się spełniają, przez wiele tygodni robiłem wszystko, aby moje plany były realne i mogły się spełnić. Nawet przygotowałem przenośną ambonkę, którą bym mógł w pobliżu kukurydzianego pola zawiesić. Stale też głęboko wierzyłem, że nikt z myśliwych wcześniej tego dzika nie odkryje.

\*

Pod koniec października słoneczne dni przeplatały rozgwieżdżone noce. Do łowiska przyjechałem z synem Darkiem. Emocje myśliwskie zaczęły się już od spotkania ze Zdlichem i Hubertem. Pierwszy ostatniej nocy strzelił dwa dziki prawie o podobnej wadze, trochę ponad trzydzieści kilogramów. Drugi większego odyńca, około sześćdziesięciu kilogramów i tegorocznego warchlaka. Obaj twierdzili, że duże dziki wyniosły się z tego rejonu na kukurydziane pola pod Zajezierze, a pozostały tylko maluchy i nie ma naprawdę, po co jeździć.

Wieczorem przyjechał jeszcze Bogdan z Frankiem. Obaj zaproponowali wyjazd do oddziału 113. Tam spodziewali się większego zwierzaka. Zgadzałem się na każdą propozycję, byle tylko być blisko bagna, w którym latem spotkałem się z tym wielkim, błotnym dzikiem.

Zdychu miał poniekąd rację mówiąc, że nie ma po co dzisiaj jechać na pola. Pod wieczór chmury pokryły szczelnie niebo i wcześniej niż zwykle zrobiło się szaro i mimo, że księżyc świecił za nimi było zupełnie ciemno.

Zaproponowano mi nawet wygodną ambonę, jednak poprosiłem o wolną rękę i przypilnowanie rżyska pod wioską. Franek z politowaniem popatrzył na mnie i zapytał, czy aby się nie pomyliłem. Potaknąłem głową na znak, że tam chcę pójść i tak się rozstaliśmy.

Siny zmierzch otulał rżysko kukurydziane. Wszędzie panowała cisza. Wioska już spała. Lecz oto nagle jak robaczki świętojańskie zza wzniesienia rozbłysło parę latarni przydomowych. Czym głębsze ciemności zapadały, tym one bardziej oświetlały pole, przed którym stałem.

Dopiero teraz zorientowałem się, że całe niemal rżysko było widoczne na tle chat i strzelanie w tym kierunku było niemożliwe. W razie chybienia kula trafiłaby w dom. Stąd też nikt na tego dzika nie chciał tu polować. Byłem załamany. Tyle wysiłku, tyle zachodów i taka plama!

Już miałem wracać, kiedy odkryłem w lornetce stóg słomy, który stał obok i zasłaniał jedną z chat za bagnem. Tak to było to miejsce, gdzie można na jego tle strzelać do dzika. To dobre rozwiązanie – bezpieczne i realne. Ucieszyłem z własnego pomysłu.

Dobrze minęła już północ. Pomimo zachmurzonego nieba poświata księżycy pozwalała na kontrolowanie rżyska. Niezadługo od trzciny oderwał się czarny punkcik. W dziesięciokrotnej lornetce

urósł do olbrzyma. Przesuwał się w stronę stogu. Naraz się zatrzymał. Stał nieruchomo przez chwilę, jakby wietrzył. Czyżby mnie odkrył? Nie, przecież wiatr miałem dobry.

Za jego smolistą sylwetką widniało maleńkie okienko chaty. Kiedy na chwilę wyjrzał księżyc mogłem tego błociarza zobaczyć gołym okiem na tle gospodarskiej zagrody. Wreszcie ruszył w stronę stogu. Prowadziłem już go w lunecie, kładąc na nim czarny krzyż. Znow się zatrzymał i znow w tle była chata.

Nie wiem, która mogła być godzina, ale zdecydowałem się na posłanie mu kuli, kiedy tylko nakryje swą sylwetką ciemny stóg słomy. Wówczas omal nie doznałem szoku. Na szczycie stogu zabłysło światelko latarki! O cholera! Co to jest? Dzika już nie było. W szklach lornetki zobaczyłem teraz jakąś parę, która ze śmiechem i hałasem strzepywała ze siebie słomę.

Ale pech! Chciało mi się wyc i krzyczeć! Z takim poświęceniem wypracowałem tego wielkiego dzika, a tu jacyś rozpustnicy zepsuli mi całą noc i moje marzenia na posiadanie jego wielkich szabli!

W następnym roku dowiedziałem się, że zimą w czasie huczki Franek strzelił na bagnach dużego dzika. Ważył ponad sto kilogramów. Zapytałem czy miał drucianą pętlę na przednim biegu. Odpowiedź była negatywna. Ucieszyłem się bardzo z tej informacji. Byłem pewien, że błociarz przeżył i czeka na ponowne spotkanie ze mną. Wierzyłem mocno, że na pewno kiedyś zawieszę jego oręż na ścianie wśród moich najcenniejszych trofeów.

## 22. Pięć nie przespanych nocy

**M**yśliwskie tereny leśnictwa Dąbki, Podlesie, Suche, Piaski, Zajezerze i Obręb Cierpiszewski pod Toruniem słyną z obfitości saren, jeleni, dzików i szaraków dzięki hodowlanym zabiegom, oraz właściwemu pożywieniu i glebie tu im sprzyjającej.

W mokradłach, osłoniętych od północnych, zimnych wiatrów przez gęste i zwarte bory, lęgną się każdego roku duże ilości ptactwa wodnego, w tym dzikich kaczek. One są wielką atrakcją i premią dla tutejszych myśliwych.

Również na styku jałowych pól w południowej części Borów Bydgoskich można spotkać wiele gatunków dzikiej zwierzyny. Tu napotykaamy fragmenty prawdziwej, pierwotnej przyrody, której zaborczość ludzka nie zdążyła zdewastować. Leśne scenerie stwarzają prawdziwą ucztę dla ducha i obiektywu fotografa.

Są tu łowiska, do których chce się powrócić, by oddychać żywicznym powietrzem i czekać z niecierpliwością na upatrzonego zwierza, oglądać kręte, piaskowe drogi, popisane tropami łosi, dzików, jeleni, krwiożerczych wilków i lisów, delikatnymi śladami łapek kuny ścigającej większego od siebie szaraka.

Polowania selekcyjne wokół puszczańskiej osady Dęblin nie mają sobie równych, co do wielkości rozkładów i znakomitej organizacji.

W czasie pięciu nocnych polowań doznałem tu wiele niezapomnianych wrażeń. Niektóre z nich zarejestrowałem tylko na chwilę, jako sny widziane na jawie. Zapamiętałem te, które najmocniej zapadły głęboko w mej duszy i pozostały na całe życie.

## Grunty wsi Godzięba, 10 listopada 1984 r.

**P**rzed północą mkniemy szosą z Gniewkowa do leśniczówki w Dąbkach. Jeszcze tylko dwa zakręty w lewo i w zupełnych ciemnościach wyłaniają się nam znajome światła w oknach domku myśliwskiego Diany.

Serdeczne witani przez Zdzicha i Huberta mimo zmęczenia na gorąco opowiadamy o przebytej czterystu - kilometrowej trasie z Dolnego Śląska. Na stole już paruje gorąca herbata, jest zakąska i tradycyjny kieliszek koniaku.

Rozmowa dość szybko zesłała na tematy łowieckie, na ostatnie sukcesy i porażki naszych przyjaciół oraz plany na jeszcze dzisiejszą noc.

Prawie z marszu, choć zmęczeni, jedziemy dwoma samochodami wśród szpalerów starego boru, później zwartych młodników. RzUCA autami to w lewo to w prawo, droga kręta, jazda po ciemku trudna i niepewna. Wreszcie na horyzoncie widać nikielne światelko.

Jesteśmy na skraju pól. To grunty wsi Godzięba.

– Tutaj poprzedniego dnia odkryliśmy na ściernisku tropy chmary jeleni – mówi po cichu Hubert. – Na przyległej łące jest błotne kąpielisko i tam przychodzi stary odynec. Są jego odcisnięte rapcie wielkie jak podkowy. Pamiętaj! Siedzimy do oporu! Darz Bór!

Samochody odjechały. Szybko zanikły światła i ustał szum silników.

Zostałem sam w zupełnej ciemności na ścieżce wyjściowej zwierzyny na rżyska i łąki przed wsią. No nie będę tutaj sam. Edek wysiadzie na trzeciej ambonie, nad tym samym polem.

Wiedziałem już, że na kilkusetmetrowej ścianie lasu ustawiono parę czatowni. Tej, przed którą teraz stałem, a która do świtu miała mnie chronić i być moim domem, trudno by przypisać taką



wzniosłą nazwę. Była, jak mówią tutejsi myśliwi, po prostu zwykłą zwyżką, lichą, bo lichą, zbudowaną z drewna olchowego prowizorką.

W myśl starego powiedzenia: „to się lubi, co się ma”, zważywszy jeszcze, że jest środek nocy, szybko wdrapałem się na jej szczyt, robiąc przy tym sporo hałasu, gdyż przy wchodzeniu skrzyiała potwornie. Za to przed sobą miałem wspaniały widok na rozgwieżdżone o tej porze niebo i prawdopodobnie pod horyzontem dachy odległej wioski, ścierniska i łąki.

Tkwiałem w bezruchu dość długo. Mrozu prawie nie czułem, ale zmęczenie narastało i coraz częściej przymykało powieki. Za mną powoli wyłaniał się księżyc, na pole rzucał coraz to nowe cienie. Stare, rozwichrzone sosny, od wiatru wychylając się na boki, smugami cieni zamiatały rżysko.

Na chwilę musiałem przysnąć, bo naraz poderwał mnie hałas. Przede mną w szklach lornetki młody byczek przywoływał do porządku swój harem. Odstające łanie szturchał porożem, by powróciły do stada. Jego zachowanie polegało tylko na stałej opiece i nadzorowaniu kilku łań i cielaków. Naraz, z niezrozumiałej przyczyny dla mnie zaczął walić o ziemię łbem, nawlekając na swoje tyki tyle słomy, że wyglądem przypominał stracha. Czyżby w ten sposób demonstrował swą władzę?

Gwiazdy już bladły, powoli narastał świt. Coraz wyraźniej mogłem obserwować zaloty byka. Ani na chwilę nie przestawał podskakiwać i to coraz z większą furią i zaciętością atakował coś niewielkiego na rżysku. Nastąpiła zupełna cisza. Przerwał ją głośny skowyt i szczekanie lisa. Zrozumiałem, że to właśnie mykita był przyczyną takiego zachowania się jelenia, a przestraszona chmara z wielkim hałasem wpadła do lasu, tuż obok mej zwyżki.

Na polu pozostał rudy rabuś. Niepokojony ciągnął do lasu jakąś zdobycz. To było już okropne! Na pewno miał na sumieniu niejedno leśne zwierzę, a teraz wszedł jeszcze w paradę chmarze jeleni i zdenerwował jej opiekuna!

Odległość była znaczna. Lis razem z zdobyczą sznurował w stronę sosnowego młodnika, gdy zaczęło się robić coraz widniej.

Ciągle zajęty swą ofiarą pozwolił mi spokojnie zejść z drabiny i na zielonej łące oglądać w lornetce jego rdzawoczerwone futro. Byłem bardzo ciekawy, co też on upolował, tak mozolnie trudząc się tego ranka.

O strzale śrutowym nie było mowy. Zdecydowałem się tego groźnego rabusia poczęstować kulą, jeżeli tylko się to uda. Mykita teraz już wyraźnie zbliżył się do młodnika i za chwilę miał mi zginać z oczu. Kiedy na moment się zatrzymał i był dobrze widoczny na zielonej łące, krzyż lunety umieściłem na białym jego kołnierzyku i przycisnąłem spust. Razem z hukiem, odbijającym się kilkakrotnym echem od ściany lasu, łąka nagle opustoszała.

Rudawo czerwona plama odróżniała się wyraźnie od ciemnej zieleni trawy. Stary lisiura leżał wyciągnięty z czarnymi jak smoła uszkami. Jego futro miało wyraźne ślady od uderzeń byka, który natrudził się mocno, aby zadać cios niepożądanemu osobnikowi w jego haremie. W białych, wielkich kłach tego zbója jak w żelaznym uścisku tkwiło teraz delikatne futerko tegorocznego szaraka. A może jelen bronił przed lisem tego małego stworzenia?

Rabuś miał też maleńki czerwony znaczek na swym futerku od mej kuli. Naliczyłem od ściany lasu do niego prawie dwieście kroków.

Wrócili Edek, Zdzichu i Hubert. Były gratulacje.

Taki epizod z lisem przeżyłem pierwszy raz w życiu. Choć ślaniałem się na nogach od zmęczenia i nieprzespanej nocy, byłem szczęśliwy.

## Pniaki, Oddział 45, - 11 listopada 1984 r.

**D**ochodziła północ. Lodowaty wiatr dmie ze wschodu, białym szronem pokryły się łąki, a przydrożne bagna cienką warstwą lodu. Pomimo ciepłego okrycia zimno wdzierało mi się za kołnierz, a na brwiach tworzyły lodowe perełki. Pod stopami zmarznięta trawa łamała się przeraźliwie głośno i skrzypiała, a moje kroki chyba było słychać na drugim końcu oddziału. Szedłem powoli, zupełnie po ciemku i nie wiem dlaczego, ale bez przekonania na sukces w tej nocy.

Wreszcie grzęda w oddziale 45, misternie sklecona ambona na skraju lasu i wydm, żółtego piasku o tej porze zamienionego w zimny, srebrzysty, falujący dywan. Jak na zburzonym morzu płynęły po nim kępy sosnowych młodników.

Już dobrze przemarznięty wspiałem się po szczeblach drabiny na jej szczyt. Wiało tam okropnie. Przytuliłem się do podpory, ukryłem ręce głęboko w kieszeniach i tak trwałem w bezruchu. Obawiałem się poruszyć, aby nie zdradzić swej obecności na tym odludziu.

Ostrożnie oglądałem w lornetce stale ten sam krajobraz. Może przez godzinę lub dwie nie było żywego ducha. A tak na wczorajszym obiedzie u pani Basi Zdzichu zachęcał mnie do tego łowiska! To tam wyznaczono mi pniaki w oddziale 45, na co nieświadomie przystałem.

Kiedy w nocy wysiadłem z poloneza i doszedłem do sosnowego młodnika, pod którym stała moja ambona, coś wewnątrz mnie przekonywało, że Zdzichu, mówiąc oględnie, wpuścił kolegę w maliny. Owszem mogły tu przechodzić jelenie, ale co by miały robić na tych piaskach? Dzików też nie będzie, bo wolą żerować pod dębami szukając żołądźi i innych smacznych dżdżownic. Dlaczego zatem zachwalał tak bardzo te pniaki?

Moje oczy już przyzwyczyły się do ciemności. Przed sobą teraz miałem mocno sfałdowany żółty piasek, ciągnący się chyba

ponad kilometr, a w niektórych miejscach pod sam czarny horyzont. Odkryłem na nim małe sadzonki, celowo chyba osłonięte paskami sosnowych młodników przed szalejącymi tu wiatrami.

Kiedy wstając zza lasu księżyc oświetlił teren, ujrzałem szeregi czarnych pniaków wyrwanych z ziemi. Musiałem je obejrzeć i sprawdzić dokładnie w lornetce.

Na początku dalej nie było tu nic atrakcyjnego. Czyżby moje przypuszczenia wobec Zdzicha miały się potwierdzić? Zniecierpliwiony znów przyłożyłem lornetkę do oczu. Teraz od smolistych pni oderwały się trzy ciemne sylwetki i biegnąc przecinały uprawę na piasku. Poznałem – to były łanie.

Szybko wstawał świt, a z nim wzrastał się zimny wiatr. Zmarzniętymi rękami starałem się w bezruchu utrzymać lornetkę. Nagle ukazał się w niej byk o krzaczastych wieńcach. Zaniepokojony zachowaniem się łań podniósł ociężały łeb. Najpierw wietrzył, przyglądając się bacznie mej ambonie i głośno stękał. Niespodziewanie ruszył za łaniami. Stanął na piaskowym wzgórzu, wyprostował swą dojrzałą, grzywiastą sylwetkę, a z jego gęby buchnęła para, a potem doniosły ryk przewalił się po piaskach, aż po krańce tej pustyni.

Mając taki wspaniały widok nawet nie przyszło mi do głowy, aby bawić się w selekcionera, tym bardziej, kiedy zobaczyłem następnego rywala, biegnącego na piaskową górę.

Teraz też dopiero przypomniałem sobie o mojej trzysetce. Zrzuciłem nakrycie z obiektywu, wizjer przysunąłem do oka, a w nim był obraz starcia obu byków. Na piaskowym wzgórzu działy się rzeczy chwytające za gardło myśliwego. Walczyli ze sobą dwaj mocarze Borów Bydgoskich, po łosiu najwięksi mieszkańcy puszczy.



Na piaskowym wzgórzu działy się rzeczy chwytające za gardło myśliwego. Walczyli ze sobą dwaj mocarze Borów Bydgoskich, po łosiu najwięksi mieszkańcy puszczy.

W tej gorącej chwili przycisnąłem spust Minolty. Niestety, na próżno! Nie zadziałała migawka. Klasyczny niewypał! Do diabła z japońską techniką! Zbyt słabe światło zablokowało migawkę! Gdybym miał w tej chwili enerdowną Praktycę, to takiej tragedii bym nie przeżywał. Przecież z takim właśnie aparatem przemierzyłem wiele kanadyjskich puszczy i nigdy mnie nie zawiódł!

Walka byków trwała nadal. Czerwono-rdzawe suknie obu rywali w pierwszych promieniach wschodzącego słońca podkreślały ich zaciętość i nieustępliwość. Grzechotanie wieńców i bolesne pojękiwania wyraźnie było słychać na mej ambonie. Trwało to parę minut.

Kiedy już jaśniejsze światło odblokowało migawkę aparatu, najatrakcyjniejsza walka obu byków dawno się skończyła. Teraz zdążyłem tylko jeszcze, chyba na otarcie łez, uchwycić w obiektyw odchodzącego napastnika i celnie trafić. On jednak o tym nie wiedział.

Mimo niepowodzenia to było naprawdę dla mnie wielkie przeżycie i jeszcze raz potwierdzało znaną maksymę, że bezkrwawe łowy są o wiele trudniejsze od sztucerowych trofeów, bowiem najczęściej w tym jedynym, niepowtarzalnym momencie albo słońce przykrywa chmurka lub zdarza się niewypał. Stąd tak trudno o dobrą tego typu fotografię, ale pokonanego byka będę miał w swym albumie

Całe zdarzenie zarejestrowałem głęboko w mej pamięci i mogłem przy śniadaniu opowiedzieć o nim w detalach Zdzichowi, Hubertowi, Mundkowi i pani Basi.

Do tutejszej tradycji należało, że każdy z nas opowiadał swoje przeżycia z myśliwskich zasiadek. Moje wrażenia przychylnie zostały przyjęte, z czego się bardzo ucieszyłem.

## Na granicy obwodu, - 12 listopada 1984 r.

**N**aszym myśliwskim kucharzem był Edek. Trzeba przyznać, że dania obiadowe przygotowywał znakomicie. Dzisiaj jedliśmy jajecznicę na boczku z wkładką z wędzonej kielbasy myśliwskiej, wyrobu Zdzicha. W dniu wczorajszym, po całonocnej eskapadzie, mieliśmy pyszną zupę z majerankiem, której ponętny zapach rozchodził się po całym domku. Jeszcze innym razem była wątróbka z grzybkami, pyszności dla podniebienia, na zarumienionej cebulce i z zapachem sosnowego aromatu lasu zza okna. Proszę sprawdzić jak to smakuje! Na koniec, dla równowagi, po małym kieliszeczku wódki.

Moim i Zdzicha zadaniem było tylko zmywanie naczyń i serwowanie herbaty oraz kawy, tej ostatniej chyba najwięcej, bo towarzystwo ciągle chodziło niewyspane.

Przygotowania do kolejnej wyprawy z Frankiem, doprecyzowanie jej szczegółów, wybór rejonu, omawialiśmy na schodach naszej kwatery. Oparliśmy strzelby o poręczę, tuż pod wielkim malowidłem tokującego głuszca na ścianie naszego domku.

Pijąc herbatę Franek podniósł głowę. Spojrzał na tokującego trubadura i oświadczył:

– Pojedziemy do jego rewiru. Tam w ubiegłym roku spotkałem tego ptaka. Tamten las jest bardzo interesujący i zasobny w zwierzynę. Warto go obejrzeć, choć to dość daleko, bo leży na granicy obwodu. Właściwie to sąsiadujemy z Kołem Piast z Kruszwicy, które może nam zawdzięczać to, że mają gdzie polować. Kiedy na ich obwodzie w Roźniatach po wojnie utworzono rezerwat i wybudowano woliery do hodowli bażantów, myśmy właśnie tam kawał swojego terenu oddali kolegom znad Gopła. Mam tam też w pobliżu porachunki z ciekawym bykiem, który już nie pierwszy raz uszedł mej strzelbie. Chętnie bym się dzisiaj z nim spotkał!

Mimo zimnego wieczoru wcześniej wypity kieliszek ogrzewał mnie dobrze i zachęcał do działania. Do plecaka zapakowałem aparat fotograficzny i resztki z obiadu.

Dość późno dotarliśmy do odległej ambony w oddziale dziewiętnastym, graniczącym z obwodem Piast. Tutaj nad wysokim lasem przelatowały klucze gęsi, które swym metalicznym gęganiem robiły wiele hałasu. Franek, korzystając z gęsiego zamieszania, szybko wdrapał się na ambonę. Mnie zatem wypadało pójść dalej na jedynekę, pod sam sąsiedni obwód.

Szkoda, że nie byłem tam wcześniej, ale i tak dwa ostatnie wznoszące się z pola ptaki trafiłem obiektywem aparatu.

Cały mój ekwipunek, poza kamerą, pozostawiłem na ziemi, a sam z trudem wdrapałem się na grzędę. Było tu cicho i spokojnie. Wydawało się, że od wielu lat nikt tu nie zaglądał. W drabinie brakowało szczebli, siedzenie było zmurszałe i groziło zarwaniem. Za to, jaki wspaniały widok! U podnóża ciągnęła się niewielka skarpa, a za nią maliniak i sosnowa drągowina, dalej już młodniki, niczym gęsta kosodrzewina. Obok przebiegało wiele ścieżek zwierzyny wychodzącej na pola. Jedna z nich szczególnie mnie zainteresowała. Była jakby wydeptana przez warchlaki z lochą

Miałem zatem szansę na dziki! Gdyby Franek o tym wiedział, na pewno by mnie tu nie puścił!

Zdradliwa, listopadowa mgła zaczęła oplatać swą pajęczyną młodniki i coraz gęściej zalegać w maliniakach. Noc zapadła szybko. Niebo było bez najmniejszej chmurki, drzewa teraz przypominały potworne kształty i wydawały się być w ciągłym ruchu.

Pierwszy raz w życiu siedziałem na tak niebezpiecznej ambonie, przy tym intuicyjnie przeczuwałem spotkanie z wychodzącymi na pola dzikami, najprawdopodobniej z warchlakami i lochą. Myśli te nie dawały mi spokoju, bo ścieżka pode mną była świeżo wydeptana, a z tej grzędy, której się kurczowo trzymałem, aby nie spaść, o celnym strzale nie było mowy.



Nim księżyc wyszedł z za lasu przez ponad godzinę przeżywałem istną orgię hałasów w maliniaku. Oczu omal nie wypatrzyłem w nim i na znajomej ścieżce. Niestety, nic nie odkryłem.

Łamane gałęzie, ciche warknięcia, tarmoszenie się i znów warknięcia. Co to może być, jaką do licha zagadkę ten maliniak mi szykuje? Mijała znów następna godzina, już bolały mnie wszystkie kości.

Nie słuchałem porykiwań jeleni, nawet nie reagowałem na daleki strzał, chyba Franka, który miał przecież tu porachunki z selektem.

Księżyc świecił jasno, było widno jak w dzień. Dochodziła druga w nocy, kiedy moim oczom ukazuje się mały, pasiasty niedźwiadek. Ponownie nastawiam ostrość lornetki i oczom nie wierze! To borsuk, a za nim dwa maluchy chwytają się, biją na niby i zabawnie wspólnie toczą po ścieżce jak kłębek wełny.

Ale dałem się nabrać! Musiałem z zachwytu się poruszyć, bo maluchy znikły mi z oczu. Matka jednak pozostała i węszyła. Rozglądała się na boki i z cichym warknięciem ruszyła pod moją ambonę. Byłem zaskoczony, kiedy skradała się coraz wyraźniej do mojego plecaka. Teraz dopiero przypomniałem sobie o resztkach z obiadu, które miałem wysypać na początku lasu.

Borsukowa była wielka. Mogłem ją obejrzeć z bliska. Na pewno ważyła kilkadziesiąt kilogramów. Miała grubą szyję i czarno-białą pręgę biegnącą przez łeb.

Jedną łapą wyrwała worek z żarciem z mego plecaka, rozerwała go, chwyciła resztę w łapy i tyłem zaczęła się cofać. Stuknąłem głośno w żerdź. Borsuk natychmiast stanął w miejscu. Wydawało mi się, że mnie dostrzegł. Oświetliłem go latarką. Nie reagował. Jeszcze stał przez chwilę i spokojnie cofając się zginął, ku memu wielkiemu zdumieniu, w maliniaku.

W trakcie spotkania ani przez chwilę nie przyszło mi do głowy, aby mieć jego nieprzemakalną skórę, czy bobrową sierść na

pędzel do kapelusza. Przecież to bardzo pożyteczny zwierzak, niszczy wiele myszy i szkodników leśnych, przy tym jest bardzo odważny. Przekonałem się o tym tej nocy.

Wprawdzie nabrał mnie sromotnie, jednak nie żałowałem tego czasu, ani spotkania z nim i jego zabawnymi urwisami.

### **Pudło w stu procentach, - 13 listopada 1984 r.**

**P**o północy obudził mnie Hubert.

– Wstawaj! Za oknem błąda poświata księżycy – mówił po cichu. – Ubieraj się! Jest lepiej niż było przed pełnią. Ja ze Zdzichem wybieramy się do oddziału 98, ty pojedziesz z Frankiem. Cze-ka na ciebie w starej leśniczówce.

– Ale przebiegli – pomyślałem – jadą w sam środek puszczy, do jej samego matecznika. Tam przecież nie ma ambon, ale za to jest spokój, mieszkają odyńce, które nad ranem będą wracać z kukurydzianych pol.

Wygwieżdżone niebo świeciło tysiącami migających gwiazd. W starej leśniczówce świeciło też w oknie maleńkie światełko.

Franek, jak wzorowy żołnierz, już na mnie czekał.

– Pojedziemy trochę bliżej – powiedział – by być w kontakcie z kolegami. Tam są wielkie dziki. Będziemy pilnować mokradel nad jeziorem Starym w oddziale 102. Mimo, że dzisiaj jest trzynastego mam nadzieję, że coś spotkamy. Muszę jednak tobie wyznać, że jestem trochę przesądny. Każdego trzynastego wykonuje tylko niezbędne czynności i te najczęściej mi się nie udają. Ale nie przejmuj się tym, co mówię!

Wyszliśmy obaj na podwórko. Głośno skrzypnęły drzwi leśniczówki. Ze swej budy jak opętana wyskoczyła Baja, pies leśniczego, rozszczękała się okropnie. W kancelarii zapalono światło, otwarto okno i dało się słyszeć brzydkie przekleństwo.

Nastała cisza. Jasna poświata księżycy towarzyszyła nam prawie do samych mokradeł. Według słów Franka mieszkało w nich wiele watach dzików i w tych topieliskach czuły się nadzwyczaj bezpiecznie.

Rzeczywiście na skraju lasu było miejsce na zasiadkę wymarzone i tu postanowił zostać mój kolega. Mnie wypadało pójść dalej. Po ciemku stale potykałem się o młode sosenki, które teraz tworzyły przede mną przeszkody nie do pokonania, stąd hałas i mój niepokój o spotkanie z czujnym dzikiem.

Po godzinie drugiej siedziałem już wygodnie na ambonie. Było jeszcze zupełnie ciemno, ale bagno żyło swoim rytmem. Ciągłe jakieś dziwne buczenie, potem kwakanie i zawsze plusk wody towarzyszył tym hałasom. Ten głośny rejwach trwał aż do samego świtu, a kiedy starałem się wypatrzeć, co tam się dzieje, chłodnym powietrzem targnął huk z Franka czatowni. Przewalił się jak ciężki walec po wysokim lesie, nawet zachwiał koronami najbliższych sosen, bo spłoszył puszczyka, który usiadł przede mną i przestraszony szybko odleciał.

Kiedy pierwsze promienie słońca oświetliły horyzont nad bagna nadleciało stado czarnych kruków i krążąc darło się okropnie. To już koniec polowania! Przy takim hałasie tego lasu już nic i nikt nie odwiedzi. Tyle tych złowieszczych ptaków nie widziałem przedtem nigdzie. Chwilami nad mokradłem robiło się czarno od ich skrzydeł.

Co za dziwne fatum panuje na dzisiejszym polowaniu? Najpierw szczekanie psa przy leśniczówce, teraz tyle kraczących kruków? Czyżby Frankowa trzynastka miała się sprawdzać?

Postanowiłem wrócić do przyjaciela. Już z daleka sygnalizował mi, że strzelał do wielkiego odyńca. Kiedy się spotkaliśmy oświadczył, że znalazł parę czerwonych perełek farby, ale dzika niestety nie było.

Wrócił też Hubert ze Zdzichem. Z dużą znajomością odczytali miejsce zestrzału, połamane gałązki, przygniecioną trawę i znaleźli pień brzoźki, w którym utkwiała kula Franka.

– Pudło w stu procentach – oświadczył Hubert.

Teraz już byłem pewien, że Franek zwali winę na pechową trzynastkę. Szkoda mi było przyjaciela. Zdenerwował się okropnie i w końcu zgodził na powrót do leśniczówki. Zupełnie załamany w drodze obiecał sobie, że porządnie przestrzela swój sztucer.

Kiedy kończyliśmy śniadanie, naszym domkiem targał potworny huk. To Franek strzelał do dużej tektury, z zawieszonym w środku kawałkiem czarnej papy.

– Koledzy, idźmy mu pomóc – wstając od stołu, zaproponował Hubert. – Franek jest tym pudłem załamany. Chyba każdy z nas myślałby podobnie.

Na tarczy wszystkie wystrzelone kule układały się w czarnym kwadracie papy. Hubert nie czekając na pozwolenie Franka wziął jego sztucer i powtórzył ten sam wynik, a oddając mu strzelbę powiedział: – Idź chłopie się przespać: Jutro na pewno trafisz tego dzika!

Franek nie wierzył tym wynikom. Ukrył się w stodole obok leśniczówki, położył na snopie słomy i dalej strzelał. Kule trafiały w sam środek tarczy zawieszanej teraz na kole siewnika. Odbijając się od niego niosły świszczący dźwięk, jakby pękających strun.

Długo nie trzeba było czekać. Zdenerwowany tym hukiem leśniczy zdrowo nabluzgał trefnemu strzelcowi. Ten jednak wcale się tym zbytnio nie przejął, bo wiedział, że trzynastka dotąd zawsze przynosił mu pecha.

Następnej nocy jednak Franek strzelił swego selekta, za którym już od dwóch lat chodził bez powodzenia. Więc coś z tymi przesadami u niego było naprawdę i się sprawdzały.

## Na Eszówce, - 14 listopada 1984 r.

**M**róz od kilku dni nie spadał, co najwyżej trochę zelżał za dnia, by pod wieczór ponownie szczypać w policzki i nos.

Nasza kompania do kolacji siadła w pełnym składzie i doskonałym nastroju. Strączkowski przywiózł rano swego byka, pozostali spotkali świeże barłogi i byli pełni nadziei na sukces dzisiejszej nocy.

Postanowiliśmy tego wieczoru nie brać do ust nawet kieliszka, bo Franek poprzedniej nocy wziął ich chyba zbyt wiele, a efektem tego było pudło do dużego odyńca.

Ta noc zapowiadała się piękna, rozgwieżdżona blaskiem księżyca, tajemnicza i radosna.

Byliśmy na granicy obwodu. Piaszczysta droga skręcała na północ, na legendą już okryty rewir zwany Eszówką. Tutaj jak w soczewce skupiały się wszystkie łowne zwierzęta puszczy. Był to teren wyjątkowo przychylny zwierzynie ze względu na dużą liczbę gęstych młodników, przy których znajdowały się ziemniaczyska i kukurydziane pola. W głębi stało parę zagubionych chałup pamiętających jeszcze ubiegły wiek. Niczym zwierzynie nie przeszkadzały, była do nich już przyzwyczajona Nie było też myśliwego, który tu nie zdobył kapitalnych jelenich wieńców, medalowych parostków rogaczy i szabli dzików, wielkich jak kosy. Domyślałem się, że nazwę nadano temu rewirowi na cześć zasłużonego nestora koła Edmunda Eszego.

Nagle nasza skoda się zatrzymała. Obok na ozimie w poświęcie księżyca żerował byk o grubej szyi, z długą czarną grzywą. Był tu symbol tych borów. Nie był młodzieńcem. W lornetkach oglądaliśmy jego okazały wieniec. Liczyliśmy odnogi. Miał ich siedem lub osiem, na pewno był mocnym czternastakiem. W świetle księżyca pozował jakby do posągu na okazały cokół. Był

jednak czujny. Niespodziewanie ruszył i wpadł w ścianę lasu, głośno łamiąc za sobą gałęzie.

Jechaliśmy dalej. Znów gwałtowne hamowanie rzuciło mnie na przednie oparcia siedzeń. Teraz jednak o wiele boleśniej odczułem to uderzenie. Przed maską samochodu przebiegała wataha dzików i zginęła w oszronionej szczotce młodnika. Przelatki z postawionymi ku górze hybami wcale się nie bały, nie biegły szybko. Prowadziła ich wydeptana ścieżka na przyległe pole.

Nasze napięcie wzrosło do zenitu, a w światłach reflektorów pozostały tylko iskrzące się mrozem trawy i ogromna nadzieja na spotkanie z dzikiem.

Ciche sosny zakwitły tej nocy lodowymi perełkami i przyozdobiły się srebrzystym szronem. Rzuciły długie cienie i czarne pręgi na żółty piasek. Dalej las w tym rewirze był kilkuletni i rósł naprzeciw świeżo co pobuchtowanego przez dziki pola.

Z ogromnym trudem odnalazłem w nim przez Gronikowskiego wskazaną grzędę, z ławeczką i daszkiem nad głową, jednak ciasną i niewygodną. Nawet nóg nie można było wyprostować.

Dopiero po godzinie, kiedy byłem zmarznięty do szpiku kości, ukazał się mym oczom lis, który sznurował na wprost mej czatowni.

Nie jest dobrze – myślałem. Wcześniej wypłoszyliśmy watahę dzików, które szykowały się do wyjścia na kukurydziane pole. Teraz przede mną lis, a za nim sarny wyszły i spokojnie żerowały. Tu chyba tej nocy już nic ciekawszego nie spotkam.

Znów minęło sporo czasu, a przede mną dalej nic się nie zmieniało poza tym, że księżyc powoli przygasał i robiło się ciemniej.

Zamięń natychmiast to miejsce – myśl taka męczyła mnie coraz bardziej i coraz częściej. Może ty chłopie miałeś kiedyś więcej szczęścia, a teraz jesteś zagubiony jak ten palec w nocy, w tym nieznanym dzikim terenie. Weź się w garść i sam poszukaj sobie tego odyńca – coś mi stale doradzało.

W końcu postanowiłem zejść na ziemię. Z jaką ulgą opuściłem ostatni stopień drabiny! Od razu zrobiło mi się ciepiej i wreszcie mogłem rozprostować nogi. Zdecydowanie chwyciłem podpórkę i pełen nowej energii po cichu wycofałem się na piaszczystą drogę.

Zbliżała się godzina druga, szedłem w głębokich koleinach piasku. Mimo zagubienia nagle stałem się pełen wiary w spotkanie z nocnym zwierzem.

Za zakrętem drogi usłyszałem dalekie ujadanie psów powtarzane dość regularnie. Zapamiętałem ten rokujący nadzieję nocny sygnał z dawnych lat. Był on moją przepustką na spotkanie z czarnym zwierzem, jeżeli tylko będę umiał ją wykorzystać.

Odważnie zszedłem z utartego przez samochód szlaku i skierowałem na miedzę biegnącą w kierunku psich głosów. Minąłem uprawę, dalej klin niewielkiego lasu. Przede mną błysnęło blade światelko w oknie domu. W lornetce odkryłem też parę innych spadzistych dachów pokrytych blachą, odbijającej o tej porze nocy zimny blask księżyca. Przed nimi roztaczało się rżysko, a na nim kopy zboża.

Uwiązany na łańcuchu wiejski Burek szarpał się i głośno oszcze kiwał, choć jeszcze nie byłem pewien przyczyny jego zachowania. Ostrożnie przybliżyłem się do zagrody i rżyska. Nos już mnie bolał od ciągłego opierania lornetki i dalej nic ciekawego nie umiałem odkryć. Postanowiłem, że względu na szczekanie psa, pole to obejrzeć szczegółowo, snopek po snopku. Część kop stała, a od strony lasu widać było powywracane rzędy. Jedynie wśród nich mogłem się teraz spodziewać dzika i w końcu go znalazłem. Jeszcze św. Hubert mi dopomógł i usunął chmurkę z tak już bladego księżyca i wówczas nogi ugięły się mocno pode mną. Wśród kop stał równy im wielkością ogromny pojedynek Naraz zwątpiłem w tych ciemnościach. Może to krowa gospodarza? Przetarłem szkła - nie dzik, czarny jak smoła, wielki jak żubr, chyba ponad sto pięćdzie-

siąt kilogramów wagi, sześćdziesiąt kroków ode mnie. Ręce mi się zatrzęsły, obraz w lornetce drgał jak galareta.

Nagle zdałem sobie sprawę, że łowczy nie wybaczyłby mi, gdybym do tego wielkiego dzika strzelał. Uspokoilem się trochę. Chciałeś dzika to go masz! Jednak przerósł on twoje oczekiwania – podpowiadało mi sumienie.

Nie mogłem od niego oczu oderwać. Przed sobą miałem tak wymarzonego, nocnego zwierza.

Jak rozerwana granatem gwałtownie rozleciała się przed nim kopa i snopki rozsypały się na boki. Olbrzym jak burza wpadł do jej środka i dokonał resztę dewastacji tej misternie przez rolnika ustawionej budowli, głośno mlaskając. Widocznie chwycił tam polne myszki, które mieszkały pod słomą.

Jak w śnie odkryłem teraz drugiego dzika - chuligana, który pomagał swojemu starszemu opiekunowi w rozwalaniu snopów. Wyraźnie robił to w znowie, bo następną kopę zaczynał przewracać wtedy, kiedy tamten pożarł już wszystkie myszy w poprzedniej i stanął przed nową, przyglądając się pracy swego sługi. Jego pomocnik był o wiele mniejszym dzikiem, równie miał czarne, gęste kożuch i był stale w ruchu. Gospodarz tego pola miał szczęście, że tu trafiłem, bo do rana rżysko to zamienione by było w pobojuwisko i czekałaby go dodatkowa praca przy porządkowaniu zboża.

Szybko ustawiłem podpórkę. Mimo, że spektakl dzików mnie rozgrzał, nie mogłem trafić palcem na spust kniejówki. Wreszcie czarny krzyż, kożuch, kark i huk. Nie odkładałem od oka lunety. Dzik w niej rwał do najbliższego lasu i tylko w tej ciszy łamiące gałęzie upewniły mnie o jego ucieczce.

Pies już przestał czekać. Naraz w kilku oknach chaty zapalono światła, a księżyc się skrył zupełnie. Na polu zastała mnie ciemna noc. Podeszedłem do rżyska. Po kolei dochodziłem do leżących snopków zboża, ruszałem je butem, aż w końcu dotarłem do



lasu. Jego wnętrze było ciemne i gęste, nie dawało żadnej szansy na odnalezienie dzika, jeżeli tylko moja kula go dosięgła.

A jak nie trafiłem dzika, gorzko będę się przed łowczym tłumaczył! Teraz liczyły się tylko fakty. Dzika na rżysku nie było, łamane w lesie gałęzie świadczyły o jego ucieczce, a co z drugim? Same niewiadome. Może leży ranny? Farby w świetle kiepskiej latarki nie mogę znaleźć, sam w ten las nie wejść i masz ci tu babo kłopot!

Załamany powróciłem do piaskowej drogi, zdając sobie sprawę z ogromnego zadania, jakie mnie tego ranka czekało. Reakcje łowczego już znałem na pamięć. Zawsze grzeczny i układowy, teraz powie: przecież jest ludzką rzeczą w nocy nie trafić dzika, a Franek nazwie sprawę po imieniu i będę u niego pudlarzem.

Szare, jednolite niebo stało już nade mną, kiedy wrócił łowczy. Widząc mnie ze zwieszoną głową, spytał: – Co, pudło?

Cały bieg zdarzeń opowiedziałem w detalach. Pocieszył mnie, abym się nie martwił.

– Coś zaradzimy. Wydaje mi się, że on leży. Weź moją silną latarkę i w ten las wejdziemy razem.

Pod rżysko podjechaliśmy samochodem. Łowczy zdjął ze swego sztucera lunetę, ja wziąłem latarkę i tak poszliśmy szukać dzika.

– To ty porozwalałeś te snopy? – spytał mnie łowczy. – Przecież chłop nas więcej na pole nie wpuści!

Znów od nowa się tłumaczyłem i usprawiedliwiałem. Teraz dopiero zobaczyłem ten ogrom chuligańskich wybryków odyńca. Oprócz bałaganu widniały tu głębokie rowy, wyorane w poszukiwaniu myszy przez oba dziki.

Nie było nawet śladu farby i śladu na to, że dzik tu został. Jediną nadzieją był pobliski las.

Kiedy opuszczaliśmy rżysko łowczy zauważył, że jedna z kop zboża wydała się mu nietypowa. Była zbyt spłaszczona. Podszedł

do niej, zdjął z wierzchu snopek zboża i krzyknął do mnie: – Chodź, tu jest ten twój żubr!

Biegłem jak opętany! Z serca spadł mi kamień. Wśród rozłożonych żółtych snopów, w samym środku rozwalonej kopy połyskiwał szczecina czarny kozuch dzika.

– Waży ze stówę jak nic – stwierdził łowczy.

Chwycił za tylny bieg, odwrócił zwierzę. Moja kula tkwiła w dolnej części karku. Uszedł zaledwie z dziesięć kroków. Wpadając w kopę nakrył się snopkami zboża i zamaskował. Teraz stałem nad nim i powracałem myślami do nocnych przeżyć. Łowczy odnalazł odcisnięte na piachu rapcie jego współtowarzysza. Jego trop ledwie można było nakryć dłonią.

– Ma dobrze ponad sto pięćdziesiąt kilogramów – klepiąc mnie po ramieniu powiedział łowczy. – Gratuluję!

Na wadze w skupie mojemu dzikowi zawieszono metrykę z wagą 83 kilogramy.

Łowczy tej nocy przegapił dużego odyńca. Do domku myśliwskiego wróciliśmy już późno. Moi towarzysze, zachęceni tym sukcesem, pojechali jeszcze na oziminy, gdzie wychodziły jelenie. Mieli szczęście, spotkali całą chmarę. Edek strzelił cherlawą łanią, a łowczy wałęsającego się lisa. Niestety, łanie musiano odszukać przy pomocy psa.

W tym polowaniu już nie brałem udziału. Byłem potwornie zmęczony i wołałem na dłużej pozostawić wrażenia z dzisiejszej nocy. Po wypiciu gorącej herbaty z rumem zdążyłem jeszcze sporządzić notatkę z nocnych przeżyć, a te, których nie zapisałem, powróciły na jawie w czasie snu.

\*

Do dziś jeszcze pamiętam kolację przygotowaną przez panią Basię - żonę łowczego. Nasza kompania była wesoła. Siedzieliśmy przy stole w domku myśliwskim Diany po powrocie z wieczornej

zasiadki. Zanim zaczęły się opowiadania, raczyliśmy się pysznymi daniami. Była pachnąca cebulką wątróbka, kawa, a nawet smażona ryba, przyrządzona na sposób regionalny.

Zaczęły się żarty, opowiadania, o dopiero doznanych przygodach.

Napięcie wzrastało coraz bardziej. Kiedy zaś Hubert wyciągnął ze swej myśliwskiej torby flaszkę, a obok stanęła druga i trzecia, gwałtownie wzrosła wielkość widzianych w borze odyńców, a byki miały medalowe wieńce.

Była już późna noc, znad puszczy leciały coraz niższe, śniegiem napchane chmury. Czułem się wówczas młodym sztubakiem, któremu skończyły się wakacje u dziadka i musiał wracać do domu.

Zbieraliśmy się do wyjazdu, emocje myśliwskie ustępowały. Z żalem żegnaliśmy srebrną szadzią zabarwiony piaskowy krajobraz Bydgoskich Borów, zapach przywędłych wrzosów i grzybni.

Dwa rosochate jelenie wieńce na dachu naszego auta wzbudzały zazdrość i podziw, a nam przypominały przygody przeżyte w puszczy w ciągu pięciu nie przespanych nocy.

## 23. Wiosna na Skrzyńce

U płynął kolejny rok oczekiwania na spełnienie marzeń o bezkrwawym polowaniu na czaplę siwą. Poprzednie lata były stracone. Brak słońca, deszcze i chybione terminy skutecznie uniemożliwiały wykonanie poprawnych fotografii w tutejszym rezerwacie czapli. A przecież zbliżał się następny doroczny międzynarodowy konkurs fotograficzny Łowca Polskiego, w którym wówczas namiętnie startowałem. Staralem się ambitnie podnosić poprzeczkę, aby dorównać, choć po części mistrzom fotografii przyrodniczo-łowieckiej.

Nadleśnictwo Miradz, ostrowskie lasy nieopodal Strzelna i znajomość z leśniczym Jerzym Hajkiem dawały nadzieję na spełnienie niektórych z tych marzeń.

Piękne tutejsze bory były uczcą dla wielu ludzi kochających przyrodę, ciszę i czystą wodę. Okazy starych dębów, sosen i brekini miały gęste poszycie, które zapewniało bezpieczeństwo wielu zwierzętom, w tym jeleniom, sarnom i dzikom, a nawet łosiom. Było to szansą na zdobycie wartościowych fotograficznych trofeów.

Wielkie jezioro Ostrowskie, wkomponowane w panoramę sosnowych lasów, a miejscami dzikich oczeretów, było wylęgarnią ptactwa wodnego. Szereg krystalicznie czystych jeziorzek zarastała rzadka roślinność. Stanowiła ona ostoję żurawi, czapli, jastrzębi, gęsi i niezliczonej ilości kaczek oraz nurów. Czasami pokazywał się też wielki orzeł-łamignat.

Bujna przyroda jest pozostałością dawnych nadnoteckich prabórów. Opowiadał mi leśniczy Jurek z Przedborza, że te wielkie lasy pamiętają jeszcze polowania Władysława Łokietka i Władysława Jagiełły, którzy dość często gościli w Strzelnie.

Z jego leśniczówki jest tylko krok do wielkiego lasu i nad

niewielkie jeziorko nazwane Skrzynka. W ubiegłym sezonie bezskutecznie tu polowałem z teleobiektywem na czaple, ukryty w trzcinowym domku. W tym roku, zasobniejszy w doświadczenia i rady leśnika oraz przygotowany wcześniej schron, jak nigdy uwierzyłem w sukces.

Do leśniczówki Przedbórz prowadziła szutrowa droga, dawno zapomniana, polna, wyboista i mizerna. Kiedy skończyły się pola uprawne, na samym skraju sosnowego młodnika wyrastała stara, dziewiętnastowieczna chata ze stodołą. Ogrodzona drewnianym płotem ukrywała istny ogród polskiej fauny. Po podwórku chodziły dzikie gęsi, kaczki, dwa wielkie odyńce. Sójka i turkawka siedały na przemian leśniczemu na ramieniu. Ze szczytu stodoły, z wielkiego gniazda przyglądało się temu zwierzyńcowi z pięć boćków. Byłoby to wszystko zrozumiałe, gdyby nie to, że od strony lasu i mokradeł płotu nie było i zwierzęta te miały zupełnie wolny wybór. Mogły więc wybrać, czy lepiej bez wysiłku korzystać z karmnika w leśniczówce, czy też z niemalym trudem zdobywać pożywienie w lesie, lub na bagnach. Dlatego zwierzyzna się tu często zmieniała. Kaczki lądowały wprost przy pełnym korycie, co denerwowało dziki, a te przeszkadzały znów gęsiom i łabędziom. Głośny rejwach słychać był na okrągło.

Jurek przyjął mnie w „sowim pokoju”, również o wystroju puszczańskim, podobnie jak całe otoczenie. Siedliśmy na fotelach z łopat łosia, przy podobnym stole. Wielki pień dębu stał w narożniku izby. Pełen był skrytek i dziupli, z których wyglądały sowy, a czarny dzięcioł stukał w korę. Wnętrze jego kryło rogowe czary i kieliszki oprawione srebrem oraz róg tura pełen pitnego miodu.

Ściany izby zdobiła plejada znakomitych ptaków – był orzeł, sowy, jastrzębie, na półkach stał żuraw, lis i zając palący fajkę. Żyrandol pod sufitem to istne cacko – płatanina rogów o wymyślnych kształtach.

W tej scenerii Jurek czuł się po prostu sobą. Miał sześćdziesiąt pięć lat i już nie polował. Był znanym na Pomorzu preparatorem zwierzyny. Napisał na ten temat spory podręcznik oparty na własnych doświadczeniach. Jego wszystkie prace cechowały trafne kształty i dobór środowiska, w którym je umiejscawiał. Były cennie przez muzea przyrodnicze i kolekcjonerów.



Leśniczy jednak stanowią przed wszystkim kopalnię wiedzy przyrodniczo-łowieckiej. Pod jego bacznym okiem udało mi się wykonać sporo wartościowych zdjęć zwierzyny i ptaków w ich naturalnym środowisku.

Nadchodził koniec maja. Brak wiatru, wyjątkowe ciepło i gorące promienie słońca zamieniły niewielkie jezioro Skrzynka w ukwiecony nenufarami ogród wodnej roślinności, rozśpiewany rechotem żab, piskiem kurek wodnych, szczerkaniem łysek, donośnym „gerr, krroaorr” perkoza i okrzykiem czapli.

Woda ta była pierwszym karmnikiem dla całej kolonii i czapli siwej, która mieściła się tuż za nim, w dwustuletnim sosnowym borze.

Obfitowała w karasie i karpie. Dziesiątki różnobarwnych żab przyciągały ptasie drapieżniki, które liczyły na smaczny kąsek.

Jeziorko, położone przy asfaltowej drodze, na obrzeżach wielkiego lasu, pomiędzy Ostrowem i Gębicami, stało się magnesem do zatrzymywania się tu samochodów. Ludzie podziwiają ten wyjątkowy ptasi świat.

Moja czatownia była ukryta w kępie trzcin, naprzeciw zatopionych starych konarów sosny. Na nich to często siadywała cała plejada czapli polujących na ryby. Ukryty, od wczesnego ranka rejestrowałem co ciekawsze zdarzenia przez teleobiektyw. Tu nie można było się nudzić, zawsze coś ciekawego się działo.

Tego dnia o świcie jeziorko tonęło w delikatnej mgiełce. Było zupełnie spokojnie i tylko czasem plusk wody sygnalizował żerowanie ryb. Za to z przyległego czaplińca dochodziły niekończące się hałasy i kłótnie.

Przedemną w teleobiektywie ukazało się sześć czarnych kuleczek o odcieniu zielonkawym i niebieskim. Wypłynęły z trzcin i kierowały się na otwartą wodę. Naraz tuż obok rozległo się pokwikiwanie warchlaka. Czyżby tu obok mieszkały dziki? Znowu burczenie, chrząkanie. Byłem zdezorientowany. Co to za zwierzyzna się tak zachowuje? Zauważyłem jednak, że czarne kuleczki reagowały na te głosy i z powrotem ukryły się w szuwarach.

Kiedy się zupełnie rozjaśniło i pierwsze promienie słońca dosięgły powierzchni wody, obok pokazała się szybko biegnąca mała kureczka. Co chwilę zanurzała w błocie swój długi dziób i wyciągała jakiegoś owada. Nagle pokwikiwaniem przywołała do siebie swoje pisklęta i burcząc ukryła je w trzcinach.

O fotografowaniu nie mogło być mowy, bo ptak był tak ruchliwy, że tylko przez moment mogłem podziwiać jego niebiesko-brązowe barwy. O tym zdarzeniu i głosie ptaka opowiedziałem leśniczemu, który bez wahania rozpoznał wodnika, skrytego, jak mówił, mieszkańca bagien, który nie daje się wypłoszyć

i tylko cierpliwe czekanie przynosi sukces w jego obserwacji.

Po chwili na mej czatowni usiadł mały, szary ptaszek podobny do wróbla, tylko o długim, ostrym dziobie. Byłem przekonany, że wiedział o mojej obecności. Śpiewem zwracał na siebie uwagę, przy tym trzymał się gałązek w różnej, komicznej pozycji. Wydawało mi się, że się zupełnie nie bał. Chyba bronił tylko swego terytorium i chciał mnie ze schronu wykurzyć.

Naprzeciw, na wystającej z wody gałęzi, usiadła czapla. Schowała jedną nogę, opuściła dziób nad samą wodę i zamarła w bezruchu. Długo czekałem aż zmieni tą nieciekawą pozycję. Nagle chwyciła ukleję. Przycisnąłem migawkę aparatu - z hałasem odleciała.

Usiadł też tam gołąb grzywacz, ale jego bystry wzrok odkrył mnie szybko i razem z szumem migawki zerwał się do lotu.

Później długo nic się nie działo. Obok w szuwarach krzątała się para krzyżówek budująca swoje gniazdo. Czarna kureczka z czerwonym dziobem niczym amfibia wypływała z wody, przeganiała wrony przy jej gnieździe, a spłoszona uciekała. Trzepocząc odbijała się od wody.

Naraz zatrzęsło moim schronem. Jakieś wielkie ptaszysko z hałasem siadło na moim dachu, aż się przestraszyłem. Rozpoznało zagrożenie, znów zatrzęsło czatownią, porzuciło swoją zdobycz i odleciało. Obok mnie przez dziurawy dach do wnętrza wpadł zgniły zaskroniec.

Po chwili zrobił się taki fetor, że musiałem opuścić jeziorko.



## 24. Z sercem pod gardłem

**S**łońce zaszło chmurami. Nie wiadomo skąd nadciągnęły i pędzone wichrem mknęły nisko nad lasem. Szliśmy wąską drogą obsadzoną drzewami, pełną niespodzianek. Była jedyną ścieżką wśród wykrotów, pniaków, rowów gęsto porośniętych młodnikami, gdzie krzyżowały się liczne przesmyki i wyjścia na pobliskie kukurydziane rżyska.

Ukrywało się tam mnóstwo saren. Były mateczniki dzicze, a nawet i zające się trafiały. Tego leśnego inwentarza, tej żywej spiżarni pilnowała też cała zgraja lisów, bo nie polowano tu od dawna. Nie było słyhać trąbki, ani naganki czy ujadania psów - porozumiewaliśmy się tylko gestami rąk.

Tak rozpoczęło się polowanie na dziki 6 grudnia nad rzeką Bystrzycą w obwodzie wrocławskiego Koła „Jarząbek”.

Wydawało się, że spotkanie to było stracone. Wprawdzie odnajdywano coraz świeższe ślady dzików, zbuchtowany las, powyracane pnie, jeszcze ciepłe barłogi, ale zwierz był czujny i niepostrzeżenie uchodził. Nie było jednak żadnej wątpliwości, że była to robota dzików, które tej nocy harcowały w tym obwodzie. Spotkanie z nimi wydawało się przy tej pogodzie raczej przypadkowe. Na dodatek zaczął siąpić dokuczliwy deszczyk, a wąskie kładki na rwących potokach stały się śliskie, niebezpieczne dla forsowania ich przez naganiaczy.

Wyczuwając, że polowanie to niebawem się zakończy, coraz częściej spoglądaliśmy w niebo, a raczej na targane nad nami wichrem pojedyncze gęsi, które w nieładzie głośnym gęganiem próbowały się odszukać, powracając ze ściernisk na Zalew Mietkowski.

Przy samochodach Tadek zaproponował polowanie na zapadające tego dnia gęsi na „pniakach”. Z jaką ulgą przyjęliśmy ten pomysł! A więc nie wracamy do domów, nie pakujemy strzelb i to dzięki tym gęsiom, prawie pijanym od wirującego wiatru. Może tak samo będzie nad wodą, mimo tej brzydkiej aury? Byliśmy szczęśliwi!

Powoli nadchodził dość zimny, wilgotny wieczór, okazja na gęsie zapady wymarzona. Szybko wskoczyliśmy do samochodów i po grząskich muldach i wybojach za Tadeusza wszędołazem wjechaliśmy na koronę Zalewu Mietkowskiego. Roztaczał się stąd widok porażający nasz wzrok, przywykły do oglądania o tej porze złocistych, jesiennych pejzaży i piękna delikatnej przyrody. Jedna czwarta niegdyś tak wielkiego Zalewu dziś nie istniała. Z wysokiego nasypu roztaczał się przed nami widok na dziesiątki małych oczek wodnych rozsianych wśród smolistej mazi. Wszędzie sterczały równie czarne pnie ściętego przed laty lasu, który zatopiono. Lustro wody, ledwo widoczne, jaśniało daleko od nas, we mgle. Chyba trzeba być stukniętym, aby w to błoto się pchać – mówiłem do siebie.

Koledzy jednak twardo zapięli pasy z amunicją. Bessi i Aramis, dwa wielkie wyżły Tadeusza, już chyżo zbiegły ze skarpy i wpakowały się w to bagno.

Po wciągnięciu woderów jak gdyby nigdy nic odważnie zszedłem z Jankiem i Tadeuszem, kierując się na przetartą ścieżkę przez oba psy. Nie rozmawialiśmy ze sobą, bo weszliśmy w jakieś cuchnące metanem błoto na dnie opróżnionego z wody zbiornika.

Z zaciekawieniem zauważyłem, że te nasze oba wyżły nie biegają byle gdzie, a wybierają najtwardsze groble i zrećźnie omijają wilcze doły. Teraz idąc za nimi i moje buty zanurzają się mniej w błocie. Podobało mi się to i nawet pogodziłem się już z losem.

Pod wieczór dotarliśmy do jedynej tu piaszczystej grobli nad samym brzegiem Zalewu. Za nami pozostał błotnisty labirynt czar-

nych pniaków, oczek wodnych, na które tego wieczora miały zapadać gęsi.



Aura ulitowała się trochę nad nami. Przestało padać i tylko wicher nie ustawał. Zmrok wolno ustępował miejsca głębokiemu wieczorowi. Zaiskrzyły światła w dalekich chatkach na obrzeżach Zalewu. Poza szumem wichru i rytmicznym uderzaniem fal o brzeg panowała zupełna cisza.

Pierwsze klucze gęsi bezszelestnie okrążyły nasze stanowiska i wylądowały na oddalonych oczkach wody. Później już tabun za tabunem nadlatywał, lądował i startował ponownie, jakby przeczuwając niebezpieczeństwo.

Huk naszych wystrzałów podrywał pozostałe stadka. W tym gęsim harmiderze trudno było zauważyć, które gęsi zapadały, a które startowały ponownie.

Silne podmuchy wiatru nie pozwalały na prawidłową ocenę odległości i celne strzały. Zamieszanie to trwało przez jakiś czas, aż

ciemna noc rozjaśniła migocące światełka na horyzoncie. Wówczas wydawało się, że stojące obok nas pnie drzew, zaczęły się poruszać razem z nami.

Były to rzadkie chwile najgłębszych wzruszeń i emocji, kiedy cały tabun gęsi pomylił nas z czarnymi pniakami i wielkie ptaszyska, w bryzgach wody wylądowały tuż obok.

Coś, co przyszło tak nagle i trwało tak krótko, było dla mnie wielkim przeżyciem myśliwskim. Te wrażenia pozostały w mej pamięci na zawsze. Tam sprawdziło się powiedzenie poety Juliana Ejsmonda o sercu wędrującym w chwilach rzadkich i wyjątkowych dla myśliwych.

To, co przeżyliśmy na gęsich zapadach nad Zalewem Mietkowskim, pozostało w mej pamięci na długie lata.

## 25. Terrorysta z Puszczy Bolesławieckiej

**S**iedząc wśród braci myśliwskiej przy leśnym ognisku i gorącej herbacie z rumem, w samym środku Puszczy Bolesławieckiej, zastanawiałem się, dlaczego mam nie wierzyć w mrożące krew w żyłach opowiadania Benka i Waldka. Przecież już dawno czytałem podobne dreszczowce o naszych pradziadach, którzy w łapciach z lipowego łyka i z rohatyną chadzali na niedźwiedzie, a z oszczepem na żubra i tura. Czy teraz mam prawo je kwestionować i poddawać w wątpliwość, a także to, co mówią o swoich przygodach dwaj bracia Hryniewieccy i wzajemnie potwierdzają ich prawdziwość?

Obaj byli wówczas członkami Koła Łowieckiego “Słonka” w Bolesławcu, które w latach osiemdziesiątych dzierżawiło obwód łowiecki niemalże w sercu Borów Dolnośląskich, w Puszczy Bolesławieckiej, pomiędzy Osiecznicą i Parową, w dorzeczu Nysy, Kwisy i Bobru.

Lasy są tu przeogromne. Prawie, pięćdziesięciokilometrowa nitka szosy przecina je na pół. Całymi kilometrami jedzie się wśród soczystej zieleni wiosną i złotem pokrytych drzew jesienią, w powietrzu przesyconym żywicą i zapachem wrzosów. Z rzadka ukazują się wyręby i uprawy nowych drzew.

Na tych właśnie otwartych przestrzeniach najchętniej zatrzymują się zmotoryzowani turyści i pasażerowie autokarów, by wyprostować nogi i zaczerpnąć świeżego powietrza. Ruch jest tu znaczny, bo tędy skracają sobie drogę wycieczki autokarowe Niemców wracające z Karkonoszy do berlińskiej autostrady.

Właśnie w takim puszczańskim terenie, przeciętym ruchliwą szosą, Koło “Słonka” ma swój obwód łowiecki. Tutaj myśliwi polują na jelenie, dziki, lisy, a dawniej głuszce i cietrzewie.



Samca łośia nazywa się bykiem, samicę – łośą lub kłępą, coraz częściej zagląda do Borów Dolnośląskich po latach nieobecności.



Było już ciepło, wiosna w górnych reglach Karkonoszy stała się faktem.



Celinka zdobyła w górach Kaczawskich pierwszego swego lisa.

Nie sposób zaprzeczyć, że te wycieczki, autokary i samochody zakłócają spokój zwierzynie, a jak wynikało z opowiadania Benka, także i myśliwym. Zatem z zainteresowaniem słuchaliśmy jego opowiadań potwierdzających ten niepokój.

W tym roku na pierwszym jesiennym polowaniu aura sprawiła kłopot. Najpierw mżawka dokuczała w obstawianiu miotów, później ulewny deszcz spowodował, że wcześniej zakończono polowanie. Pomimo, że wzięto kilka miotów pewnych, nie spotkano żywej duszy, a tym bardziej dzików, choć były pewne i na nie właśnie liczone.

Kiedy bracia wracali z polowania, mokrzy, zziębnięci i niezadowoleni, zanim ich samochód wyjechał na ruchliwą drogę przed nimi przebiegła wataha dzików. Waldek, mimo deszczu, naliczył ich osiemnaście. Były wśród nich dwa wielkie odyńce, kilka średnich i małych przelatków. Samochód zjechał raptownie na pobocze w gęste krzaki tak, aby był niewidoczny z ruchliwej szosy. Wataha zatrzymała się na uprawie, ze sto metrów od drogi i tam zaczęła spokojnie żerować.

Tymczasem rozpadało się na dobre, a hałas deszczu osłabiał czujność zwierzyny. Braciszkwowie postanowili, że Benek rozbierze się do przysłowiowego Adama, aby dalej nie moknąć i spróbuje podejść dziki. Tak też zrobili. Boso i nago, ze sztucerem w rękę, zniknął za ścianą wody.

Po paru minutach na poboczu asfaltowej szosy z piskiem opon zatrzymały się dwa niemieckie autokary. Pasażerowie rozpierzchli się po przyległych zaroślach i wtedy padł głośny strzał Benka. Był tak zagadkowy na tym odludziu, że niektórzy wybiegli sprawdzić, co się dzieje. O dziwo zobaczyli rozebranego do golasa, ze sztucerem w rękę, biegnącego w ich kierunku człowieka. Zaniepokojony tym zdarzeniem Waldek wyszedł z samochodu i usłyszał jak jeden z pasażerów głośno krzyczał: – “Terrorysty!”.



W mig Niemcy wskoczyli do autokarów i z wyciem silników opuścili ten postój.

Benek był tak przejęty tym polowaniem, że tylko klął na turystów. Spłoszyli mu dziki i dobrze, że odjechali. Musiał moknąć na deszczu, ale kota im pogonił.

Waldek już nie pytał o wyniki strzału. Martwił się jedynie tym czy Niemcy nie zgłoszą tego zdarzenia na policji. Musieliby się wówczas gorzko tłumaczyć.

Ognisko zaczęło przygasać, wieczorna zorza zalała niebo i wierzchołki sosen czerwoną łuną.

Do Puszczy Bolesławieckiej warto się wybrać, choćby na grzyby, których jest tu obfitość, ale tylko nie w deszcz, bo można się przestraszyć.

## 26. Wiosenne sandacze

**S**tarorzeczca Odry pomiędzy Łomianką a Kanałem Krzesińskim, od Połęcka aż po ujście Nysy Łużyckiej i granice z Niemcami zalegały opary i kosmate mgły. Wielkie kłęby jakby szarej waty poruszały się po mokradłach to w jedną, to w drugą stronę, odsłaniając czasami czarne sylwetki uschłych, zatopionych drzew i łąny żółtych trzcin. Słońce jeszcze nie weszło, ale robiło się coraz jaśniej. Słychać było odległe kwakania kaczek, a różowe niebo zapewniało dobrą wędkarską przygodę.

Ten tajemniczy zakątek rozlewisk rozciągał się za wałem, który rzecze nie pozwalał na wiosnę rozlewać się zbyt szeroko. Za to każdego roku wody zatapiały tu dziesiątki drzew, połacie trzcin, złożyły nowe kanały i tworzyły głębokie rozlewiska. Pełno było tu powalonych drzew, wysepek i rozkopanych brzegów. Miejsca te upodobało sobie wiele gatunków małych i dużych ryb. W praktyce było to rzadko odwiedzane łowisko. Najczęściej wędkarze woleli łowić z łatwiejszego, twardego i bezpiecznego brzegu rzeki.

Byli jednak i tacy śmiałkowie, którzy znali ukryte pod wodą groble i przejścia, wchodzili na nie ze spinningami i przynosili wielkie ryby. Często można też było zobaczyć je rozwieszane na krzaczastych wierzbach obok wału. Suszyły się i połyskiwały srebrem, wabiły swą wielkością i wdziękiem.

Mój kolega Andrzej był wytrawnym wędkarzem, a łowisko w Połęcku odwiedzał najczęściej. Twierdził, że ma do niego największą słabość ze względu na pierwotny, dziki krajobraz tej wody i wielkie ryby, które w nim złowił.

Przyjechaliśmy tu razem w początkach czerwca. O świcie wszedłem na wał przy rozlewisku. Widok, jaki się przede mną rozciągał, oczarował mnie całkowicie. Ogrom wody był nieprawdopodob-

nie wielki, nurt trudny do określenia, płynące korzenie i gałęzie, poszarpane przez wodę brzegi. Z niedowierzaniem i niepewnością przyglądałem się tej wodzie.

– Głowa do góry! Nie martw się – powiedział do mnie Andrzej. – Bez bolenia, czy szczupaka stąd nie wrócimy.

Kiedy zobaczyłem, że kilku wędkarzy bez problemów weszło w sam środek mętneho nurtu, nawet zacząłem wierzyć jego słowom.

Ubrani w szczelne wodery, ze srebrnymi wahadłówkami na spinningach weszliśmy w wodę. Szliśmy wzdłuż wirującego nurtu, po żwirowym dnie do zwałonego dębu i wielkiej kępy trzciny. Woda tu była mętna, a piaskowa podwodna grobla ginęła w głębokim nurcie. Miejsce to było wymarzone do wędkowania. Andrzej poszedł na koniec trzciny i zginął mi z oczu.

Błystkę prowadziłem powoli, pozwoliłem jej płynąć po łuku, raz głębiej, potem płytko, jednak bez efektu. Wiele z nich zerwałem zahaczając o podwodne kamienie i kłody. Często je wymieniałem na inne wahadłówki. Dopiero po jakimś czasie błystka spadła obok zatopionego konaru i ryba chwyciła. Usiłowała wpłynąć w trzciny, ale w końcu udało mi się ją wyjąć bezpiecznie. Był to pierwszy szczupak około 60 cm długości.

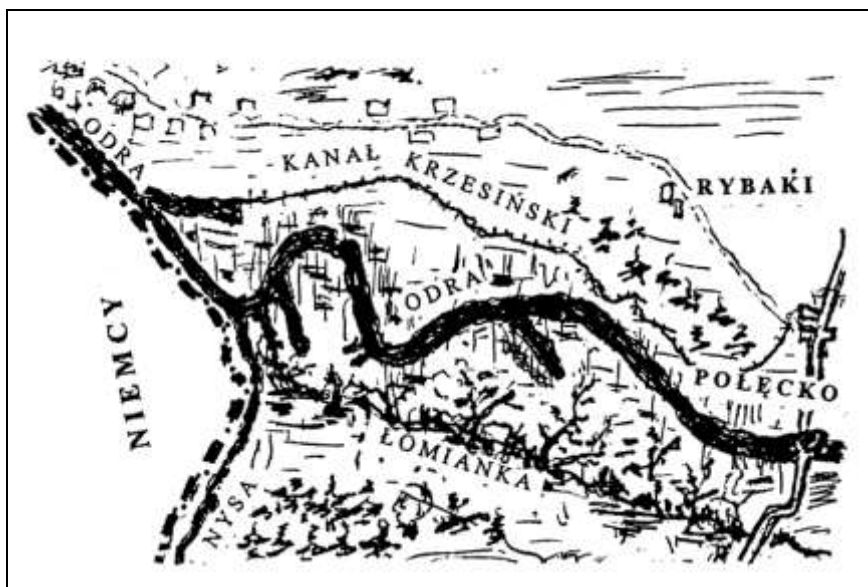
Byłem szczęśliwy, choć miejsce to wydało mi się spalone. Przecież narobiłem tu tyle hałasu! Postanowiłem przesunąć się dalej do otoczonego wierzbami dołu. Przy pniu znalazłem skarpe, za którą dno szybko schodziło w głębinę. Woda tu była spokojna, brązowa, prawie przezroczysta, osłonięta dokoła gałęziami drzew. Wybrałem srebrno-czarny listek i metr po metrze obrzucałem ten zalew, bez najmniejszej oznaki na istnienie tu ryb. W końcu zmieniłem go na ciężkiego woblerka, pozwoliłem mu opadać na dno, a było tu głęboko. Przynętę podrywałem co chwilę. Za czwartym rzutem tuż przy samym brzegu ryba delikatnie wzięła. Poczekalem chwilę i żyłka zaczęła uciekać. Podciąłem, poczułem opór, ale ani na chwilę nie zwolniłem hamulca. Rybę holowałem spokojnie, jakbym zahaczył

jakaś namokniętą deskę. Odsunąłem się od brzegu, ukryłem za krzakiem i spokojnie zwiјаłem żyłkę.

Po chwili ukazał się srebrny sandacz. Zobaczył mnie i ponownie popłynął w dół. Po wybraniu z pięciu metrów żyłki znów pozwolili się spokojnie przyholować i wyjąć z wody. Półmrok, który tu zalegał, nagle znikł, a moim oczom ukazał się leżący na piasku wielki sandacz. Na zahaczonej wadze wskazówka zatrzymała się na 5,60 kg. Na pewno Andrzej mi go pozazdrości. Rybę szybko umieściłem w sadziku, a woblerek powędrował znów do wody. W tym samym miejscu złowiłem jeszcze jednego sandacza, choć o wiele mniejszego. Potem ryby zupełnie przestały brać.

Przed obiadem wrócił Andrzej. Miał w plecaku wielkiego szczupaka, dwa duże okonie i leszcza, którego zahaczył kotwicą. Obaj byliśmy zmęczeni i mokrzy, ale i szczęśliwi z udanej wyprawy.

Wracaliśmy z planami powrotu tutaj jesienią.



## 27. Nad graniczną rzeką

**P**onad wszystkie rzeki przedkładałam tę “jedyną” – stale groźną i niebezpieczną, z odcinkami czarującymi dziewiczą przyrodą, szczególnie wędkarzy – Odrę, od Połęcka do Łysogórek i Cedyni, z bystrym prądem, wiosną podtapiającą dziesiątki hektarów łąk i polderów, o głębokich rwących wirach, zdumiewającej ilości zatopionych starych pni, malowniczych zakoli i oczek wodnych. To “raj dla wędkarzy”.

W tym otoczeniu bujnej roślinności, pełzających ramion starych wierzb, gęstwiny trzcin, tajemniczej bagiennej puszczy, żyło niegdyś dużo ogromnych ryb, wielkich jak kłody i rzadko gdzie indziej spotykanych. Miejscowi mówili, że tak wielki urodzaj żarłocznych potworów był wynikiem stoczonych w czasie wojny walk o rzekę i dużej ilości zatopionych zwierząt - ludzi. A żyły tu stada srebrnołuskich boleni, omszałe od starości szczupale, kolczaste sandacze, czarno-brązowe wąsate sumy, nie licząc pomniejszej drobnicy jak: okonie, klenie, jazie, leszcze, liny i wielu innych gatunków rybiego świata.

Ta różnorodność i bogactwo rybich okazów oraz wspaniała przyroda stały się magnesem dla dziesiątków zapaleńców wędkarstwa. Tutaj nad “graniczną Odrą” próbowali swego szczęścia, niekiedy przyjeżdżając z odległych zakątków kraju i stawali się wierni tej rzece na zawsze.

\*

Wczesny wrześnieowy ranek nie zapowiadał najlepszej pogody. Sądząc po ciężkich, czarnych chmurach, wolno płynących z zachodu, należało się spodziewać burzy. Jednak zaryzykowaliśmy! Jurek wyciągnął sprężynową wagę i zawiesił na niej rybę.

– To ci się udało! 8, 60 – to ładna sztuka!



Kanion, porośnięty lasem, zbliżał się do nas i pochłaniał jak mroczna jaskinia. Krajobraz wokół był nieprawdopodobnie piękny.



Mimo, że muflonów żyło tu więcej, to umiały się sprytnie maskować przed ciekawskim wzrokiem ludzi, a ten baran był wyjątkiem.



Myśliwi z Koła łowieckiego „Tur” z Bielska na polowaniu w Rudawach Janowickich.

W tym czasie wokół pojaśniało, nawet poprzez chmury wyrza-  
ło błękitne niebo. – Koledzy, w drogę!

Wyruszyliśmy! Podobnie jak dzisiejszego ranka, również  
i teraz rozstaliśmy się przy kępie rozłożystych wierzb. Każdy z nas  
wszedł na upatrzone wcześniej starorzecze lub ukryty wśród krza-  
ków dołek.

Wybrałem jedyną drogę prowadzącą wśród wysokich trzciny na  
stary zalew Odry. Był on wprawdzie trudno dostępny, z dziesiątkami  
zatopionych konarów i gałęzi, ale zasobniejszy w większe okazy.

Obok bagiennego rozlewiska obsiadły mnie roje komarów,  
a jeszcze więcej krążyło ich nad głową. Siadały i gryzły w twarz,  
szyję, ręce. Były nieznosne i, co najgorsze, wróżyły deszcz. Wycią-  
gnąłem z bluzy papierosy i na chwilę udało mi się dymem odstraszyć  
intruzów.

Było już niedaleko. Głośnie kwakanie kaczek zwiastowało bli-  
skość wody. Naraz niebo pociemniało. Kaczki stały się aktywniejsze,  
coraz częściej przelatywały nad rozlewiskiem.

Po kilkunastu rzutach miałem “na agrafce” dwa szczupaki.  
Jednego chwyciłem w bardzo nietypowy sposób. Chyba za trzecim,  
czy czwartym razem błystka uderzyła w wodę tak, że odbijając się  
zawisła na dużym liściu nenufaru. Kiedy próbowałem ją stamtąd  
zrzucić woda wokół zakotłowała się i już na kotwicy miałem pierw-  
szego szczupaka. Drugi, większy, wziął wahadłówkę obok obalonego  
przez wiatr drzewa. Jego gałęzie utrudniały prowadzenie błystki.  
Na nich to urwałem dwa gnomy, jednak trzeci połknął szczupak spo-  
rej wielkości.

Czas było wracać. Po drodze spotkałem Władka. Łowił na  
nieprawdopodobnie zarośniętym dołku. Przed jego plecakiem leżało  
kilka sztuk ładnych okazów.

– Jednak was znalazłem! – głośno krzycząc Jurek wyszedł  
uśmiechnięty zza krzaków.



Jego duży plecak mocno ciążył. Było pewne, że i on coś większego złowił.

Nie było na co czekać. Robiło się coraz ciemniej. Jurek poprawił czapkę i ruszyliśmy w powrotną drogę.

Najpierw ledwo wyczuwalny wiaterek zamienił się w ciepłe podmuchy zrywające czapki, znów ustawał i znów się wzmacał. Wiedzieliśmy, że już nie zdążymy przed kolejną ulewą dojść do namiotu. Na wąskiej ścieżce coraz któryś z nas potykał się o gałęzie i słyszał było bluźnierstwa.

Ulewa zastała nas na polnej drodze. Zdążyliśmy dobić do rozłożystego dębu i ukryć się przed czołem wodnej nawałnicy. Wydawało się, że grube drzewo ochroni nas przed zamoczeniem, gdyż deszcz zacinał z ukosa.

Plecaki ułożyliśmy pod nogi, sami jak najszczelniej przyłgnęliśmy do pnia. Nie wiem, kiedy poczułem zimne krople spływające za kołnierz, później zaczęły ściekać z brwi, nosa, uszu. Powoli czułem się tak jakby mnie ktoś zanurzył w zimnej wodzie.

– Za jakie grzechy człowiek się tak męczy – pomyślałem.

Wydawało się, że minuty zamieniają się w godziny. Wokół zimno, ciemno i w dodatku mokro, a przed nami w perspektywie najmniej cztery kilometry drogi.

Jurek widząc beznadziejną sytuację zupełnie wyszedł spod drzewa i zginął w ścianie deszczu. Był załamany. Nie było przecież innego wyjścia jak poczekać na osłabnięcie nawałnicy.

W tej beznadziejnej sytuacji jak objawienie zabłyśły dwa światła reflektorów. Nie wierzyłem, przetarłem oczy. Przy takiej depresji mogło to być złudzeniem.

Przed drzewem stanął gazik wojskowy, na którego szybach pieczołowicie pracowały wycieraczki. Kierowca spostrzegł naszą konsternację, bo przycisnął sygnał. Opamiętaliśmy się i każdy z nas szybko jak mógł pakował się pod brezentową budę. Wsiadałem ostatni. Oświetlone wnętrze robiło przyjemne wrażenie. Ten samo-

chód był dla nas prawdziwym zbawieniem. Miejsce znalazłem na błotniku koła. Ruszyliśmy.

Przedemną siedzieli dwóch myśliwych, ubranych w ochronne stroje, w tradycyjne kapelusze, ściskających pomiędzy kolanami swe mauzery. Przyjaźnie się do nas uśmiechali. Gospodarze samochodu, kiedy zobaczyli ociekających wodą trzech wędkarzy, starali się utrzymać pomiędzy nami dystans, aby się nie zamoczyć.

Nie wiem ile ujechaliśmy, kiedy zagadnął ten grubszy, z zakręconym wąsem. – Jak tam, panowie rybacy?

Myślę, że patrząc na nas powiedział to na przekór. Władek udawał, że nie rozumie, o co zapytał i odpowiedział:

– Wam to dobrze! Taką bronią dziki sięgniecie z dwustu metrów. Sam dzisiaj spotkałem w trzcinach aż trzy sztuki. Jeden, obłocony jak diabeł, wyłaził z kąpieliska tak niemrawo, że mogłem go w d... kopnąć. Wie pan, że się nie bał, a u pozostałych widziałem tylko czarne zadki.

Myśliwi uśmiechnęli się mówiąc, że dziś to szczęścia nie mieli. Wprawdzie przyjechali jeszcze przed świtem, ale ten deszcz! Większość czasu przesiedzieli w samochodzie.

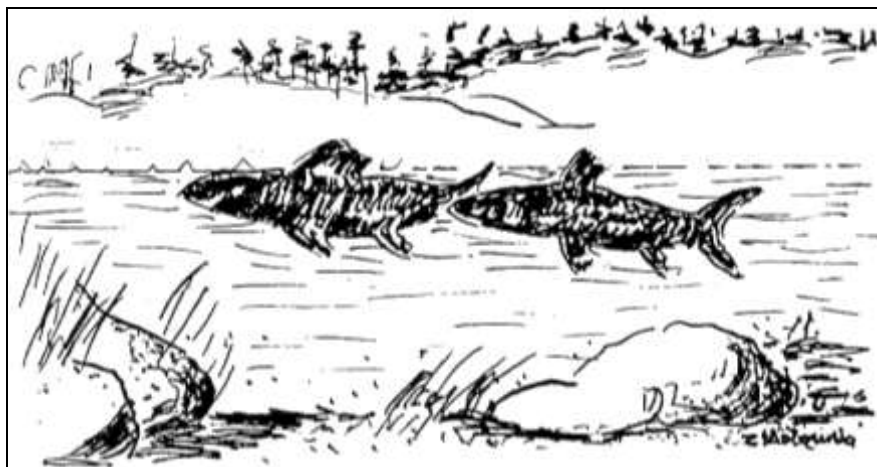
– Takiego fatalnego polowania jak długo tu przyjeżdżam nie pamiętam. W dodatku w czasie podchodzenia w trzcinach zamoczyłem lunetę i teraz mam zmartwienie jak usunąć z jej wnętrza krople wody – zwierzył się jeden z nich.

Dotąd siedzący spokojnie w narożniku starszy pan powiedział: – A panowie nie odpowiedzieli na pytanie kolegi.

– Właśnie – wykrzyknął myśliwy z wąsem.

Władek honorowo rozsznurował plecak. Ukazały się w nim dwa rybnie ogony. Jednego szczupaka wyjął. Na chwilę zapanowała cisza i jak się wydawało - konsternacja.

– Psiakrew! Zobacz Wojtek, jaka sztuka – zauważył myśliwy. – To się panu udało! Ile on może ważyć?



Rybę chwycił wpół i podniósł. – No chyba siódemkę ma! Gratuluję!

– Proszę pana, to nie wszystkie! Władek rozwarł szeroko plecak. Teraz naszym oczom pokazała się podobnej wielkości ryba.

– A wy, koledzy, wracacie chyba o przysłowiowym kiju – zawyrokował pan z wąsikiem, jednocześnie kierując to pytanie pod moim i Jurka adresem.

– Ja złowiłem dwa, no nie takie wielkie – wyjaśniłem.

Jurek pokazał na palcach trzy sztuki.

– No popatrz, Wojtusi kochany, załatwili te ryby w myśl przysłowia: “suchy wędkarz, mokry strzelec, mają g... na widelec!” – I to święta prawda, oj prawda – dodał nemrod.

Gazik skręcił ostro w prawo i byliśmy pod dębami, gdzie stał nasz namiot. Dziękowaliśmy za podwiezienie. Życzyliśmy naszym nowym znajomym, aby im “bór darzył”, a kierowca otrzymał od Jurka najmniejszego szczupaka. Kiedy zostaliśmy sami na polanie Jurek powiedział:

– Niech wiedzą, że wędkarze nie zawsze przesadzają, kiedy opowiadają o dużych rybach.

Prezent dla kierowcy ważył przecież ponad cztery kilogramy.

## 28. Rekiny Odry

**U**brani po łokcie w wodery i wojskowe L-1, z całym ekwipunkiem, jakiego wędkarz potrzebuje na całodzienną wyprawę, gęsiego, za Piotrem, zanurzaliśmy się powoli w zimnej wodzie. Rzeka właśnie tutaj wymyła sporo zdradliwych dołów i wyrw w grobli. Prawie pół godziny ją forsowaliśmy. Niektórzy mniej, inni więcej zamoczeni, dobrnęliśmy do zbawczego brzegu, a stamtąd już zupełnie łatwo pod wznoszącą się wśród rzecznej dębiny "stójkę" – betonową strażnicę WOP.

Stąd z kilkunastometrowego jakby klifowego brzegu roztaczał się wspaniały widok na srebrną wstęgę Odry. Tu rwała i szumiała rzeka, opływała przybrzeżne wysepki, główki, ostrogi, tworzyła zakola, by dalej rozlać się szeroko z brzegów.

Od Cześka wiedziałem, że bolenie najliczniej upodobały sobie główkę drugą i trzecią, w lewo od "stójki" oraz pierwszą i czwartą poniżej niej. Wybrałem tę najbliższą prowadzącą w lewo, Czesiek zaś poszedł łowić między główki.

Już przy kamiennym zejściu do rzeki usłyszałem plusk. Stałem za krzakiem łoży i przyglądałem się rybom, które jak gdyby ocierając się o śliskie kamienie rzecznej przegrody wyskakiwały i znów wpadały w jej szybki nurt, robiąc przy tym wiele hałasu. Były jednak bardzo ostrożne.

Moje pokazanie się na główce uciszyło je zupełnie, za to na obrzeżach głazów można było dostrzec dziesiątki srebrnych uklei. One to stanowiły nie lada atrakcję dla drapieżników – boleni, które tutaj znalazły sobie spiżarnię. Wydawało mi się, że złowienie ryby, która tak intensywnie żerowała, nie będzie trudne. Miało być jednak inaczej.

Rzucałem pod prąd i z prądem rzeki błystki różnego koloru i kalibru, prowadząc je wolniej i szybciej wzdłuż główki i w nurcie, lecz bez rezultatu.

Po godzinie takiego machania spinningiem usiadłem pod krzakiem, by zastanowić się, co dalej robić. Nie zdążyłem pomyśleć, gdy niespodziewanie moje ryby zaczęły zabawę od początku. Teraz zauważyłem, że wyskakiwało ich jeszcze więcej, a jedna tak blisko, że oceniłem ją na kilogram wagi.

Zmieniłem przynętę na maleńką, srebrną wiróweczkę i starałem się zza krzaka rzucać przed buszujące ryby. Zabawa ta trwała dość długo. W końcu jedna z ryb dała się nabrać i w mojej siatce znalazł się pierwszy boleń, może półtorakilogramowy. Jednak był to pierwszy i ostatni na tej główce.

Ryby przestały zupełnie żerować. Zniecierpliwiony postanowiłem zdobyć pochwałę się Cześkowi. Z dala zauważyłem, że siedział w cieniu dębu. Zdziwiony zapytałem, czemu nie łowi. Usłyszałem tylko:

– Siadaj!

Obejrzał moją rybę, uśmiechnął się serdecznie i zapytał czy ją złowiłem na wędkę. Odpowiedziałem, że na spinning. Zdziwił się i po chwili dodał:

– Wiesz, takie maluchy są roślinożerne, a ten połakomił się na blachę. To mi się nigdy nie zdarzyło. Popatrz, co ja złowiłem!

Wskazał ręką pod drzewo. Aż mnie zamurowało. Dwie olbrzymie ukleje wisiały na wystających sękach. Ryby jakiegoś dziwne, niepodobne do szczupaków, ani sandaczy – srebrne torpedy o wysuniętych dolnych szczękach, jakże różniące się od mojego niewinnego malucha. Czesiek wskazał tego większego i z dumą powiedział, że ma około sześciu kilogramów. Teraz zrozumiałem, dlaczego już nie łowi, jednak chciałem się upewnić i zapytałem:

– Czy już skończyłeś na dzisiaj z rybami?

Uśmiechnął się i odrzekł:

– Odwrotnie, dopiero zacząłem.

Myślałem, że żartuje, ale on dodał:

– Zostań. Jest ich tu tyle, że dla nas obu wystarczy. Tylko zmień blachę na wahadłówkę podobną do listka.

Spinning uzbroiłem w przynętę identyczną, jaką miał mój sąsiad, bieloną stuprocentową cyną blachę, wówczas masowo wyrabianą sposobem chałupniczym przez wędkarzy. Kiedy byłem gotów i chciałem zejść w dół na piaszczystą mierzeję, Czesiek poprosił abym usiadł, dodając, że za chwilę zejdziemy razem. Przy okazji stwierdził:

– Te ryby są sprytne. Trzeba mieć wiele szczęścia, aby je przechytrzyć. Pokazanie się, czy hałasowanie na brzegu z góry przekreśla pomyślny wynik.

Zatem nie było rady, trzeba było korzystać z doświadczeń kolegi. Wyciągnąłem termos z herbatą i dobrze nam się gwarzyło następane pół godziny. Zauważyłem jednak, że w czasie rozmowy Czesiek wzrokiem stale kontrolował nurt rzeki.

– Tak duża liczba żyjących tutaj boleni – powiedział – przypuszczalnie jest związana z tymi żółtymi mieliznami, na których wygrzewają się teraz w słońcu tysiące małych rybek.

Dochodziła czternasta. Było wyjątkowo gorąco. Nawet najmniejszy wiaterek nie ruszał listkami dębów, nie zmarszczył na chwilę lustra rzeki. W takim właśnie bezruchu Czesiek zerwał się gwałtownie i krzyknął:

– Płyną, płyną! Rekiny Odry!

Rzeczywiście, w górę rzeki płynęły jakieś ryby. Co chwilę z wody wynurzały się ich ostre płetwy, by po chwili ponownie się zatopić. Odległość od brzegu była znaczna.

Szybko pobiegliśmy na piaszczystą łachę.

– Rzucaj daleko przed nie, daleko! – usłyszałem słowa Cześka.



Ten wielki boleń próbuje teraz stawać na łbie, wierci pyskiem w piachu lej, chce wyrwać zdradliwą kotwicę

Pierwszy rzut pusty. Przy drugim jakoś lepiej i z większą siłą wyrzuciłem błysk. Srebrzyła się jeszcze nad wodą, kiedy daleki plusk i bryzgi wody niby fontanny wytrysnęły nad gładką powierzchnią rzeki. Jednocześnie błysnął w słońcu srebrny kształt ryby. Zamarł w bezruchu na chwilę i razem z ponownymi bryzgami wody wpadł w nurt. Żyłka jak cięciwa zadrgała ze świstem, zrzucając z siebie tysiące kropelek wody. Nastąpiła wspaniała chwila, niezapomniane przeżycie i wrażenie zatrzymane w pamięci.

Zacząłem skręcać luźną teraz żyłkę. Znów szok: ryba chyba poszła? Nie, jest! Żyłka ponownie się napręża, czuję jej siłę i wagę. Jestem szczęśliwy. Jakby z daleka słyszę głos Czeška:

– Chowaj się za krzak, zwolnij hamulczyk!

Mimo oszołomienia i walki z rybą docierają do mnie te uwagi i jak się później miałem przekonać, były one na wagę ryby.

Mój drapieżnik szedł teraz jak po sznurku, nie stawiał żadnego oporu. Zza krzaka już go widzę. Jak srebrne cygaro wypływa na złotą od słońca mieliznę piaskową. Głębokość trzydzieści, czterdzieści centymetrów. Ależ to olbrzymia ryba!

Na chwilę zapominam o ostrzeżeniu. Chcę ją mieć jak najszybciej! Ryba mnie zauważa. Woda się gotuje, żyłka ucieka ze szpuli, próbuję przyhamować. Nadaremnie! Wysuwa coraz więcej i więcej żyłki, ale już i coraz wolniej, widać słabnie. Próbuję zwijać ją, nie reaguje. Dopływa i wynurza się z wody. Delikatnie staram się wyrzucić ją na piasek. Jestem oszołomiony, szczęśliwy, prawie pijany z radości!

Ten wielki boleń próbuje teraz stawać na łbie, wierci pyskiem w piasku lej, chce wyrwać zdradliwą kotwicę.

W tym czasie na wodzie dzieją się prawdziwe harce. Plusk, lecące w górę bryzgi, chmary przerażonych rybek wypadają na piasek. Niektórym udaje się powrócić do wody, inne pozostają i giną.

Wzburzoną rzekę niczym błyskawica przecinają srebrzyste potwory. Znów na chwilę wszystko ucichło, wraca do normy, by



ponownie rzeka zamieniła się w gotujący zbiornik, a drapieżniki z jeszcze większą siłą atakowały bezbronne ukleje.

I tak dzieje się od lat nad brzegiem Odry porośłym dębami, przy wysokiej “stójce”, rzecznych ostrogach i główkach, które upodobały sobie małeńkie ukleje i żarłoczne bolenie.

Ryby ponownie wróciły przed szesnastą. Złowiłem jeszcze jedną. Jednak ta pierwsza ważyła prawie pięć kilogramów. Czesiek złowił cztery.

Niesamowita żarłoczność boleni, sposób ich walki, zapalczywość w obronie po zaczepieniu jest godna podziwu, a ich wrodzona ostrożność zapewnia im przetrwanie.

Zapada fioletowy zmierzch. Z pobliskich oczeretów dochodziły odgłosy kwakania kaczek, daleko z trzciny słychać było trąbienie bąka. To był już ostatni akord tego dnia i wspaniałej przygody.

Kiedy odmeldowaliśmy się w strażnicy, żołnierz z uśmiechem zapytał czy potrzebujemy ręcznika. Zaprzeczyliśmy. Tutaj przecież wiadomo, że z tej wody bez ryby się nie wraca.

W następnych latach złowiłem jeszcze wiele, boleni, lecz w mej pamięci pozostały te pierwsze, z Odry w Namyslinie, złowione w czasie wiosennego, osnutego tajemniczą mgiełką wylewu rzeki.



## **Mały słownik języka łowieckiego i wędkarskiego**



**AMBONA** – stanowisko myśliwskie zbudowane na palach lub na drzewie dla obserwacji i polowania

**BARŁÓG** – legowisko dzika w czasie spoczynku w ciągu dnia

**BADYL** – noga sarny lub jelenia

**BŁYSTKA** – rodzaj przynęty wędkarskiej, najczęściej z blachy

**BUCHTOWISKO** – ziemia poryta przez dziki poszukujące żeru

**BYK** – samiec jelenia, żubra, daniela i łosia

**BRANIE** – chwycenie przez rybę przynęty z haczykiem

**BYSTRZE** – ((szypot) gdzie woda płynie wartko z szumem

**CHMARA** – stado jeleni

**BRENEKA** – kula używana do broni śrutowej

**CHYB** – na karku dzika – najdłuższa sierść

**CIĄGI** - przeloty dzikich gęsi lub kaczek na żerowiska

**CZATY** – myśliwy czatuje na zwierzynę (zwyżka, ambona itp.)

**CZOK** – zwężenie lufy w broni śrutowej

**DARZ BÓR** – myśliwskie pozdrowienie

DUBLET – dwa celne kolejne strzały, jeden po drugim  
DWUNASTKA – broń myśliwska – śrutowa  
DWUNASTAK – jeleni noszący na głowie rogi o sześciu odnogach każdy  
FAJKI – kły dzika w górnej szczęce, dolne nazywa się szablami  
FARBA – krew dziko żyjących zwierząt  
GLONY – najprostsze rośliny samożywne, mikroskopijne organizmy  
GŁÓWKA – budowla wodna, prowadząca od brzegu do środka rzeki  
GON – goniące zwierzynę, szczekające psy  
KAPITALNY – rogacz lub jeleni o pięknych rogach  
KOŁOWROTEK. – podręczny magazynek żyłki, szczególną rolę spełnia w metodzie połowu spinningowego  
KOMORA – część ciała grubego zwierza, gdzie znajdują się płuca i serce  
KOPYRA – zajęc w mowie myśliwskiej i gwarowej  
KOT – ryś, żbik, zajęc  
LICÓWKA – łania prowadząca stado jeleni  
LOCHA – samica dzika  
LUSTERKO - biała plama na zadzie zwierzyny płowej  
ŁAWICA (1) – skupisko ryb, najczęściej jednego gatunku  
ŁAWICA(2) – część dna wyniesiona ponad pobliskie głębie  
MIOT – powierzchnia lasu, na której naganka pędzi zwierzynę  
MYŁKUS – zwierzyna płowa ze zniekształconym porożem  
NEMROD – zapalony myśliwy (nazwa żartobliwa)  
ODYNIEC – dzik żyjący samotnie, stary samiec  
OSTROGA – inaczej główka (zob.)  
OREŻ – szable i fajki dzika  
PAROSTKI – poroże sarny kozła  
PLANKTON – zespół drobnych organizmów, unoszący się w wodzie  
PONOWA – świeży śnieg, na którym zwierzyna odcisnęła swe tropy  
PRZESMYK – wydeptana ścieżka, którą przechodzi zwierzyna

PRZYNETA – część wędki, mająca zadanie zwabienie ryby i wzięcie haczyka do pyszczka  
PRZYPON – najczęściej jest to kilkucentymetrowy odcinek cieńszej żyłki, lub metalowy drucik na grubszą rybę  
SPINNING – metoda łowienia, polegająca na rzucaniu przynęty i ściąganii jej przy pomocy kołowrotka  
SPŁAWIK – element wędki mocowany na żyłce, z tworzywa lżejszego od wody, utrzymuje przynętę na pożądanej wysokości od dna rzeki  
RAPETY – racice dzika  
RYKOWISKO – ruja jeleni, okres godowy  
STAWKI – łapy lisa  
SUKNIA – skóra okrywająca ciało sarny, jelenia i dzika  
SZYDLARZ – kozioł lub jeleni byk z ostrymi zakończeniami tyk, poroże bez odnóg  
TABUNY – stada dzikich gęsi  
TARŁO – okres godowy ryb  
TYKA – jeden róg rogacza, jelenia  
WARCHLAK – dzik do jednego roku życia  
WATAHA – duże stado dzików  
WĘDZISKO – część wędki, mająca postać zwężającego się pręta  
WIENIEC – poroże jelenia byka  
WYCINEK – dzik od dwóch do trzech lat, samiec  
WSTECZNIAK - stary rogacz, jeleni o starzejących się rogach  
ZACIECIE – energiczny ruch wędziska, mający na celu wbicie haczyka w pyszczek ryby  
ZESTRZAŁ – ścinka sierści odcięta kulą na miejscu strzału  
ZWIERZYNA PŁOWA – sarny, danielle, jelenie  
ZWIERZYNA CZARNA – dziki  
ZWIERZ KAPITALNY – odznaczający się kondycją i wagą ciała  
ZŁOM – najczęściej obłamana świerzyna, zamaczana w farbie i wręczona myśliwemu

## TEGOŻ AUTORA

<b>Rospudą po Puszczy Augustowskiej - 1980r.</b>	- Muzeum Karkonoskie
<b>Moje spotkania z przyrodą - 1984r.</b>	- Muzeum Karkonoskie
<b>Skarbiec św. Huberta w Karkonoszach i na Pogórze – 1997 r.</b>	Spółka Komputer Z – DA we Wrocławiu
<b>Ze strzelbą i wędką - 1998 r.</b>	Zarząd Okręgowy PZŁ w Jeleniej Górze
<b>Ontaryjskie safari – 2000 r.</b>	- Spółka Komputerowa R. KA w Inowrocławiu
<b>Nad rzeką św. Wawrzyńca – 2002 r.</b>	- Z.O PZŁ w Jeleniej Górze
<b>Łowy z kamerą - 2003 r.</b>	- Z.O PZŁ w Jeleniej Górze
<b>W królestwie Diany - 2004 r.</b>	- Z.O PZŁ w Jeleniej Górze
<b>Z wędrówek po puszczech - 2004 r.</b>	- Z.O PZŁ w Jeleniej Górze
<b>Tęczowe lasy Kanady - 2005 r.</b>	- Z.O PZŁ w Jeleniej Górze
<b>Skarbiec św. Huberta w zachodniej Krainie Sudetów – 2006 r.</b>	- Z.O PZŁ w Jeleniej Górze
<b>Na tropach książek (katalog) 2006 r.</b>	
<b>Stowarzyszenia myśliwskie w grodzie nad Bobrem – 2007 r.</b>	- Z.O PZŁ w Jeleniej Górze
<b>Łowy z wędką – 2008 r.</b>	Z.O PZŁ w Jeleniej Górze
<b>W ogrodzie Ducha Gór – Rzepióra – 2008 r.</b>	- AD REM w Jeleniej Górze

## **ZBIGNIEW ADAMSKI**

jest autorem wielu książek przygodowo łowieckich, wystaw fotografii przyrodniczej, wielokrotnym laureatem konkursów fotograficznych i literackich „Łowca Polskiego”. Zilustrował sześć książek Wydawnictwa „Świat”. Zdobyl ponad sześćdziesiąt nagród w konkursach fotografii przyrodniczej, przygotował 22 wystawy indywidualne. Jest współzałożycielem Jeleniogórskiego Towarzystwa Fotograficznego, wieloletnim prezesem Fotoklubu „Celwiskoza”, członkiem Komisji Krajoznawczej PTTK. Otrzymał Złotą odznakę Fotografa Krajoznawcy. Za wystawy fotografii wędkarskiej i pracę w Komisji Propagowania PZW w Jeleniej Górze wyróżniono go Brązową, Srebrną i Złotą Odznaką za zasługi dla Wędkarstwa Polskiego.



W Polskim Związku Łowieckim działa od 1961 roku, między innymi od roku 1970 w Zarządzie Koła Łowieckiego „Darz Bór”, w Komisji Etyki, Tradycji i Zwyczajów Łowieckich przy Zarządzie Okręgowym PZŁ w Jeleniej Górze. Za działalność na rzecz łowiectwa otrzymał: Brązowy, Srebrny i Złoty Medal Zasługi Łowieckiej oraz Złom – najwyższe odznaczenie łowieckie. W roku 2004 z okazji 80-lecia Polskiego Związku Łowieckiego został uhonorowany wpisem do Wielkiej Księgi Łowców Polskich, a w roku 2008 otrzymał Medal Świętego Huberta. Zasłużony dla Miasta Jeleniej Góry.

Opracował Andrzej Chmielewski